

Anna Piega

Klub Dobrej Wiadomości

## Październik

Szarość wieczornej godziny powoli otulała cały pokój. Młoda kobieta siedząca na prostym drewnianym krześle tuż przy łóżku przerwała czytanie. Spojrzała w okno. Jesienny zmierzch niósł ze sobą falę zapachów. Nie docierały do tego sterylnego pomieszczenia, ale wiedziała, że są. Tutaj unosiła się zupełnie inna woń: słodko - kwaśny, mdły zapach choroby, lekarstw i bezsilności. Nagle boleśnie zatęskniła za gwarem ulicy, zapachem liści, muzyką chodnikowych grajków, za tym światem, który był tak daleko... I znowu jesień, pomyślała, najpiękniejsza, ukochana pora roku. Pełna ciszy, tęsknoty i barw. Przede wszystkim barw. Zawsze się zastanawiała, jak uchwycić na obrazie nie tylko kolory jesieni, ale także światło - silne i delikatne jednocześnie, ulotne i tajemnicze, takie inne niż latem, gdy wszystko jest oczywiste. Najważniejsze sprawy w jej życiu zawsze działały się jesienią: początek studiów, podróż do Rzymu, praca w wydawnictwie, wszystkie miłości i ta najistotniejsza...

Chwilę siedziała bez ruchu w gęstniejącej ciemności, potem zapaliła lampkę i wróciła do książki. Nigdy wcześniej nie czytała powieści sensacyjnych, chociaż w domu zawsze można je było znaleźć. Kiedyś, trochę dla zasady, próbowała przebrnąć przez *Negocjatora Forsytha*, ale bez skutku. Teraz czytała głośno kolejną z nich, starając się bardzo skupić na akcji. Żeby nie myśleć o jesieni za oknem i o tym, co będzie jutro. Ta lekceważona niegdyś literatura była teraz jedynym ratunkiem, jedyną płaszczyzną porozumienia. Całą siłą woli i wyobraźni wchodziła w ten fikcyjny świat, wierząc naiwnie, że w ten sposób dotrze do zupełnie innego, zamkniętego i ukrytego w ciszy. Chociaż lekarze nie robili jej wielkich nadziei. Tylko ten oschły staruszek powiedział obojętnie: „Niech pani próbuje. To pewnie nie pomoże, ale też nie zaszkodzi”. Uchwyciła się tych słów, ale jej siły słabły i nadzieja powoli gasła.

Przerwała w pół zdania. Wydawało jej się, że wychudzone palce drgnęły na pościeli. Przez chwilę wpatrywała się w znajome dłonie. Nic. Żadnego ruchu. Odwróciła wzrok. Dzisiaj rozczarowanie już tak nie boleło. Widocznie do wszystkiego można się przyzwycząić.

Sześć miesięcy wcześniej

I

Olga otworzyła oczy i zapatrzyła się w kolorowe smugi tańczące na ścianie niczym wielkie motyle. Okno sypialni wychodziło na wschód i promienie ostrego wiosennego słońca wdzierały się bezpardonowo do środka. Tym razem napotkały jednak na drobną przeszkodę - cała szyba pokryta była bajecznie kolorowymi wzorami, imitującymi kunsztowny witraż. No tak, wpływ Mehoffera i Wyspiańskiego był tu wyraźny, ale przecież o to chodziło. Bo nikt nie operował tak kolorem jak Mehoffer i nie miał takiej kreski jak Wyspiański. To był dobry pomysł, pomyślała po raz setny Olga, wpatrując się w barwną iluminację. Pobudka w porażającym blasku wschodzącego słońca byłaby pewnie trudniejsza do zniesienia. Choć żeby temu zaradzić, nie trzeba było malować witraży, wystarczyło założyć żaluzje. Olga skrzywiła się na ten pomysł.

Witraż powstał niemal rok temu, gdy Marek wyjechał na kolejne szkolenie. Nie było go kilka dni, a ona twórczo wykorzystała ten czas - zrobiła generalne porządki, wielkie pranie, a potem, na deser, postanowiła przygotować coś miłego i oryginalnego. Trochę dla siebie, ale przede wszystkim dla niego. Wypełniając czarne kontury odcieniami błękitu i fioletu, wspominała jego rozczulające próby ukrycia się pod kołdrą przed wszechobecnym słońcem. Była wiosna i świt wstawał coraz wcześniej. Zniecierpliwiony obiecał, że zaraz po powrocie założy w sypialni żaluzje. Skończyła tuż przed jego powrotem. Do dzisiaj na wspomnienie tamtej rozmowy rodzi się w niej niepokojący chłód, który próbuje rozgościć się w jej sercu jak w pustym mieszkaniu. „Co to jest?” - zapytał obojętnie wieczorem, zaraz po wejściu do sypialni. „Prezent imieninowy dla ciebie. Równie funkcjonalny jak żaluzje, ale znacznie ładniejszy”. „Naprawdę nie miałaś nic lepszego do roboty? Wydawało mi się, że masz sporo pracy, nowe zlecenia i w ogóle”. Zabolęło ją to bardziej niż otwarta krytyka. Szybko zmieniła temat, wypytując o podróż i szkolenie. Marek natychmiast się rozgadał i wszystko wróciło do normy. Tylko Olga zapomniała już o radości z jego powrotu i podekscytowaniu na myśl o niespodziance. I tak cię lubię - uśmiechnęła się do anioła z wielkimi skrzydłami motyla. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Chyba cię nie obudziłam. - Weronika zawsze była optymistką i to w najgorszym wyrachowanym wydaniu.

- Ależ skąd! Od godziny ćwiczę jogę.

W słuchawce zapadła cisza. Widocznie Weronika nie była pewna, jak potraktować tę porażającą wiadomość. Na wszelki wypadek zignorowała ją. W końcu była siódma rano.

- Chciałam ci tylko przypomnieć o dzisiejszym spotkaniu klubu.

- Wiem, wiem. Ostatnia sobota. Będę oczywiście.

- A pamiętasz, że to spotkanie wyjątkowe? Nasz jubileusz. - O matko! - jęknęła Olga.

- No właśnie - rzuciła jeszcze Weronika i odłożyła słuchawkę. Kiedyś ją za to zabije, pomyślała Olga. Weronika miała zwyczaj kwitować w ten sposób najbardziej dołujące wiadomości, po czym zęgnęła się szybko i odkładała słuchawkę, a w jej rozmówcy wzbierała irytacja, której nie było na kim wyładować. Olga spojrzała z niechęcią na telefon. No tak, to okrągły jubileusz. Dziesięć lat. Kto by uwierzył, że taki śmieszny, dziecinny pomysł nie tylko doczeka się realizacji, ale w dodatku przetrwa tak długo? Klub Dobrej Wiadomości. Olga uśmiechnęła się na wspomnienie nazwy, którą sama wymyśliła. Irytacja na Weronikę szybko minęła.

Narzuciła na siebie lekki błękitny szlafrok i przeszła do kuchni - niewielkiej, ale dzięki oknom biegnącym niemal od sufitu do podłogi i wychodzącym na południe i na zachód zawsze pełnej światła. Po chwili zapachniało świeżą kawą z domieszką imbiru, cynamonu i czegoś jeszcze, co trudno byłoby zidentyfikować laikowi. Marek nie przepadał za jej kulinarnymi eksperymentami, więc na co dzień pili zwykłą neskę z mlekiem, ale dzisiejszy

poranek był tylko jej. Usiadła przy stole, obejmując dłońmi kolorowy kubek - prezent od Cyryla. Lubiła kolory, były dla niej ważne, ważniejsze chyba nawet niż zapachy.

Nagle uświadomiła sobie, jak wielką przyjemność sprawiają jej te chwile samotności - przy porannej kawie, w łóżku z książką, gdy Marek pracował do późna albo miał służbową kolację czy spotkanie z kolegami, za którymi nie przepadała. A ostatnio nie musiała nawet specjalnie kombinować, żeby znaleźć czas tylko dla siebie. Może coś ze mną jest nie tak? - pomyślała. Przecież ludzie boją się samotności, uciekają przed nią, a ona już w dzieciństwie wolała zaszyć się w jednej ze swoich kryjówek, by poczytać lub porozmyślać, niż bawić się z koleżankami. I choć matka na wszelkie sposoby starała się ją nakłonić do udzielania się towarzysko, nie na wiele się to zdało.

Ani wtedy, ani później nie potrafiła zrozumieć tego lęku przed samotnością odczuwanego przez matkę i większość ludzi. Może dlatego, że dla niej samotność była zawsze luksusem. Nawet teraz jej życie jest wypełnione po brzegi. Właściwie ma wszystko, co potrzebne do szczęścia - kochającą rodzinę, grono sprawdzonych przyjaciół, Marka, dobrą pracę, żadnych kłopotów finansowych. Jest poza tym w miarę młoda, w miarę ładna - nie ma czasu na samotność. I pewnie dlatego tak ją ceni. Mimo wszystko to dziwne, że zamiast robić Markowi wyrzuty, że coraz więcej pracuje nawet w weekendy, z przyjemnością czeka na te chwile, gdy może pobyć sama ze sobą, z tą sobą, którą porzuciła kilka lat temu i o której w swym szczęśliwym, aktywnym życiu prawie zapomniała. Dawna Olga nie dała za wygraną, wycofała się, ale teraz powraca, przypomina o sobie coraz częściej, o swoich planach i marzeniach, których nie zrealizowała. No dobrze, myśli, ale zrealizowała inne, zrobiła rzeczy, o których kiedyś nawet nie śniła. Coś jest jednak nie tak, tylko jeszcze nie wie co.

Olga nie wie, kiedy właściwie doszła do wniosku, że w jej idealnym świecie czegoś brakuje. W dodatku nie potrafi tego braku zdefiniować. Może zabrakło jej do tego odwagi i determinacji, a może jeszcze nie umiała zdobyć się na absolutną szczerość. Próbowwała o tym rozmawiać z Markiem, ale wyśmiał ją: „Dziewczyno, czego ty chcesz? Masz przecież wszystko. Wiesz, ile osób ci zazdrości?” - zapytał retorycznie i oczywiście miał rację. Jak zawsze. Muszę pogadać z Hanką, pomyślała. Tylko co miałyby jej powiedzieć? Jakoś głupio się przyznać, że człowiek nie umie się cieszyć tym, co ma. Myśl o Hance przywołała ją do rzeczywistości. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

- Witaj, Haniu. - Dopiero teraz uświadomiła sobie, która jest godzina. - Och, przepraszam, że dzwonię tak wcześnie...

- Nic nie szkodzi. I tak nie jesteś pierwsza - przerwała jej Hanka. - Weronika dzwoniła jakieś pół godziny temu.

- No tak, mogłam to przewidzieć. Mnie też wyrwała z łóżka. To co? Wieczorem u Karolka?

- Jasne, chociaż... - Hanka zawiesiła głos - ...wprawdzie to rocznicowe spotkanie, ale obawiam się, że nie mam żadnych dobrych wiadomości.

- To tak jak ja - pocieszyła ją Olga. - Musimy jednak coś wymyślić.

Kiedyś nie miały z tym problemu, pomyślała ze smutkiem. Może za bardzo dorosły, a może już zaczynały się starzeć? Tylko dzieci potrafią się cieszyć bez powodu albo raczej we wszystkim widzą powód do radości.

Objęła kubek, grzejąc dłońmi resztki niedopitej kawy. Za oknami narastał gwar codzienności. Przechodnie stukali obcasami, spiesząc do pracy, z daleka słychać było szum samochodów i zgrzyt tramwajów z ulicy Karmelickiej. Na parapecie przysiadł jakiś zbłąkany szary gołąb. Myśli wędrowały swobodnie, przywołując cienie przeszłości. Córka sąsiadów z dołu zaczynała swoje zwykłe ćwiczenia. Przez otwarte okno do mieszkania Olgi wpadały delikatne dźwięki skrzypiec - piękna melodia, niezupełnie czysto zagrana.

Minęło dziesięć lat od beztrudnych studenckich czasów, gdy zakładały klub. Było ich pięć. Wszystkie kończyły pierwszy rok, tylko Marta była bardziej doświadczona. Olga - ku

wielkiej radości matki, realizującej poprzez życie córki własne ambicje, i znacznie mniejszej ojca, który pełen niepokoju czekał na wynik tych eksperymentów - za pierwszym podejściem dostała się na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, ponieważ jednak nie przyznano jej miejsca w akademiku, jesienią 1992 roku przeprowadziła się do ciotki Luizy.

Ciotka miała duże mieszkanie, w starym budownictwie, prawie w centrum miasta. W dodatku żyła w nim sama. I chociaż Olga wolała swobodę domu studenckiego, to musiała przyznać, że ciotka w żaden sposób jej nie ogranicza, a poza tym jest świetnym słuchaczem i przyjacielem. Zresztą z ulicy Lea było tylko parę minut do akademika na Bydgoskiej, gdzie Hanka Skawińska, przyjaciółka z czasów liceum, a obecnie studentka pierwszego roku polonistyki, dostała miejsce w dwupokojowym segmencie. Olga była u niej częstym gościem i szybko polubiła jej współlokatorki. Stworzyły silną, lekko feministyczną grupę, zawsze trzymającą się razem. Świetnie się rozumiały mimo różnych kierunków studiów, pasji i poglądów.

Marta studiowała historię, Weronika - ekonomię, Monika - nauki polityczne. Łączyły je radość życia i podobny system wartości. To może jeszcze nie była przyjaźń, ale bardzo jej bliski układ towarzyski. Trudno przewidzieć, jak potoczyłyby się ich losy, gdyby pod koniec pierwszego roku nie pojawił się ten śmieszny pomysł.

Wiosna była wówczas mocno spóźniona, deszczowa i chłodna, więc wszystkim dawały się we znaki brak słońca i pozimowe osłabienie. Poza tym zbliżała się letnia sesja - najtrudniejsza i najbardziej stresująca. Któregoś popołudnia Olga wpadła na Bydgoską, żeby pogadać i trochę odreagować własne problemy, ale trafiła w oko cyklonu. Hanka nie zaliczyła w drugim terminie kolokwium z lektur i była przerażona, Weronika siedziała z nosem w opasłych podręcznikach ekonomii i nawet nie odpowiedziała na powitanie, Marta opłakiwała kolejny zawód miłosny, a Monika próbowała ją pocieszać, tylko jakoś bez większego przekonania. Na widok bladej i zmęczonej Olgi powiedziała kategorycznie:

- Nic nie mów. Mam już dość słuchania o egzaminach, terminach, złośliwych profesorach i nieodpowiedzialnych facetach. Nie jestem psychoterapeutą, tylko politologiem. Prawie.

Olga wcale się nie przejęła tym chłodnym powitaniem. Lokum na Bydgoskiej i tak miało kojącą atmosferę, nawet gdy jego mieszkanki nie tryskały humorem i optymizmem. Hanka i Marta urządziły swój pokój w stylu orientalnie - hipisowskim, z zapachem egzotycznych kadzidełek. Drugie wnętrze było surowsze, ale dzięki ogromnej liczbie książek, wiklinowym fotelom przywiezionym przez rodziców Moniki i czarno - białym zdjęciom wiszącym na ścianach też miało bardzo przyjazny klimat.

Olga przysiadła więc na fotelu i ciężko westchnęła:

- Boże, tak bym chciała, żeby już były wakacje! Mam dość wszystkiego. Czasem wydaje mi się nawet, że również malowania.

Monika roześmiała się szczerze.

- Serio? A ja myślałam, że malowanie mogłoby ci zastąpić sen, jedzenie albo - co gorsza - seks.

Olga rzuciła w nią poduszką, a Weronika z trzaskiem zamknęła książkę.

- Ja też mam dość. Coś trzeba zrobić...

- Jasne - przerwała jej Hanka. - Na początek kawę. Taką genialną jak ostatnio, z tym czymś... - spojrzała pytająco na Martę.

- Z wanilią i kardamonem - westchnęła ostentacyjnie Marta i poszła do kuchni.

- No dobrze, ale niezupełnie o to mi chodziło - przypomniała Weronika.

Spojrzały na nią, oczekując dłuższego wykładu. Weronika zawsze miała wiele pomysłów, była konkretna, a przy tym przekonująca. W dodatku nawet jej najbardziej absurdalne koncepcje sprawdzały się w praktyce - jak rowerowa wycieczka do Ojcowa... w listopadzie.

- Ostatnio wszystkie jesteśmy w dołku - wiosenne osłabienie, pogoda, zbliżająca się sesja i w ogóle. Poza tym wszędzie słychać narzekania. Wystarczy włączyć telewizor, żeby posłuchać o wojnach, zamachach, aferach albo patologiach społecznych. Nic dziwnego, że ludzie patrzą na siebie wilkiem. Chodzi mi o to, że może stworzyłybyśmy przynajmniej dla siebie jakiś azyl, miejsce - niekoniecznie rozumiane materialnie - pełne optymizmu, życzliwości, dobrej energii. Taki rodzaj, bo ja wiem, stowarzyszenia? Będziemy się spotykać, pomagać sobie, wspierać się. I rozmawiać. Ale przede wszystkim o jasnych stronach życia.

- To bez sensu - odezwała się Marta. - Wsparcie i pomoc są potrzebne w kłopotach, a nie wtedy, gdy wszystko jest super.

- Racja. A poza tym przecież i tak się spotykamy. Zauważ, że mieszkamy razem - dodała odkrywczym głosem Hanka.

- Dzisiaj tak, ale kto wie, co będzie za rok. Zresztą chodzi mi o to, żeby te spotkania miały jakieś ramy - na przykład odbywały się regularnie. To nie może być udawanie w amerykańskim stylu, że wszystko jest świetnie, gdy nie jest. Chodzi mi o to, żeby to było coś bardziej twórczego niż pogaduszki w kuchni.

- Pogaduszki w kuchni są najlepsze - mruknęła Hanka - ale w sumie jestem za. Czasem jedna rozmowa potrafi ustawić cały dzień, zbudować nastrój. O to ci chodzi?

- Właśnie. Nasza osobista broń przeciwko atakującym nas wszelkim negatywnym zdarzeniom i emocjom.

- No, w gromadzie siła - podsumowała Monika.

To był początek. Po burzliwej dyskusji ustaliły, że będą się spotykać raz w miesiącu, w ostatnią sobotę. Miały omawiać aktualne sprawy, swoje doświadczenia - nie tylko te dobre - wątpliwości i problemy. Ale wszystkie te narady powinny się zaczynać od dobrych wiadomości dotyczących ich życia. W sytuacji przymusowej - życia ich bliskich. Takie miały być owe ramy, o których wspomniała Weronika. Wtedy Olga zaproponowała nazwę: Klub Dobrej Wiadomości. Przyjęły ją bez zastrzeżeń.

Pierwsze spotkanie klubu odbyło się kilka dni później, w ostatnią sobotę kwietnia. Prawie wszystkie obowiązkowe dobre informacje dotyczyły studiów: Hanka zaliczyła wreszcie kolokwium z lektur, Marta wygrała konkurs na recenzję książki historycznej, Olga bardzo dobrze zaliczyła grafikę. Dziewczyny cieszyły się swoimi sukcesami, plotkowały o profesorach i kolegach, piły czerwone wino, śmiały się i z entuzjazmem mówiły o przyszłości...

Olga uśmiechnęła się do wspomnień. Tak łatwo cieszyć się życiem i wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę, gdy ma się dwadzieścia lat. Szybko okazało się, że klub doskonale spełnia swoją funkcję, ale żadnej z nich nie przyszłoby wówczas do głowy, że przetrwa dłużej niż do następnej sesji.

Olga spojrzała na zegar. Dopiero minęła ósma. Obiecała, że wpadnie do wydawnictwa koło południa i przyniesie nowe projekty, miała więc sporo czasu. Właściwie powinna zadzwonić do rodziców, dawno u nich nie była. Zrobię to wieczorem - pomyślała. Umyła kubek po kawie, przebrała się w starą dżinsową koszulę i poszła do pracowni. Wszystkie zlecenia były skończone, żadnych zaległości ani pilnych zamówień. Mogła zrobić coś dla siebie. Wyciągnęła farby, pędzle, podeszła do starej szafy pełnej ram, surowych płócien i desek. Wybrała jedną z nich - niewielką, owalnie zakończoną. Idealna - pomyślała i pograżyła się w pracy, zapominając o wieczornym spotkaniu, o Marku, o wydawnictwie. O wszystkim.

Kraków jest najpiękniejszy wiosną, stwierdziła Olga, biegnąc przez Planty. Żółte krzaki forsycji powoli znikwały w coraz bujniejszej fali zieleni. W powietrzu unosił się ciężki i słodki zapach czeremchy, kiście bżów wyciągały ku słońcu pierwsze, z lekka rozchylające się pączki. Bujność natury zamknięta w wąskim pasie okalającym Mały Rynek i mocne, wysokie słońce pozytywnie wpływały na ludzi - stroje były bardziej kolorowe, kroki bardziej

sprężyste, a twarze radośniejsze. W sumie człowiekowi tak niewiele potrzeba, pomyślała Olga.

- Uśmiechasz się do swoich kudłatych myśli czy do wiosny? - usłyszała nagle znajomy głos.

Cyryl. Jego ironiczny stosunek do świata zawsze poprawiał jej nastrój, choć nastawiał także trochę wojowniczo.

- Jedno i drugie, więc uważaj - odparła swobodnie.

- Biegniesz do wydawnictwa? - spytał niemal twierdząco.

- Cóż za zdolności dedukcyjne. Niby tak, ale chętnie potraktuję obowiązek jak przyjemność, więc możesz się przyłączyć.

Minęło już południe, ale Olga nie chciała tracić ani tego spaceru, ani tego spotkania, dlatego zwolniła. Poszli w stronę Bramy Mikołajskiej, jak zwykle pogrążeni w rozmowie.

Lubiła Cyryla. Poznali się kilka lat temu na jakiejś imprezie tuż po zakończeniu sesji na czwartym roku. Przegadali wtedy całą noc. Okazało się, że mają wiele wspólnych tematów, a poglądy na tyle różne, że zwykła rozmowa zmieniła się w dynamiczną i barwną dyskusję. Na początku nawet trochę żalowała, że Cyryl nie jest do wzięcia. Szybko jednak zrozumiała, że to korzystniejsze niż kolejny niezobowiązujący romans. Wiedziała też, że w tym układzie jest stroną biorącą. Cyryl wysłuchiwał jej zwierzeń i wyśmiewał rozdmuchane problemy. Po prostu był. Nigdy zbyt blisko, ale w razie potrzeby wystarczająco blisko.

Nie pamiętała już, kiedy przestał być tylko słuchaczem i zaczął mówić o sobie. Nie było w tej znajomości żadnego planowania, żadnej zasady. Mogli nie widzieć się tygodniami, a potem dzwoniли do siebie albo spotykali się przypadkowo i rozmawiali tak, jakby rozstali się poprzedniego wieczoru. Cyryl bywał też na spotkaniach Klubu Dobrej Wiadomości. W ciągu dziesięciu lat było wielu takich satelitów, ale on był najwytrwalszy. Znał i lubił przyjaciółki Olgi, a ponadto intrygowało go kobiece spojrzenie na świat. Czasem wtrącał w ich dyskusje swoje trzy grosze, wywołując oburzenie, konsternację, pobłażliwe półuśmieszki albo gwałtowne ataki śmiechu. Trzeba jednak przyznać, że gdy się pojawiał, temperatura spotkań rosła, a rozmowy były bardziej błyskotliwe i dynamiczne. Cyryl pozował na cynika - w nic nie wierzył, wszystko podawał w wątpliwość, brutalnie demaskował ludzkie słabostki, dopatrywał się we wszystkim najniższych pobudek, ale miał też duży dystans do siebie. Poza tym potrafił zjednywać sobie ludzi, a zwłaszcza kobiety.

Kiedyś bez uprzedzenia wpadła do niej matka i trafiła na Cyryla, który szarogęsił się w kuchni, podczas gdy Olga kończyła w pracowni jakieś pilne zlecenie. Ponieważ nie mogła doczekać się obiecanej kawy, zeszała zniecierpliwiona na dół i zastała swoją rodzicielkę w doskonałym nastroju, zabawianą rozmową przez Cyryla. Trochę się zirytowała - mogli ją zawołać, w końcu to jej dom - ale powstrzymała się, nie chcąc psuć swobodnego nastroju. Gdy Cyryl pożegnał się ostentacyjnie, całując starszą panią w rękę, matka stwierdziła „Cóż za czarujący młody człowiek”, i spojrzała na córkę z aprobatą. „Taki miły, kulturalny, jakby z innej epoki. Nawet imię ma takie niedzisiejsze”. „Cyryl to nie jest jego imię. To ksywka” - wyjaśniła Olga trochę rozbawiona, a trochę zniecierpliwiona. Denerwowało ją, gdy matka w każdym młodym mężczyźnie widziała potencjalnego męża dla mało odpowiedzialnej córki. „Ksywka?” - matka uniosła pytająco brwi. „Ale bez negatywnego podtekstu”. „Rozumiem. Ale dlaczego akurat Cyryl?”.

Niewinne pytanie wywołało lawinę wspomnień. Kilka lat temu Olga była z całą paczką w teatrze Bagatela na sztuce Raya Cooneya Mayday, w której jeden z głównych bohaterów był zdeklarowanym gejem, miał partnera o imieniu Cyryl i wszystkie swoje kwestie rozpoczynał słowami: „Bo Cyryl i ja...”, „Cyryl powiedział to i to...”, „Cyryl zrobił to czy tamto...”. Do końca przedstawienia Cyryl nie pojawił się na scenie, ale zdominował nie tylko swego kochanka. W pewien sposób narzucił widzom sposób postrzegania homoseksualistów. Kiedy więc kilka dni później na jakiejś imprezie pojawiło się dwóch dosyć przystojnych

młodych mężczyzn, nie ukrywających zupełnie, że są parą, Olga i Weronika zaczęły o nich mówić „Cyryle”. Jeden kończył studia dziennikarskie, drugi był początkującym aktorem. Po kilku miesiącach jeden zniknął z ich życia, a drugi pozostał - na dobre - i nawet zaakceptował przezwisko: też widział sztukę Cooneya.

„To znaczy, no wiesz, «mężczyzna, ale nie fanatyk»” - wyjaśniła Olga, robiąc odpowiednią minę. Matka spojrzała na nią z mieszaniną ciekawości, niesmaku i zaskoczenia. „Chcesz powiedzieć, że on... że jest...” - wykonała nieokreślony ruch dłonią i dokończyła na wydechu: „gejem?”. Olga roześmiała się ze sposobu, w jaki matka wymówiła to słowo, jakby oznaczało jakiegoś egzotycznego, ale niezbyt pięknego owada. Ale dość szybko otrząsnęła się z szoku: „Nawiasem mówiąc, chętnie poznałabym go bliżej. Nigdy nie widziałam z bliska prawdziwego geja!” „Mamo! To nie był eksponat muzealny!” - wykrzyknęła z oburzeniem Olga. „Dobrze już, dobrze. Nic nie mówię.

Ale gdybyś miała ochotę, możesz go zaprosić na weekend do Kalinowej Góry. Luiza byłaby zachwycona” - zachichotała.

O ile jednak Cyryl zawsze robił dobre wrażenie na kobietach, o tyle mężczyźni raczej za nim nie przepadali. Na przykład Marek od początku odnosił się do niego z wyraźną niechęcią, a nawet wrogością. Olga mogła to zrozumieć, ale bolało ją pogardliwe lekceważenie, z jakim o nim mówił i które chwilami przenosił również na nią. Ich pierwsza prawdziwa kłótnia dotyczyła właśnie Cyryla. Marek zasugerował, że powinna sobie darować tę znajomość. „Nie możesz żądać, żebym zrezygnowała dla ciebie z moich przyjaciół” - odpowiedziała ostrzej, niż zamierzała, czym całkowicie go zaskoczyła. „Ależ kochanie, ja niczego od ciebie nie żądam. Chcę tylko, abyś się zastanowiła, czy ta oryginalna znajomość przynosi ci więcej korzyści, czy strat”. „Ja nie oceniam przyjaciół w kategoriach dochodowości” - odparła już naprawdę poirytowana. „Ja zaakceptowałam twoich przyjaciół bez zastrzeżeń, chociaż oczywiście nie wszystkich polubiłam. Nie wiem zresztą, co ci tak naprawdę przeszkadza w Cyrylu”. Marek skrzywił się lekceważąco. „To pozer. Zmanierowany, arogancki typek bez ambicji czy talentu” - odpowiedział, ale przecież nie znał go na tyle. O co tu chodzi? „Cyryl jest inteligentnym, zdolnym, sympatycznym facetem...”. „Też mi facet! Daj spokój, Olu”. Marek stracił cierpliwość. „To zwykły peda! Chociaż to może teraz modne...”. Olga zaniemówiła z wrażenia. Cała złość minęła, tylko zrobiło jej się przykro. Ze względu na Cyryla, na siebie, a przede wszystkim na Marka za to, że tak mówi, tak myśli... jej Marek. Przestała więc mówić o Cyrylu w domu, a z Cyrylem, z poczucia lojalności, przestała także rozmawiać o Marku.

Przeszli powoli przez Mały Rynek i skierowali się na ulicę Mikołajską, gdzie w niedawno wyremontowanej kamienicy mieściło się Wydawnictwo Syriusz. W powietrzu unosił się zapach miasta zmieszany z aromatem świeżego pieczywa z francuskiej piekarni. Na rogu Siennej starszy pan grał na akordeonie walca wiedeńskiego.

- Szkoda siedzieć w pracy w taki dzień - odezwał się Cyryl.

- Wpadnę tylko na chwilę. Muszę oddać projekty. Zrobiłam serię imieninowo - urodzinową. Wezmę nowe zlecenia, a potem pobiegam trochę po sklepach. Czas na wiosenną rewolucję w szafie.

- A wieczorem sabat - dokończył Cyryl.

- O, widzę, że jesteś dobrze poinformowany.

- Weronika wspomniała mi o waszej rocznicy. To naprawdę zdumiewające i takie... takie miłe.

. Olga spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie kpj sobie. Dla nas to ważne. I nie obchodzi mnie, jak to wygląda z boku.

- Ależ ja mówię zupełnie poważnie. - Cyryl teatralnym gestem położył dłoń na sercu i dodał zupełnie serio: - W tym chaosie, który nas otacza, w którym pełno jest brudu i brzydoty,



w którym ludzie codziennie popełniają mniejsze lub większe świństwa, ten wasz klub jest jak wyspa, choć na chwilę dająca schronienie.

Przyjrzała mu się.

- Coś się stało? - spytała rzeczowo. Roześmiał się.

- Jak zwykle czujna. Ta twoja zdolność empatii bywa niebezpieczna. Muszę bardziej uważać.

- Niebezpieczna... - mruknęła Olga. - Racja. Szczególnie dla mnie. To zdecydowanie przereklamowana umiejętność. Masz pojęcie, jakie to stresujące odczuwać problemy i złe emocje innych ludzi, zwłaszcza gdy ciężko sobie poradzić z własnymi? Więc jak, powiesz mi, co się stało?

- Nie, jaskółeczko, to nic takiego. Po prostu obserwuję świat i wyciągam wnioski. A poza tym pamiętaj, że mam ambicje pisarskie.

- No właśnie, ta twoja mroczna, pokręcona wyobraźnia... Na pierwszy rzut oka jesteś normalnym facetem - machnęła niecierpliwie ręką, widząc, jaką minę zrobił na określenie „normalny facet” - ale twoje opowiadania mogą przerazić. Dlaczego w nich tyle perfidnego zła? I jakaś taka gęsta atmosfera. Brr... okropne.

- A wiesz, że to najlepsza recenzja, jaką ostatnio słyszałem? Skoro to poczułaś, to znaczy, że stworzyłem coś wiarygodnego.

- Pał лихо wiarygodność. Ja cię pytam, dlaczego to wszystko takie paskudne.

- Bo świat jest paskudny.

Olga przystanąła na środku chodnika i spojrzała uważnie na Cyryla.

- Nie wierzysz w to, prawda? - raczej stwierdziła, niż zapytała. - To tylko kolejna twoja poza wrażliwego i nierozumianego artysty. Przecież ty lubisz życie, chociaż się do tego nie przyznajesz.

Cyryl uśmiechał się i kiwał głową.

- Możesz tak myśleć. Wprawdzie takie intencyjne myślenie nie zmieni świata, ale tobie będzie łatwiej. Mimo całej swojej nowoczesności, niezależności i trzydziestu lat na karku jesteś wciąż naiwnym dziewczęciem rodem z dziewiętnastowiecznej pensji.

- Wygadujesz bzdury - zniecierpliwiła się Olga i szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

- Nie złość się! - zawołał Cyryl, ale kiedy się z nią zównał, żadne się nie odezwało.

Chwilę szli w milczeniu. Wreszcie on zaczął:

- Właściwie to chciałem cię o coś spytać...

Złość od razu minęła. Odwróciła twarz w jego stronę, odgarnęła włosy z czoła i spojrzała wyczekująco. Gdyby potrafił kochać kobietę, pomyślał Cyryl, byłaby to ona...

- No więc? - ponagliła go.

Tylko kilka kroków dzieliło ich do ciężkich drzwi jasnooliwkowej kamienicy, której dwa górne piętra zajmowało wydawnictwo.

- Wiem, że macie dzisiaj ten wasz sabat. Czy ze względu na doniosłą rocznicę wolicie być same, czy też można się do was przyłączyć?

- A masz się czym wkupić?

- Wkupić? - zdziwił się.

- Dobrą wiadomością. Już zapomniałeś?

- Jasne, że mam. Ja przecież zawsze mam dobre wiadomości. Na przekór wszystkim. Na tym polega mój urok.

- Jesteś niewiarygodnym pomieszaniem z poplątaniem - roześmiała się Olga. - Ale zawsze jesteś mile widziany. O dwudziestej U Karolka. - Odwróciła się i pobiegła w stronę wydawnictwa.

Stojąc już pod drzwiami, uniosła rękę w pożegnalnym geście, widząc, że Cyryl jeszcze patrzy w jej stronę. Nigdy go nie rozgryzę, pomyślała. Ale może to i lepiej.

Wydawnictwo Syriusz zajmowało trzecie i czwarte piętro kamienicy. Amfiladowy układ pomieszczeń sprzyjał rozwojowi życia towarzyskiego i ułatwiał pracę. Olga biegła po schodach, więc nieco zdyszana przekroczyła próg i zgodnie z prawem Marphy'ego pierwszą osobą, na którą się natknęła, był jej szef.

- Ach, pani Jaskólska! Witam, witam. Dawno pani nie widziałem - powiedział z przekąsem.

Olga przywołała na twarz uśmiech przeznaczony dla szefa i nie wspomniała, że to tylko z powodu jego najzupełniej prywatnej wycieczki do Grecji. Cóż, dyrektorzy mają swoje prawa. W gruncie rzeczy lubiła go i doskonale wiedziała, że ze wzajemnością. Doceniał jej pracę, co przekładało się na liczbę zleceń i różne drobne przywileje.

- Zapraszam do siebie - mruknął i nie oglądając się na nią, wszedł do gabinetu.

Tym razem też był zadowolony. Przejrzał wszystkie projekty, pedantycznie poukladał, po czym zaczął przeglądać po raz drugi, uważnie studiując każdy szczegół. Olga przyjęła postawę odpytywanej przy tablicy uczennicy i czekała na werdykt.

- No tak, no tak - posapywał ciężko.

Dyrektor Brzóska niewiele miał wspólnego z drzewem, od którego pochodziło jego nazwisko. Był bardzo słusznego wzrostu i takiejż tuszy, co sprawiało, że wszędzie - - nawet we własnym gabinecie i przy własnym biurku - wydawał się zbyt duży i nie na miejscu. A ponieważ był astmatykiem, zwykle oddychał jak maratończyk na mecie. Jego zwalista sylwetka działała na ludzi deprymująco, toteż reprimend udzielał zawsze na stojąco i z bliskiej odległości. Jeśli wezwany delikwent zastawał dyrektora rozpartego w ogromnym fotelu z brązowej skóry, oznaczało to, że nie ma on wielkich zastrzeżeń i spotkanie będzie miało łagodny przebieg. Olga spojrzała na szefa i uśmiechnęła się w duchu - nie jest źle, ciągle siedzi...

- No tak - powtórzył, odkładając projekty na biurko. - Muszę przyznać, że ma pani dobre pomysły i lekką rękę. A to połączenie rzadsze, niż mogłoby się wydawać. Wiem, co mówię. Pracuję w tej branży pół życia i przez moje ręce przeszło wielu młodych ambitnych, którym się wydawało, że mają talent. A pani? No cóż, kto wie...? Kto wie..?

Szef był oszczędny w pochwałach, ale to pytanie zawieszony w próżni miało zdecydowanie pozytywny wydźwięk.

- Dziękuję, panie dyrektorze - powiedziała oficjalnym tonem Olga.

- A zatem to wszystko - wskazał głową projekty, nad którymi spędziła ostatnie dwa miesiące - idzie do realizacji. Z tego, co wiem, nie ma pani żadnych planów urlopowych, więc proszę się zgłosić do pani Zosi po nowe zlecenie. I chciałbym panią zobaczyć w poniedziałek na zebraniu zespołu. Przymierzamy się do poszerzenia oferty, więc czeka nas sporo pracy. To wszystko. Do widzenia. - Wyciągnął do niej rękę, co robił bardzo rzadko wobec podwładnych.

O poszerzeniu oferty mówiło się w wydawnictwie od miesięcy. Na razie zajmowało się ono kalendarzami, albumami, no i przede wszystkim kartkami okolicznościowymi na wszelkie okazje, czasami nawet bardzo oryginalne. Ostatnio Olga przygotowała projekt kartki dla osób świętujących rozwód. „Świat się zmienia. Ludzie mają najróżniejsze potrzeby i oczekiwania. I często specyficzne poczucie humoru. Naszym zadaniem jest rozpoznawać te potrzeby i wychodzić im naprzeciw. Niech się pani postara, żeby było życzliwie i z humorem" - powiedział wtedy szef. Olga długo miała pustkę w głowie. Nie potrafiła znaleźć żadnej pozytywnej strony takiego rozstania. Zwłaszcza gdy przypominała sobie żenujący spektakl, którego była świadkiem kilka lat temu - sprawę rozwodową Weroniki. Aż pewnego dnia Marek wrócił do domu w środku nocy mocno rozbawiony i niezbyt trzeźwy. Śmiejąc się, tłumaczył jej, że nie mógł odpuścić tej imprezy, gdyż kolega z firmy właśnie uzyskał rozwód i mocno przeżywał odzyskanie wolności. Na prośbę Olgi zdziwiony Marek chętnie opowiedział cały przebieg spotkania, podkreślając najciekawsze jego zdaniem szczegóły i

ilustrując sprawozdanie szowinistycznymi, pikantnymi dowcipami, które udało mu się zapamiętać. Na koniec dodał wyjaśniająco: „Wiesz, kotku, naprawdę mieliśmy co świętować. Ta jego żona była wyjątkowo zołzowata, nie dawała mu żyć. I żeby chociaż była ładna, ale gdzie tam. Zresztą dobrze wychowana kobieta po dwóch latach odchodzi sama”. Tę prowokującą konkluzję Olga zostawiła bez komentarza, a rano zabrała się do pracy. W ciągu jednego dnia przygotowała kilka projektów, które zachwyciły szefa, podobnie jak Marka.

Olga lubiła swoją pracę, chociaż czasami czuła niedosyt. Nie o tym marzyła jako studentka prestiżowego kierunku na ASP. Wtedy wyrażała siebie w sztuce przez duże S, eksperymentowała z różnymi technikami, malowała ambitne obrazy, a nie całujące się hipopotamy na walentynce. Co prawda, profesor uprzedzał ich lojalnie, że zawód, który sobie wybrali, może nie dać im chleba, ale przecież każdy wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. „Nie każdy może być van Goghem czy choćby Malczewskim. Musicie znaleźć pole do samorealizacji. Ważne tylko, abyście pozostali przy tym wierni sobie i swojemu marzeniu” - mawiał.

Olga próbowała różnych zajęć, ale w pełni odnalazła się cztery lata temu, gdy trafiła do Syriusza. Chociaż nie była pewna, czy to ze względu na rodzaj pracy, czy też z powodu ludzi, których tam spotkała. Dyrektor Brzóska zatrudnił ją na etacie redaktora, ale gdy tylko obejrzał jej portfolio, dostała pierwsze zlecenie projektowe. Wymyślała i malowała różne, najczęściej śmieszne historyjki obrazkowe na mniej lub bardziej poważne tematy. Wybrała drogę rzemiosła i była w tym dobra. Syriusz dawał stabilizację finansową, co nie było bez znaczenia, i możliwość rozwoju. Marek cieszył się razem z nią, uważał, że odniosła sukces.

Byli wówczas ze sobą już prawie dwa lata i ich związek wchodził właśnie w bardziej zaawansowaną fazę. Uznali, że czas na prawdziwe wspólne życie, a ponieważ Olga nie chciała zrezygnować ze swojego staroświeckiego mieszkania na ulicy Lea, zaczęli je remontować i tuż przed Bożym Narodzeniem Marek pojawił się u niej z walizkami. Wtedy wszystko było takie proste, pomyślała Olga, biegnąc schodami na czwarte piętro do pani Zosi. Byłam taka młoda, taka szczęśliwa. No ale dzisiaj mam to samo, a nawet więcej. Dlaczego więc nie ma już we mnie tamtej radości?

Zatrzymała się na chwilę przed sekretariatem. Poprawiła włosy, wyprostowała się. Pani Zosia była bardzo pedantyczna, bardzo bystra i niezwykle krytyczna. Tak naprawdę to ona trzymała wydawnictwo w ryzach. Cechowały ją brak sentymentów i żelazna konsekwencja. Mimo drobnej postury nie pozwoliła na siebie pohukiwać dyrektorowi i była jedyną osobą, z której zdaniem zawsze się liczył.

Na widok Olgi sięgnęła do jednej z szuflad biurka i wyciągnęła z niej dużą, mocno opieczętowaną kopertę z warszawskim adresem zwrotnym.

- Pewnie w sprawie konkursu - uśmiechnęła się lekko.

Olga wzięła przesyłkę drżącą ręką. Kilka miesięcy temu rozpisano konkurs na ilustracje do ekskluzywnego wydania niezwykle popularnej powieści fantasy dla młodzieży i wzięła w nim udział mimo sceptycznych uwag Marka. Raz kozie śmierć, pomyślała, rozdierając kopertę. Niecierpliwie wyjęła kremową kartkę i przebiegła wzrokiem kilka linii tekstu. Jeszcze przez moment wpatrywała się w poszczególne zdania, po czym westchnęła głęboko i z rozmachem usiadła na krześle ustawionym przy biurku dla interesantów.

- Tak dobrze czy tak źle? - spytała pani Zosia.

Przez chwilę Olga, zbyt zaskoczona, żeby się zwyczajnie ucieszyć, nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

- Wygląda na to, że wygrałam - powiedziała w oszołomieniu. Powoli docierało do niej znaczenie tego faktu.

- A zatem tak dobrze. Gratuluję - ucieszyła się pani Zosia i dodała nieoczekiwanie: - Zawsze uważałam, że ma pani duże możliwości.

Olga poddała się wreszcie emocjom. Zerwała się z krzesła, ucałowała zdumioną sekretarkę i pobiegła do drzwi.

- Pani Olgo! Zlecenie - usłyszała już za progiem.

- Później, pani Zosiu! Później!

Biegła przez miasto, uśmiechając się do przechodniów. Nareszcie jakaś zmiana, jakieś małe zwycięstwo poprawiające samopoczucie, potwierdzające jej umiejętności, przywracające wiarę we własne siły. Olga rzadko była pewna wartości swych prac, dlatego tak łaknęła pochwał. Miała głębokie poczucie własnej wartości jako osoby, jako kobiety, ale nie miała go zupełnie jako artystka. Zdawała sobie sprawę ze swoich zdolności, ale wątpiła w talent. Chyba właśnie dlatego w jej życiu pojawił się Marek...

Świętowała w gronie kolegów z roku obronę dyplomu. Jakaś dziewczyna przyprowadziła swoją ostatnią zdobycz - młodego prawnika robiącego błyskotliwą karierę. Marek Rymkiewicz zwracał uwagę. Wysoki blondyn o sportowej sylwetce, dobrze ubrany, pewny siebie, ale w granicach swobody, nie arogancki. Jako gospodyni Olga była stale zajęta, więc nie poświęciła mu wówczas wiele czasu. I jakimś cudem Marek zbłąkał się na poddasze do pracowni, obejrzał jej obrazy, grafiki, szkice. A potem odnalazł ją w tłumie, żeby „wyrazić swój podziw”. Otwarcie przyznał, że w dziedzinie sztuki jest laikiem, ale jej prace uważa za fascynujące. Kiedy kilka miesięcy później spotkali się przypadkowo, bez wahania dała się zaprosić na kawę. Był koniec września, jesień na dobre rozgościła się w Krakowie, wprawiając Olgę jak zwykle w lekko nostalgiczny nastrój. Marek idealnie wpasował się w ten klimat, w jej oczekiwania i marzenia. Szybko zostali parą.

Niemal rok później przyznał, że tego pierwszego wieczoru od razu zwrócił na nią uwagę. Na nią, nie na jej obrazy. Obmyślił więc strategię działania, jak się okazało - bardzo skuteczną. To zbyt szczere wyznanie było pierwszą rysą na ich związku, ale Olga była wtedy jeszcze zbyt w nim zakochana, żeby się tym długo przejmować.

Na Rynku zwolniła. Było już na tyle ciepło, że większość pubów i kawiarni rozstawiła stoliki na zewnątrz. Przychodzili tutaj często, przesiadywali w ogródkach, rozmawiali, słuchali ulicznych kapel. To były dobre czasy, wydawało się, że nic nie zakłóci ich szczęścia. Kariera, sukces, spełnienie wydawały się na wyciągnięcie ręki. Tak, wtedy wszystko było proste. Olga westchnęła. Dlaczego dzisiaj nie jest? Ale nie jest też aż tak źle, pomyślała od razu w odruchu samoobrony. Może faktycznie ostatnio trochę nam się nie układa, ale przecież wszystkie pary z sześcioletnim stażem mają lepsze i gorsze dni, przechodzą kryzysy i dalej idą razem, wzmocnione nowym doświadczeniem i wspólnym zwycięstwem.

Postanowiła bardziej się starać, spróbować odnaleźć dawne emocje, nie przypisywać drobnym zdarzeniom i przypadkowym słowom zbyt wielkiego znaczenia - nawet jeśli zapadały w serce i raniły. Otrząsnęła się z tych niezbyt wesołych rozmyślań. Była już na Szewskiej. Na widok wiosennie udekorowanej witryny przyszedł jej do głowy pomysł. Trzeba przecież uczcić wygraną w konkursie. Przygotuje jakieś wykwintne danie, kupi butelkę dobrego wina. Marek będzie mile zaskoczony po powrocie z pracy. Usiądą razem przy stole, tylko we dwoje, jak już dawno tego nie robili, porozmawiają, spędzą trochę czasu razem, bez pośpiechu, bez towarzystwa. Spotkanie z dziewczynami jest dopiero o ósmej. Zdążą.

Przygotowała lody owocowe, wstawiła do zamrażalnika i właśnie kończyła sałatkę z wędzonego łososia, gdy wrócił Marek. Od razu zauważyła, że jest poirytowany. Od kiedy w firmie pojawił się nowy prezes, często mu się to zdarzało. Rzucił niedbale płaszcz w przedpokoju i skierował się prosto do kuchni.

- Ty wiesz, co ten idiota wymyślił?! - zawołał od progu.

- Twój pomysłowy szef...? - rzuciła domyślnie i współczująco.

- E tam, szef. Adam! Naprawdę nie sądziłem, że jest aż tak głupi.

- Ups... - wymknęło się Oldze. Zwrot w konwersacji wyraźnie ją zaskoczył.

Adam był przyjacielem Marka. Znali się od czasów studenckich, razem chodzili po knajpach, razem ćwiczyli na siłowni, grali w squasha, razem pracowali. Bywały między nimi spięcia, kłótnie, a nawet ciche dni jak w starym małżeństwie, ale nigdy nie wiązało się to z takim oburzeniem.

- Żeni się - oznajmił Marek z gniewem i rezygnacją. Usiadł przy kuchennym stole, nie zdejmując marynarki, co niezbitcie dowodziło, jak bardzo jest wytrącony z równowagi.

- Ups... - powtórzyła Olga, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Adam miał już za sobą dwa nieudane małżeństwa, co przy jego trzydziestu trzech latach było sporym osiągnięciem. Olga nie wnikała w prywatne sprawy Adama, spróbowała więc zbagatelizować sprawę.

- Może weszło mu to w zwyczaj. Albo jest fanem numerologii. No wiesz, trzydzieści trzy lata, trzy żony... Trójka jest magiczna.

Marek rzucił jej złe spojrzenie.

- Nie kpj sobie. To wcale nie jest zabawne. Ten idiota próbuje właśnie zmarnować sobie życie.

- Ależ kochanie - sprzeciwiła się - nie rozumiem, skąd ten dramat. Próbował już dwa razy i jakoś ciągle dobrze mu się powodzi. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

- Rzeczywiście nic nie rozumiesz - zezłościł się Marek. - Nie chodzi o to, że się żeni. Ani o to, który raz. Chodzi o to, z kim!

- A z kim? - spytała Olga zaintrygowana.

- Z sekretarką - obwieścił Marek grobowym głosem. - Naszą własną, firmową sekretarką - powtórzył z naciskiem.

Olga przyjrzała mu się uważnie i zachichotała. Ach, więc o to chodzi. Poprzednie żony Adama reprezentowały raczej high life - modelka i dziennikarka lokalnej telewizji. Można je było wszędzie pokazać, można się było nimi pochwalić. Sięgnęła pamięcią do wspólnych imprez - zapamiętała jedynie smukłe sylwetki, przyprowadzające o ukłucie zazdrości, i bardzo modne, bardzo drogie kiecki, których za nic by nie włożyła.

I swoje zdziwienie. W końcu Adam był inteligentnym, miłym facetem. Ale może faceci tak mają - lubią gadzety. O nie, nie mogła sobie odmówić komentarza.

- To super. Będą razem pracować. Może to przyczyni się do większej trwałości związku?

Marek spojrzał na nią zgorszony.

- Nie wiesz, co mówisz! - zawołał. - Kobieto, zastanów się! Adam jest młodym, ambitnym prawnikiem, który lada dzień obroni doktorat. Pracuje w potężnej korporacji i może naprawdę daleko zająć. Ma wszystko: karierę, pieniądze... I może mieć każdą kobietę...

- ...a chce własną sekretarkę. To rzeczywiście fatalnie. Ale czy sekretarki nie do tego właśnie służą? Ach, racja, nie robi się z nich żon. O to ci chodzi? To prawnicze przywiązanie Adama do legalności uważasz za bezsensowne. Lepszy byłby dla niego niezobowiązujący biurowy romans, tak?

- Nie bądź wulgarna. - Marek zaczął tracić cierpliwość. - Zresztą nie wiesz jeszcze wszystkiego. Ona jest starsza od Adama. A poza tym... - zawahał się - poza tym ma dziecko. Sześcioletniego syna. - Najwyraźniej uznał, że ten argument jest rozstrzygający. - Sama widzisz, w co się pakuje - dokończył z goryczą, już bez złości.

Oldze zrobiło się przykro. Za tę bezimienną sekretarkę, której nigdy nie spotkała, za siebie, za wszystkie kobiety, które są za stare, za brzydkie, za grube, porzucone, nieszczęśliwe, które mają tak zwaną przeszłość albo dzieci, które w oczach świata nie zasługują na miłość.

- Spróbuj go zrozumieć - zaczęła delikatnie. - Może się po prostu zakochał. Wiesz, co myślę? Że trzeba wielkiej miłości i jeszcze większej odwagi, żeby zdecydować się na coś

takiego. Zwłaszcza w jego sytuacji, po dwóch rozwodach, zwłaszcza gdy w grę wchodzi dziecko. Jego decyzja o czymś świadczy.

- O tak! O głupocie - zawyrokował Marek twardo. - Daj spokój z tym tanim sentymentalizmem. Wielka miłość! Raczej wielki brak rozsądku i życiowego pragmatyzmu. Najzwyczajniej w świecie pakuje się w kłopoty i sam przekreśla swoją karierę.

Teraz Olga straciła cierpliwość.

- Może o tym nie wiesz, ale są rzeczy ważniejsze niż kariera. A ty jako dobry przyjaciel powinieneś go ostrzec, przekonać, może nawet wyperswadować mu ten bezsensowny pomysł - powiedziała ironicznie.

- Ależ próbowałem! - Marek był zbyt rozdrażniony, aby zwrócić uwagę na jej ton. - Oczywiście, że próbowałem. Prosiłem, tłumaczyłem. Powiedziałem, co o tym myślę, bez owijania w bawełnę, po przyjacielsku. Ale był zupełnie głuchy na moje argumenty.

- Co ci odpowiedział? - zainteresowała się Olga. Marek skrzywił się, jakby zjadł cytrynę.

- To nie nadaje się do powtórzenia. Wygląda na to, że straciłem kumpla - mruknął do siebie, wychodząc z kuchni.

Zrobiło jej się go trochę żal. Naprawdę się przejął. I był przekonany o słuszności swoich racji. Nic dziwnego, że nie rozumiał Adama. Potępiał go i krytykował, bo przecież sam nigdy by się na coś takiego nie zdobył. Trzeba być bardzo przekonanym o własnej wartości, aby kierować się jedynie uczuciami, żeby nie szukać w związku potwierdzenia własnej pozycji i atrakcyjności.

Olga wróciła do robienia sałatki. Z głębi mieszkania dobiegały odgłosy zwykłej krzątania - Marek mył ręce, przebierał się, słychać było dźwięk otwierania i zamykania szafy. Po chwili znowu pojawił się w kuchennych drzwiach.

- Czy coś przegapiłem? - spytał z uśmiechem.

Jedną z jego najbardziej irytujących, ale też niezwykle ułatwiających życie cech była zdolność do błyskawicznej regeneracji, przechodzenia do porządku dziennego nad zdarzeniami zarówno dobrymi, jak i złymi. Szybko wpadał w gniew, ale też po chwili zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Po prostu wyrzucał z siebie wszystko, niczego nie tłumił, nie rozpamiętywał, nad niczym długo się nie zatrzymywał. Żył szybko i aktywnie i w jego życiu wszystko wydawało się chwilowe - mieszkanie, miejsce pracy, nawet poglądy. Nagle Olga uświadomiła sobie, że oprócz ambicji zawodowych i przyjaźni z Adamem (stojącej obecnie pod znakiem zapytania) tylko ona jest w świecie Marka elementem długotrwałym.

- Kwiaty, wino... Co świętujemy? Chyba nie zapomniałem o żadnej rocznicy?

- Tym razem nie - uśmiechnęła się. Zaczerpnęła głęboko tchu i powiedziała: - Wygrałam konkurs. Będę ilustrować „Przygody Borgemunda”. Pamiętasz, kilka miesięcy temu...

- Ależ oczywiście, że pamiętam - przerwał jej. - Więc jednak. Cieszę się. Naprawdę. - Przytulił ją mocno i pocałował w policzek. - Moje gratulacje. Słuchaj, doskonale się składa - uczymy twój sukces wystawną kolacją. Miałem zadzwonić wcześniej, żeby cię uprzedzić, ale mieliśmy dzisiaj w firmie straszny młyn. Idziemy wieczorem do restauracji Pod Różą. Borowski doprowadził wreszcie do końca sprawę Ol - Staru, zgarnął niezłą kasę i wydaje przyjęcie. - Rzucił okiem na półmisek z sałatką. Nabrał trochę na widelec i posmakował. - Hm... dobre - pochwalił. - Będzie jak znalazł na jutro. A teraz zmykaj z kuchni i przygotuj się. Chcę, żebyś wyglądała pięknie. No, o co chodzi? - spytał, widząc jej wahanie.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Przecież ci tłumaczę. Zresztą sam też dowiedziałem się dzisiaj. Jakiś problem?

- Przykro mi, ale nie mogę z tobą iść. Mam już inne plany na wieczór. Właśnie dlatego przygotowałam wczesną kolację. Chciałam, żebyśmy pobyli trochę razem, a nie tylko w tłumie obcych ludzi - powiedziała z żalem.

- To nie są dla mnie obcy ludzie - sprzeciwił się Marek. - Zobaczysz, będzie fajnie. Przecież możesz zmienić plany i odwołać to swoje spotkanie...?

- Nie mogę. To ostatnia sobota kwietnia, spotkanie naszego klubu...

- No tak, comiesięczna pańszczyzna - westchnął Marek. - A co by się stało, gdybyś nie poszła? W zeszłym miesiącu nie byłaś - przypomniał sobie.

- Bo byłam chora - odparła Olga. - To dla mnie ważne. To moi przyjaciele.

- Ach, przyjaciele... Czyli mam rozumieć, że oprócz stałego składu będzie też Cyryl - w jego słowach zabrzmiały ironia i rozdrażnienie. - Znowu będziecie cały wieczór siedzieć w tej podejrzananej speluncie, plotkując o niczym. Masz rację, to świetny wybór. W końcu ja ci proponuję tylko elegancką kolację w świetnej restauracji i w dobrym towarzystwie.

- Dobrze, że wspomniałeś o dobrym towarzystwie, bo ani marka lokalu, ani szampan i kawior na stołach nie przesądzą dla mnie o jakości imprezy.

Wbrew sobie Olga dała się wciągnąć w tę bezsensowną dyskusję. Zaboląły ją ironia i lekceważenie w jego głosie, zignorowanie jej planów i potrzeb. Zresztą nie pierwszy raz. Starła się nie robić z tego problemu, ale to Marek najczęściej planował ich życie, decydował za nią. Na początku była z tego nawet zadowolona. Wydawało się, że tak wiele chce jej dać. Później zaczęło ją to uwierać. Nie brał pod uwagę jej zdania, nigdy nie pytał, a jeśli nawet, to oczekiwał jedynie potwierdzenia. Kiedyś przyszło jej nawet do głowy, że po prostu się z nią nie liczy, ale szybko zdusiła tę myśl. Nie była wówczas gotowa, by stawić jej czoło.

- No cóż, rób, jak uważasz. Nie myśl tylko, że z powodu twoich fanaberii odpuszczę sobie tę imprezę - odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Coś takiego nawet mi przez myśl nie przeszło... - powiedziała Olga już do siebie.

Przez kilka chwil słyszała jeszcze odgłosy przygotowań, mocniejsze niż zwykle, ostentacyjne, aż wreszcie Marek wyszedł z domu obrażony. Kiedyś pewnie pobiegłaby za nim. Dziś już nie.

Może to ja się zmieniałam, nie on, pomyślała w popłochu. Może to moja wina, że nam się nie układa. Jak mawia ciotka Emilia, mądra kobieta potrafi nie tylko utrzymać przy sobie mężczyznę, ale potrafi też go wychować. Widocznie ja nie należę do tych mądrych, stwierdziła Olga bez większego żalu.

Zdjęła bawełniany fartuch i poszła do salonu. Rzuciła okiem na półkę z płytami, chwilę się zastanawiała, po czym wzięła do ręki najnowszy krążek Enyi. Po chwili w całym mieszkaniu rozbrzmiały łagodne, celtyckie dźwięki. Olga spojrzała na zegarek - była dopiero siedemnasta trzydzieści. Przygotowała sobie gorącą kąpiel z olejkiem lawendowym, aby zagłuszyć w sobie niesmak i zniechęcenie po rozmowie z Markiem. Odświeżyła się i zrelaksowała. Spokój wrócił szybko, ale smutek pozostał. Spojrzała na stół i po chwili namysłu otworzyła butelkę wina. Nalała sobie kieliszek.

- Za powodzenie wszystkich planów. I za marzenia - powiedziała głośno i wypita łyk.

Wino miało głęboki, cierpki smak. Taki, jak lubiła. Zatrzymała wzrok na drugim kieliszku i w końcu sięgnęła po telefon.

- Hanka? Co robisz? Masz trochę czasu? Może wpadłabyś do mnie. Aha, teraz. Tak, pójdziemy razem. Co? Nie, nic się nie stało. Po prostu mam otwarte dobre wino. Tak, czekam.

Pub U Karolka miał równie bezpretensjonalny wystrój jak nazwę. Mieścił się w zaułku wąskiej uliczki niedaleko Rynku. Byłaby to idealna lokalizacja, gdyby nie fakt, że dość trudno było do niego trafić. Wejście znajdowało się w starej, ciemnej bramie, a drewniany szyld raczej nie rzucał się w oczy. Karolek potakiwał grzecznie, gdy doradzano mu, żeby

zainwestował w reklamę, udawał, że się namyśla, i oczywiście wszystko zostawało po staremu.

Wnętrze było surowe, ale nie w rażący sposób - tylko drewno, szkło i kamień. Niskie drewniane, masywne stoliki ze szklanymi blatami, pod którymi umieszczono zasuszone kwiaty, liście, gałązki, a także kamienie i muszle, ławy z potężnych bali przykryte poduszkami z szarego płótna. Przy barze w kształcie podkowy zamiast wysokich krzeseł zainstalowano huśtawki na grubych sznurach, przymocowane do belki pod sufitem. Wszystko razem tworzyło klimat świetlicy w starej chłopskiej chacie. Wrażenia dopełniał kamienny kominek umieszczony w rogu sali. Najprzyjemniej było tu jesienią i zimą, gdy w kominku buzował ogień, a z głośników płynęły rockowe kawałki, delikatny jazz lub piosenki Barry'ego White'a, którego Karolek był wielbicielem. Latem knajpka traciła połowę uroku, ale zyskiwała niewielki ogródek zarośnięty paprociami i pachnącym groszkiem, do którego wchodziło się przez oszklone drzwi.

Olga pojawiła się tu po raz pierwszy pięć lat temu, wprowadzona przez swojego brata Rafała, który przyjaźnił się z Karolem. Od początku wydawało jej się, że nie jest to znajomość czysto barowa, ale nigdy nie miała odwagi spytać o to Rafała. Pewnego razu zaciągnęła tu Hankę i Weronikę i od tej pory było to stałe miejsce spotkań Klubu Dobrej Wiadomości.

Wybiła właśnie dwudziesta, gdy Weronika wchodziła w ciemną bramę prowadzącą do pubu. Zawsze była punktualna niczym szwajcarski zegarek, niezwykle systematyczna, precyzyjna i konkretna jak równanie z jedną niewiadomą, co zawdzięczała ściślemu umysłowi ćwiczonemu od dziecka przez ojca, profesora matematyki, wykształceniu ekonomicznemu albo pracy w banku na dość wysokim stanowisku. Łatwo mogła stać się nudna i przewidywalna, lecz ratowało ją poczucie humoru oraz lekko ironiczny dystans do świata i siebie. Była zadbaną, atrakcyjną kobietą i robiła wrażenie na mężczyznach, o czym wiedziała i co bez skrupułów wykorzystywała. Ale od trzech lat, od spektakularnego krachu swego małżeństwa, nie związała się z nikim na stałe. Uznała, że spłaciła już haracz społecznym normom i konwenansom, i mogła już sobie pozwolić na niezależność. Traktowała mężczyzn jak wygodny i przyjemny dodatek do życia. Lubiała mówić o sobie, że jest łagodnym typem modliszki - nie poluje i nie zabija, raczej pozwala się upolować, ale żaden z triumfatorów nie może cieszyć się swoją zdobyczą zbyt długo.

Pewnym krokiem weszła do środka i rozejrzała się - większość stolików była zajęta, ale Olgi i Hanki jeszcze nie było. Zdziwiła się trochę, że antresola jest wolna - ulubione miejsce stałych bywalców, nie licząc huśtawek. Podeszła do baru i przywitała się z Karolkiem.

- Antresola ma rezerwację? - spytała.

- Oczywiście - uśmiechnął się. - Dla was.

Zamówiła martini i z kieliszkiem w ręku usiadła przy miniaturowym balkoniku. Przez uchylone okno wdzierał się do środka wiosenny chłód i wilgotny zapach drzew. Ołowiane niebo zdawało się wisieć tuż nad dachami domów. Jestem zmęczona, pomyślała. Ostatnie tygodnie to była prawdziwa harówka. Ale warto było. Została wiceprezesem i weszła do rady nadzorczej. Przecież o to jej w życiu chodziło, o zwycięstwo, o satysfakcję, o to, żeby matka była z niej dumna.

Planowała swoje życie i skrupulatnie realizowała te plany. Czasami zastanawiała się, dlaczego zależy jej na znajomości z Hanką i Olgą i na istnieniu tego śmiesznego klubu. Może naiwnie usiłowała zatrzymać uciekającą młodość? I choć wątpliwości miała wiele, jedno było pewne: że te comiesięczne spotkania stanowiły dla niej jakiś punkt odniesienia.

Pierwszy pojawił się Cyryl, co ucieszyło Weronikę. Był jednym z niewielu mężczyzn, których ceniła. Uśmiechnął się do niej z daleka, po czym utknął przy barze. Zanim dotarł do antresoli, w drzwiach stanęły podejrzenie rozbawione dziewczyny. Po chwili cała czwórka siedziała przy stole.



- No, to jesteśmy w komplecie - powiedział Weronika. - Kto dzisiaj zaczyna?

Zgłosiła się Olga, którą spotkanie z Hanką i wypite wcześniej wino podniosły nieco na duchu. Opowiedziała o wygranej w konkursie, o wielkim wyzwaniu, o swojej radości i satysfakcji, o tym, jakie nowe drogi mogą się przed nią otworzyć. Tutaj mogła w pełni cieszyć się sukcesem. Prawie zapomniała o kłótni z Markiem. Nie pierwszej zresztą i pewnie nie ostatniej. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zanurzyła się w klimacie optymizmu i akceptacji.

Dobra wiadomość Weroniki wywołała najpierw zaskoczenie, choć wszyscy wiedzieli, że szybko pnie się po szczeblach kariery, a potem nieklamany entuzjazm. Cyryl pozbiarał puste kieliszki i poszedł do baru z nowym zamówieniem.

- Twoja kolej, Hanka - powiedziała Olga. Hanka spojrzała z wahaniem na przyjaciółkę.

- Nie wiem, czy moja wiadomość będzie dobra... Rzucam pracę w liceum - oznajmiła i wyciągnęła rękę po kieliszek, który właśnie pojawił się na stole.

Cyryl zagwizdał cicho.

- A jednak - mruknął. - Trochę się tego spodziewałem. Weronika spoglądała zdumiona to na jedno, to na drugie.

- Zaraz, o czym wy mówicie? Czy rezygnacja z pracy w dzisiejszych czasach jest dobrą wiadomością? Czegoś tu nie rozumiem. Albo po prostu nie wiem.

- Wiesz wszystko, Nika, bo informowałam was na bieżąco, tylko nie wyciągasz wniosków.

- Owszem, moja droga, mówiłaś, że szkoła zmienia się na gorsze, że masz wredną dyrektorkę i powoli przestajesz lubić młodzież, ale co innego narzekanie, a co innego taka decyzja. Ja też mam okropnego szefa, ale to przecież nie powód, żeby rzucać pracę!

- Jak dla kogo - odparła Hanka. - Ty masz wojowniczą naturę, ja nie. - Pociągnęła łyk wina. - Jak to mówią: „Za miękka jestem do tej roboty”. Nie radzę sobie.

- Daj spokój - sprzeciwiła się Weronika. - Pracowałaś już w domu dziecka i w szkole specjalnej. Jakoś sobie radziłaś i to chyba w warunkach gorszych niż w renomowanym liceum.

- Tam przynajmniej wiedziałam, że robię coś pożytecznego. Mogłam tym dzieciakom coś dać. I dla nich też miało to znaczenie.

- Czekajcie - wtrąciła się Olga. - Hanka, opowiadaj po kolei. Dlaczego odchodzisz i co zamierzasz? A przede wszystkim, dlaczego twierdzisz, że to dobre posunięcie? Hanka uśmiechnęła się jakoś dziwnie miękko.

- Dobre, bo wracam do mojej starej miłości - powiedziała z przekonaniem.

Olga zaczęła się wreszcie domyślać, o co chodzi. W czasie studiów Hanka miała praktyki nie tylko w szkołach, ale także w różnych placówkach opiekuńczo - wychowawczych. Wizyty w internatach, świetlicach dla trudnej młodzieży czy domach dziecka przechodziły bez echa, aż pewnego dnia trafiła do szkoły dla dzieci niesłyszących. I wróciła zachwycona. Zadręczała wszystkich wokół swoimi opowieściami i entuzjazmem. Po czwartym roku filologii zaczęła robić kurs surdopedagogiki. Marzyła jej się praca z maluchami. Po studiach okazało się jednak, że znalezienie etatu w tego typu szkole wcale nie jest łatwe. Po miesiącach poszukiwań zaczęła pracować w podstawówce w podkrakowskiej wsi. Kiedy rok później dzięki siostrze została zatrudniona w renomowanym krakowskim liceum, była zachwycona. Wszystko się popsuło po zmianie dyrekcji.

- Powinnam się była domyślić - stwierdziła Olga. Hanka pokiwała głową z uśmiechem.

- Jaki sens ma praca, która nie daje radości, męczy, przynosi stres i frustrację? - zapytała retorycznie. - Od dawna miałam dość ogólniaka i absurdalnych pomysłów szefowej. Dość arogancji, bezmyślności i totalnego tumiwizizmu małolatów. Nie chcę za kilka lat być zgorzkniałym babskim nienawidzącym ludzi, a zwłaszcza ludzi młodych. - Hanna spojrzała na Weronikę. - Los się do mnie uśmiechnął. Jak mogłabym nie wykorzystać tej szansy?

Dotrwam do końca roku szkolnego, a potem przechodzę na pełny etat do Specjalnego Ośrodka Szkolno - Wychowawczego dla Dzieci Niesłyszących. Przede mną jeszcze tylko rozmowa z dyrektorką. Brr... Ale decyzja została już podjęta. I to jest ta dobra wiadomość.

Na chwilę przy stoliku zapadła cisza. Wreszcie Weronika powiedziała z namysłem:

- Ale to przecież... to chyba degradacja. Finansowa również. Hanka się roześmiała.

- Bardzo możliwe. Pamiętaj jednak, że w żadnej szkole nie zarabia się kokosów.

- Kobiety są jednak nieprzewidywalne - stwierdził Cyryl - i właśnie to w was uwielbiam.

Składając gratulacje Hance, Olga pomyślała z zazdrością, że sama nie ma tyle odwagi. Żeby tak po prostu zejść z utartego szlaku i zacząć wszystko od nowa. A może to właśnie odwaga decyduje o szczęściu, o powodzeniu w życiu? Nawet jeśli człowiek wie, gdzie tego szczęścia szukać, nie zawsze przecież potrafi po nie sięgnąć.

- No dobrze - powiedziała nagle Hanka i wycelowała palec w Cyryla. - Twoja kolej.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę.

- Nie, nie. Ja przecież nie jestem pełnoprawnym członkiem klubu - bronił się słabo.

- Nie kręć, tylko mów. Masz przecież dobrą wiadomość - przypomniała Olga.

- No, skoro nalegacie... - westchnął obłudnie. - Wczoraj podpisałem umowę z wydawcą. Kilka moich opowiadań drukowanych w czasopiśmie ukaze się w formie książkowej.

- Wspaniale! I widzicie, udało nam się rocznicowe spotkanie - przypomniała Weronika.

- Już dawno nie było tylu dobrych i w dodatku tak ważnych wiadomości. Trzeba to uczcić. Co powiecie na szampana?

Hanka spojrzała dyskretnie na zegarek.

- Czy można z tym trochę poczekać? Mam dla was jeszcze jedną dobrą wiadomość - w formie niespodzianki. Ale jeszcze nie teraz...

Dziewczyny były zaintrygowane, lecz Hanka uparła się, że nic nie zdradzi. Cyryl nie mieszał się do sporu, zastanawiał się nad czymś głęboko i po chwili zaskoczył je pytaniem:

- Zauważyliście pewną prawidłowość? Z naszej rozmowy wyłania się pewien schemat, który nas charakteryzuje... - przerwał, spoglądając na nie z ironicznym uśmiechem.

- No dobrze, mów w końcu, co tam sobie wykombinowałeś - zniecierpliwiła się Weronika, która jak zwykle czuła się trochę nieswojo pod jego badawczym spojrzeniem.

- Wszystkie nasze dobre wiadomości dotyczą pracy - powiedział powoli i dobitnie. - Rozumiecie? Mówimy o sukcesach zawodowych, awansach, umowach, nowych wyzwaniach. Nigdy nie rozmawiamy o naszym życiu osobistym, uczuciowym. Dlaczego?

Cały niefrasobliwy nastrój gdzieś się ulotnił w jednej chwili.

- Powiem wam dlaczego - zawiesił głos i zakończył dramatycznie: - Nie mamy dobrych wiadomości w tej dziedzinie.

- Niech cię diabli, Cyryl! - zawołała Weronika. - Dzisiejsze spotkanie miało być wyjątkowe. Koniecznie chcesz wszystko zepsuć?

- Co zepsuć? - padło od strony schodów pytanie wypowiedziane miłym kobiecym głosem.

Cztery głowy jak na komendę zwróciły się w tym kierunku.

- Monika! - wykrzyknęła Olga, patrząc na elegancko ubraną kobietę z uśmiechem na twarzy.

- Oto moja niespodzianka - powiedziała Hanna z satysfakcją, podczas gdy reszta towarzystwa witała dawno niewidzianą przyjaciółkę, niegdyś członkinię klubu.

- Od kilku dni jestem w Polsce. Przyleciałam z rodziną na miniaturowe wakacje - wyjaśniła Monika. - Pomyślałam sobie, że warto byłoby odświeżyć stare znajomości, a kiedy zadzwoniłam do Hanki, powiedziała mi o jubileuszu. Uznałyśmy, że to świetna okazja na spektakularne wejście - roześmiała się swobodnie.

Monika pierwsza wykruszyła się z ich starej piątki. Gdzieś w połowie studiów zakochała się w średnio przystojnym doktorancie, któremu wróżono wielką karierę naukową. Wyszła za niego jeszcze przed obroną pracy magisterskiej, a tuż po zakończeniu nauki pojechała za nim do Belgii, gdzie zdobył prestiżowe stypendium naukowe. Mieli wrócić po roku, ale szybko się okazało, że wiedza, ambicja i pracowitość są tam bardziej cenione niż w Polsce.

Monika pogodziła się z emigracją, choć nigdy jej nie planowała. W obcym kraju przyszły na świat jej dzieci, w obcym kraju stworzyła od podstaw swój dom. Na początku kontaktowała się z przyjaciółkami dosyć często, ale rodzina stała się zbyt absorbująca i kontakty najpierw się rozluźniły, a później całkiem ustały. Teraz nadrabiała stracone lata i streszczała przyjaciołom swoje życie.

Było już po północy, gdy tematy aktualne zastąpiły wspomnienia. I wtedy Hanka trochę bez związku zapytała:

- Powiedz, nie tęsknisz za krajem? Za domem, za Krakowem, za naszymi miejscami?

- Owszem. Ale tęsknota nie musi być destrukcyjna, może być twórcza. A poza tym: „Tam serce twoje, gdzie skarb twój” - zacytowała Monika. - Zrozumiesz to, gdy będziesz miała dzieci - dodała z uśmiechem.

- Właściwie nie musimy cię chyba odpytywać z dobrych wiadomości - roześmiała się Weronika. - Wszystko, co powiedziałaś, pasuje idealnie na rocznicowe spotkanie klubu.

- No tak. - Monika też się uśmiechnęła. - Ale mogę to skrócić: ciągle jestem zakochana w mężu i to ze wzajemnością, mam absolutnie cudowne dzieci i pomimo różnych problemów jestem zwyczajnie szczęśliwa...

Po tej deklaracji zapadła cisza i chociaż Monika tego nie zauważyła, wszyscy odczuli lekkie zakłopotanie. Żadnego z nich nie byłoby stać na takie wyznanie i żadne nie potrafiłoby chyba powiedzieć dlaczego...

## II

Dni były coraz dłuższe i cieplejsze. Olga doceniała urok krakowskiej wiosny, ale tęskniła za otwartą przestrzenią pól i łąk, za śpiewem skowronków, za widokiem wschodzących zbóż, za wilgotnym, głębokim zapachem kwitnących sadów, za tajemniczością i miękkością polnych ścieżek. Choć wiedziała, że jej sposób widzenia wsi daleki był od prawdy, a jeszcze dalszy od współczesności. Literackie obrazy przeplatały się w niej ze wspomnieniami z dzieciństwa spędzonego w leśniczówce i z wakacji u dziadków.

Olga lubiła zmienność natury, nadającą rytm życiu jej przodków. Toteż zawsze chętnie wracała do domu - w czasach przepisowego młodzieńczego buntu, który ją trochę ominął, bo nie miała się przeciw czemu buntować, w czasach studenckich i nawet teraz, gdy właściwie miała już własne życie. Uwielbiała swoje krakowskie mieszkanie, kochała to miasto, ale wracała do leśniczówki w Kalinowej Górze, jak się wraca do domu - z radością, z nadzieją, o każdej porze roku, dnia i nocy, żeby w pełni nacieszyć się tym, co było w świecie dzieciństwa stałe, i tym, co nieustannie się zmieniało.

Początkowo planowała spędzić długi majowy weekend właśnie w leśniczówce, ale kiedy Marek zaproponował romantyczny wyjazd do Kazimierza Dolnego naprawdę się ucieszyła. Wszak leśniczówka zawsze będzie czekać, a oni tak dawno nie wyjeżdżali nigdzie razem. Wreszcie będą mieli czas tylko dla siebie, będą mogli spokojnie porozmawiać, wszystko sobie wyjaśnić. Może zniknie to napięcie i rozdrażnienie. Wszystkie pary przechodzą przecież kryzysy - powtórzyła sobie Olga po raz nie wiadomo który.

Ostatni poniedziałek kwietnia był bardzo pracowity. Najpierw burzliwe zebranie i niekończące się dyskusje na temat nowej oferty oraz zmiany wizerunku wydawnictwa, potem omawianie konkretnych zleceń i planowanie pracy na najbliższy miesiąc. We wtorek od rana pracowała nad projektami, ale po południu w ramach odpoczynku postanowiła przygotować jakiś dobry obiad. Jednocześnie w myślach planowała już, co powinna zabrać do Kazimierza. Pokroiła pomidory, ogórki i sięgnęła do szafki po składniki na sos. Jak zwykle w takich sytuacjach okazało się, że nie ma najważniejszego - białego octu winnego. Spojrzała na zegarek, była dopiero piętnasta, Marek wróci najwcześniej za godzinę. Zdaży wyjść na małe zakupy.

Przebrała się szybko i chwyciła skórzany plecak. Otwierała już drzwi, gdy zadzwonił telefon.

- Cześć, skarbie - zaczął Marek podejrzanie czułym tonem, więc Olga automatycznie nastawiła się na złe wiadomości.

- Posłuchaj, mam mnóstwo pracy, będę musiał zostać dzisiaj dłużej. Wrócę późno. Nie czekaj na mnie. Przepraszam - dodał po krótkiej przerwie.

Olga wyczuła w jego głosie wahanie.

- W porządku. Mówi się trudno - oznajmiła niefrasobliwie i trochę pocieszająco, choć wiedziała, że Marka nigdy nie smuci nadmiar pracy. - Jakoś zorganizuję sobie wieczór. Może zacznę się pakować... - dodała.

- No właśnie, a propos pakowania... - zaczął Marek dość nieporadnie, ale Olga już wiedziała, co usłyszy. Usiadła i spokojnie wysłuchiwała mętnych tłumaczeń: dostał pilne i prestiżowe zlecenie, nad którym musi popracować przez weekend. - Zrozum kochanie, to dla mnie bardzo ważne. Jeżeli dobrze to rozegram, mogę wiele zyskać. I nie chodzi mi tylko o pieniądze, chociaż w grę wchodzi dość duża suma, ale o reputację, o znaczenie w środowisku. Wiesz, takie rzeczy błyskawicznie się rozchodzą... Rozumiesz, prawda? - spytał z nadzieją. - Kochanie, jesteś tam?

- Rozumiem. Oczywiście, że rozumiem - odparła bez emocji.

- Wynagrodzę ci to. Przecież Kazimierz nie ucieknie, a za miesiąc będzie tam jeszcze piękniej. Pojedziemy innym razem, zobaczysz - obiecywał, być może całkiem szczerze, ale

Olga nie ufała już mu tak, jak kiedyś. Miała zresztą ku temu powody. Powiedziała jednak tylko:

- OK. Nie przejmuj się. Dam sobie radę. Cóż, miłego dnia. Miłej pracy - dodała i odłożyła słuchawkę.

Chwilę siedziała bez ruchu.

- Niech to szlag! - rzuciła wreszcie ze złością.

Zaczęła się zastanawiać, czym wypełnić cztery wolne dni. Nie chciała jechać do Kalinowej Góry, nie w tej sytuacji. Rodzice wiedzieli o jej planach. Gdyby powiedziała im prawdę, zaczęłyby się niewygodne pytania, a nie chciała kłamać. Dziewczyny? Hanka planowała wyjazd z siostrą i jej córką do jakiejś stadniny. Weronika wspominała coś o Pradze i tajemniczym wielbicielu. Wygląda na to, że zostałam sama, pomyślała. Dopiero teraz zauważyła, że trzyma w dłoni w plecak. No tak, zakupy, obiad... Tylko po co? Rozejrzała się po swoim przytulnym mieszkaniu z lekką irytacją. Muszę stąd wyjść, pomyślała. Spojrzała niepewnie na telefon i po chwili zdecydowanym ruchem podniosła słuchawkę. Wykręciła dobrze znany sobie numer.

- Rafał? Cześć. Co robisz? Masz trochę czasu? Tak, tak. Co byś powiedział na dobry obiad? Na przykład w Chimerze? Aha, ja stawiam. Nie, w porządku. - Spojrzała na zegarek. - Zdążysz na czwartą? Dobrze, pa.

Zrezygnowała z jazdy tramwajem. Miała dość czasu na spacer. Wyszła z domu i skręciła w Karmelicką. Postanowiła nie myśleć o Marku, o tym, że znów zostawił ją na lodzie. Perspektywa spotkania z Rafałem podniosła ją na duchu. Rzadko się ostatnio widywali, a przecież byli sobie bardzo bliscy. Przyjaźnili się, co wcale nie jest regułą wśród rodzeństwa. Rafał dużo ostatnio pracował, był wycieńczony i rozdrażniony. Olga pomyślała, że takie spotkanie obojgu im dobrze zrobi.

Rafał od zawsze był dla niej najważniejszą osobą w rodzinie. Pięć lat starszy, był jej opiekunem i mentorem. Wymyślał dla niej zabawy krył ją przed rodzicami, zabierał na leśne wyprawy, uczył jeździć na rowerze i często też woził na bagażniku swojego składaka. Miała z nim doskonały kontakt nawet wówczas, gdy jako nastolatek zawzięcie kopał piłkę i popalał po kryjomu pierwsze papierosy. Ich relacja trochę się rozluźniła, gdy po maturze Rafał zdecydował się na wyjazd do szkoły policyjnej. Olga z niecierpliwością czekała na każde jego odwiedziny w rodzinnym domu. Właśnie wtedy ich układ nauczyciel - uczennica powoli zaczęło zastępować partnerstwo, które nigdy nie łączyło jej ze starszym tylko o dwa lata Michałem. Prawdziwe porozumienie odnaleźli dopiero, gdy on zaczął studia. Wcześniej darli koty i toczyli nieustanne spory, w których Olga była bardziej stanowcza i uparta, wiedząc, że ma za plecami Rafała. Od kilku lat Rafał mieszkał w Krakowie, więc widywali się dość często. Najchętniej u Karolka.

Kiedy Olga weszła do Chimery, Rafał siedział już przy stoliku w głębi sali i popijał colę. Wstał i uściskał ją na powitanie.

- Dla ciebie też coś do picia? - spytał.

- Mnie by się przydało coś mocniejszego. Na poprawę nastroju...

- O, coś się stało? - Odsunął ją na odległość ramion i spojrzał uważnie. - No dobrze, siadaj i mów.

Zrobiła dokładnie to, co jej polecił. Bezbarwnym głosem opowiedziała bratu o dzisiejszej rozmowie z Markiem, o swoich zrujnowanych planach, o podłym samopoczuciu. A potem umiejętnie podpytywana i prawdziwie słuchana, popijając owocową herbatę, wyjawiała wszystkie swoje wątpliwości, rozczarowania, niespełnione oczekiwania, słowem całą tę kryzysową sytuację, z której nie potrafiła wybrnąć. Nie obawiała się, że usłyszy: „A nie mówiłem”, choć zdawała sobie sprawę, że Rafał zawsze podejrzliwie przyglądał się Markowi, jakby czekając na jego potknięcie czy błąd. Bo nigdy nie kierował się

uprzedzeniami i nie wydawał pochopnych sądów. Właśnie dlatego teraz tak chętnie mu się zwierzała.

Jej problemy były zbyt nieokreślone i osobiste, aby oczekiwać rady lub pociechy, tym bardziej więc zaskoczyła ją reakcja Rafała.

- Nie chciałbym, abyś pomyślała, że cieszę mnie twoje kłopoty, ale prawdę mówiąc, to się dobrze składa. Mam dla ciebie propozycję. Pojedź ze mną do Zakopanego.

- Słucham? - Olga była zupełnie zbita z tropu.

- Powiedziałaś, że nie wiesz, co zrobić z majowym weekendem, Oluś. Proponuję ci więc wspólny wypad w Tatry, jak za dawnych dobrych czasów. Co ty na to?

Rafał odkrył Tatry w czasie szkolnej wycieczki w trzeciej albo czwartej klasie liceum. Była to wielka miłość od pierwszego wejrzenia, której pozostał wierny do dzisiaj. Olga miała szesnaście lat, gdy po raz pierwszy zabrał ją z sobą. Już wtedy miała poczucie wyjątkowości tej wyprawy - Rafał dzielił się z nią tym, co miał najcenniejszego. Na pół świadomie przejęła od niego całą pasję, całą jego miłość do gór. Wracali tam razem wielokrotnie i choć później Olga jeździła w Tatry również z przyjaciółmi, nigdy nie było już tak jak z Rafałem.

Siedziała teraz przy stoliku i patrzyła na brata z radosnym niedowierzaniem.

- Mówisz poważnie? - upewniła się. - To fantastyczny pomysł.

- To znaczy, że się zgadzasz - roześmiał się.

- Zgadzam? Jestem zachwycona. Dzięki, braciszku - dodała.

- No, to teraz chyba możemy wreszcie coś zjeść? Zgłodniałem już porządnie. Jesteś pewna, że chcesz za to zapłacić...?

Olga uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Jasne. Choćbyś zjadł konia z kopytami.

Olga wpadła w wir gorączkowych przygotowań. Przetrasnęła całą szafę, zanim znalazła dawno nieużywany polar i górskie buty. Przez chwilę zastanawiała się nad kupnem nowych, ale doszła do wniosku, że nie warto ryzykować. Stare może i nie były piękne, lecz za to sprawdzone i wygodne. Wykopała ze schowka zabytkowy plecak, który przewędrował z nią niemal wszystkie tatrzańskie szlaki. Przeglądając jego kieszenie, znalazła zagubione, pomięte zdjęcie - ona, Rafał i Hanka na Świnicy. Jak to było strasznie dawno, pomyślała i westchnęła ciężko niczym pensjonariuszka domu spokojnej starości pochylona nad rodzinnym albumem.

Spojrzała w swoją przeszłość i zobaczyła dawną Olgę, patrzącą na nią ze smutkiem. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego zrezygnowała z gór i z tylu innych rzeczy, które dawały jej radość. To nie ja zrezygnowałam - próbowałam się bronić - to życie tak się ułożyło. Zresztą skończyła studia, zaczęła pracować, na wszystko brakowało jej czasu, po prostu dorosła. Nie można wiecznie gonić młodzieńczych marzeń, pomyślała, i nie można mieć przecież wszystkiego.

Wrzuciła plecak do łazienki, odkładając na potem jego czyszczenie, i poszła do kuchni zrobić sobie kolację. Marek wrócił godzinę później i zastał ją przy pakowaniu. Spojrzał ze zdziwieniem na ekwipunek.

- No, widzę, że dość szybko pogodziłaś się ze zmianą planów - powiedział z przekąsem.

Olga pomyślała, że czuje się dotknięty jej samodzielnością, tym, że ciągle ma własne życie, a co gorsza - własnych przyjaciół.

- Jadę do Zakopanego - oznajmiła trochę zaczepnie. - Z Rafałem - dodała, by złagodzić efekt. - Skoro ty nie masz czasu...

- No tak, oczywiście. Cieszę się - odpowiedział, ale Olga widziała, że nie jest zachwycony.

Wyjechali już w środę po południu, żeby uniknąć korków na Zakopanie. Wydawało się, że na długi majowy weekend wszyscy jadą w Tatry. Radio już kilka dni wcześniej

ogłaszało akcję „Bezpieczna droga” i policyjne patrole rozsiane były wzdłuż trasy z niezwykłą częstotliwością.

Olga zagłębiła się w fotelu z poczuciem błogości. Wygodny samochód, daleka droga, dobra muzyka w tle, a obok człowiek, który nie ma żadnych oczekiwań i wymagań, z którym równie dobrze się rozmawia, jak milczy. Rafał zerknął na nią ukradkiem i lekko się uśmiechnął. Wiedział, co myśli, czuł się przecież tak samo.

Kiedy trzy lat temu rozstał się z Magdą, praca była ucieczką, pozwalała zapomnieć o pustce, która nagle pojawiła się wraz ze zniknięciem damskich sukienek z jego szafy. Magda wyjechała do Anglii szukać lepszego życia. Nie umiał jej wytłumaczyć, że nie potrafi żyć gdzie indziej, że już znalazł swoje miejsce. Nie miał też odwagi użyć ostatecznego argumentu: „Zostań, jeśli mnie kochasz”. Zresztą wiedział, że to miecz obosieczny, i to Magda wyciągnęła go tuż przed rozstaniem. „Nie kochasz mnie. Gdyby było inaczej, pojechałbyś ze mną” - powiedziała na lotnisku. Często się zastanawiał, czy nie miała racji. Może nie kochał jej wystarczająco, aby coś dla niej poświęcić? Ale czy można być szczęśliwym, wyrzekając się dla kogoś części siebie?

Przez długie miesiące śnił, że Magda wraca, tuli się do niego, przeprosza i szepcze czułe słowa, których nigdy wcześniej od niej nie słyszał. Potem niepostrzeżenie przestał śnić, później przestał czekać, a wreszcie zrozumiał, że już nie pragnie jej powrotu. Rozdział pod tytułem „Magda” został definitywnie zamknięty. Rzucił się w wir pracy. I to był błąd. Dzisiaj już o tym wiedział. Zaczął się zbyt angażować w śledztwa, przeżywać dramaty ofiar i ich rodzin, odczuwać irracjonalny gniew i pragnienie zemsty. Kiedyś omal nie pobił aresztowanego. Wtedy zrozumiał, że coś jest nie tak, że traci kontrolę. Opuścił trochę, przestał brać dodatkowe dyżury i przesiadywać w komendzie w każdy weekend. Ale coś z tego emocjonalnego zaangażowania zostało. Wszystko przeżywał, zaczął mieć problemy ze snem. Budził się z koszmarów wyczerpany, zlany potem, z żądzą zabijania w zaciśniętych kurczowo dłoniach. Nie rozumiał świata i ludzi. I właśnie dlatego został policjantem. Ciekawe, czy nie z tych samych powodów jego młodszy brat Michał poszedł do klasztoru.

Uśmiechnął się do myśli, że przez następnych kilka dni będzie mógł pomedytować o tym wszystkim gdzieś wysoko, bliżej nieba. Spojrzał na Olgę. Spała. Dobrze, niech nabiera sił. Rozleniwiła się ostatnio i zaraziła wygodnictwem od Marka. Przegonię ją jutro po dolinach. Dobrze jej to robi. I mnie zresztą też.

Minęli już Nowy Targ. Zapadał zmierzch. Ośnieżone górskie szczyty różowiały w blasku zachodzącego słońca, wieńcząc dumnie rozległą równinę, jaka się pod nimi rozciągała, przecięta na pół szarym pasem drogi.

Obudzili się wcześniej, wypoczęci i pełni energii. Nocowali w przytulnym pensjonacie na obrzeżach Zakopanego. W gościnnej kuchni zjedli niewielkie śniadanie i Olga zabrała się do robienia kanapek, a Rafał zaczął planować trasę pierwszej wycieczki.

- To co, siostra? Dzisiaj mało ambitnie, tak na rozgrzewkę, dla wzmocnienia apetytu? Kalatówki czy Dolina Chochołowska?

- A są inne możliwości? - spytała.

- Są. Ale tylko tam możesz się naprawdę wytarzać w krokusach - odparł.

- Och, zapomniałam o krokusach! To Chochołowska. Tylko czy to nie za mało, nawet jak na rozgrzewkę? A pójdziemy do kapliczki?

- Pójdziemy Oluś, pewnie, że pójdziemy. Przez chwilę się nad czymś zastanawiał.

- Wiesz co, może masz rację. Jedna dolina to chyba za mało jak dla nas. - Rzucił okiem na mapę. - Możemy pójść do Kościeliskiej, a potem przeskoczyć ścieżką nad regłami do Chochołowskiej. Albo nawet przez Przełęcz Iwaniacką. Chociaż tam może być jeszcze śnieg.

- Co mi tam śnieg - zaśmiała się Olga, uszczęśliwiona tą drobną zmianą planu.

Gdy tylko weszli do Kościeliskiej, Olga niemal zachłysnęła się pachnącym, surowym, czystym powietrzem.

- Mmm... - zamruczała z lubością. - Tylko tutaj wiatr smakuje w ten sposób. Gorzko i wyraziście. Choć muszę przyznać, że wiosna nie pachnie tu tak upojnie jak w Kalinowej Górze.

- Racja - przyznał Rafał. - W domu ma zapach kwiatów - bżów i czeremchy. Tutaj pachnie wilgotnymi kamieniami, kosówką i śniegiem.

Wyszli dość wcześnie, więc na tarasie nie było tłumów, zresztą początek maja trudno byłoby nazwać pełnią sezonu. Maszerowali równo, szybkim krokiem, ciesząc się swoim towarzystwem i ciszą otaczającego ich świata. Olga dawno już nie czuła się tak dobrze, wrócił jej spokój, zniknęły wszystkie wątpliwości, obawy i problemy. Życie jest dobre samo w sobie, pomyślała. Niepotrzebnie uzależniamy szczęście od tysiąca okoliczności, sztucznych i wydumanych warunków.

Po godzinie poczuli przyjemne zmęczenie w mięśniach.

- I jak? - spytał Rafał.

- Super.

- Możemy podejść jeszcze kawałek. A potem znajdziemy sobie jakieś miłe miejsce i coś zjemy. Dalej będzie trochę stromo, ale śniegu jest tak mało, że możemy chyba zaryzykować przejście przez Iwaniacką.

- Jestem za - powiedziała z przekonaniem Olga.

Chwilę później przysiedli na pniu i zjedli ze smakiem drugie śniadanie. Potem zaczęli podchodzić na przełęcz łączącą dwie najsłynniejsze chyba tatrzańskie doliny. Szli bardzo sprawnie, choć było kilka trudnych momentów - w najbardziej zacienionych miejscach wciąż leżały płaty zlodowaciałego śniegu, natomiast tam, gdzie słońce już dotarło, szlak był błotnisty i śliski.

Mimo że był to pierwszy dzień wyprawy, Olga szybko złapała rytm. Odczuwała już wprawdzie zmęczenie, ale zawsze je lubiła - jak po ciężkiej fizycznej pracy w gospodarstwie dziadków, po długich leśnych wędrówkach z ojcem. Padła wówczas wieczorem i spała snem sprawiedliwego. Dawno już nie czuła takiego zmęczenia, które zniewala ciało, ale nie dotyka umysłu, nie stresuje i nie zniechęca.

Przejście zajęło im mniej czasu, niż sądzili, więc Rafał zaproponował wizytę w schronisku. Słońce grzało coraz mocniej, dzień był wymarzony na taki spacer. Już z daleka dostrzegli ogromne plamy żywego fioletu na zachodnim zboczu doliny.

- Boże, od lat nie widziałam krokusów... - westchnęła Olga. W schronisku było prawie pusto, więc wypili herbatę i zjedli resztę kanapek.

- A nie moglibyśmy wyruszyć stąd gdzieś dalej? I wyżej?

- Wyżej jest jeszcze sporo śniegu, przydałyby się trochę lepsze buty i chociaż kijki. A poza tym planowaliśmy dzisiaj tylko rozgrzewkę i spacer dla przyjemności, a nie od razu ekstremalną wspinaczkę. Zresztą mamy za mało czasu na dalszą wyprawę - stwierdził Rafał.

- No dobrze. A jutro? - Olga była uparta. Roześmiał się.

- Jutro to co innego. Nie bądź taka niecierpliwa. Mamy jeszcze trzy dni. Muszę popytać znawców tematu, bo nie wszystkie szlaki są już dostępne. A propos, umówiłem się na dzisiejszy wieczór z Igorem w Anemonie. Pójdiesz ze mną, czy wolisz się sama wypuścić na łowy?

- Oj, z moim instynktem łowieckim już dawno jest nietego - roześmiała się swobodnie.

- Chętnie z tobą pójdę. Ten Igor to pewnie jakiś zapalony górolaz, jak cię znam...

- Nie pamiętasz go? - zdziwił się Rafał. - Byliśmy razem na Orlej Perci trzy albo cztery lata temu.

- Rafciu... - westchnęła pobłaźliwie. - Na Orlej Perci byłam z tobą tylko raz, sześć lat temu. Jeszcze studiowałam. I nie pamiętam z tej wyprawy nie tylko naszego przewodnika, ale w ogóle niczego. Za bardzo się bałam i byłam zbyt skupiona na tym, żeby nie wylądować w przepaści.



- Nie opowiadaj, nie było tak źle. Trochę szkoda, że z tego zrezygnowałaś...

Olga zmieszała się pod jego uważnym spojrzeniem.

- Tyle się dzieje. Mam dużo pracy - zaczęła się tłumaczyć, ale nie brzmiała wiarygodnie. - Prawie nie nadążam z projektami. Zresztą trochę się rozleniwiałam, ugrzęzłam w Krakowie, nigdzie się stamtąd nie ruszam... - przyznała wreszcie.

- To tylko dwie godziny jazdy - nie dawał za wygraną Rafał.

- Wiem, Rafciu. Tak jakoś wyszło.

Opuścili schronisko i ruszyli ścieżką wiodącą do kapliczki. Dopiero z bliska widać było, jak bardzo rozszalały się tu krokusy - pokrywały ogromne połacie rozmięklej, ubitej przez śnieg murawy. Olga miała ochotę naprawdę się w nich wytarzać, ale nie odważyła się nawet zejść ze ścieżki, aby nie zdeptać jakiegoś. Pochylała się tylko i delikatnie dotykała fioletowych kielichów, zachwycona ich niepozornym pięknem.

Podeszli do górującej nad doliną kapliczki. To tu Janosik brał ślub z Maryną tuż przed pojmaniem go przez żołnierzy, choć wewnątrz zagrał całkiem inny podhalański kościół. Przed laty Olga bywała tu często, a teraz czuła, że odnajduje swoje miejsca, ukochane, przemawiające do wyobraźni. I że odnajduje w nich siebie. Tę dawną, tak bezmyślnie porzuconą. Ten nieco przypadkowy wyjazd z Rafałem zaczął się zmieniać w jakąś przedziwną podróż sentymentalną i Olga czuła, jak pękają więzy, którymi była nieświadomie skrepowana.

Powoli zbliżyli się do kapliczki. Rafał wskazał ręką ławkę opartą o ścianę. Usiedli, a przed oczami mieli fioletową łąkę, nad którą rozciągała się ciemna zieleń regli, zwieńczona grafitowo - białym pasmem tatrzańskich szczytów.

- Piękny widok - westchnęła Olga. - Ale gdybym go realistycznie namalowała, byłby to niewyobrażalny kicz. Prawie jak jeleń na rykowisku. Albo jakiś zachód słońca. Nie wiem, dlaczego to, co piękne w naturze, wymyka się malarzom.

- Chyba po to masz talent, żeby ten widok przetworzyć, nadać mu artystyczny kształt. Tak myślę.

- Jaki znawca - prychnęła Olga i dodała już poważniej: - Wcale nie jestem pewna, czy mam talent...

Rafał spojrzał na nią z uwagą, ale nie skomentował. Wreszcie Olga otrząsnęła się z zamyślenia.

- No dobrze, to teraz opowiadaj - poleciła. - O czym? - zdziwił się.

- O wszystkim - powiedziała stanowczo. - Tak dawno się nie widzieliśmy, nie rozmawialiśmy tak naprawdę. W ogóle nie wiem, co się z tobą ostatnio działo. A przecież widzę, że jesteś trochę wypluty. Jakieś kłopoty?

Pytanie było dość obcesowe, ale Rafał był do tego przyzwyczajony. Znali się przecież od zawsze i ufali sobie bez zastrzeżeń. Były w jego życiu sprawy, uczucia czy wydarzenia, o których powiedział tylko Oldze. No, były też takie, o których nie mówił nawet jej. Przesunął dłońmi po twarzy, po włosach i wyprostował się.

- Masz rację. Czas definitywnie zamknąć ten rozdział. - Zastanowił się przez chwilę, zbierając myśli. - Przez kilka miesięcy prowadziliśmy bardzo trudne śledztwo. Nie chcę wchodzić w szczegóły, w każdym razie dopadliśmy drania. Dalej to już rzecz sądu i prawników. Choć moim zdaniem szkoda czyjejkolwiek pracy i czasu dla kogoś takiego.

- Cyryl powiedział mi kiedyś, że świat jest paskudny, pełen brudu i zła. I że ty też tak uważasz. To prawda?

Rafał nie odpowiedział od razu. Powoli przesunął wzrokiem po wierzchołkach świerków, po miękkiej, ciemnozielonej linii lasu. Dopiero potem odwrócił się w stronę siostry.

- Nie. Nie wierzę, że świat jest zły sam w sobie. Ale zło jest w nim obecne, jest silne i wbrew pragnieniom bajkopisarzy często triumfuje. Jak to powiedział pewien filozof:

„Rozumiem ludzi, którzy nie wierzą w Boga, ale że można nie wierzyć w szatana, to przechodzi moje pojęcie”. Z mojego punktu widzenia zło jest może bardziej widoczne, ale każdy może się z nim zetknąć. Niektórzy muszą z nim żyć na co dzień - dodał.

Olga lekko się wzdrygnęła. Nagle zrobiło się jakby chłodniej.

- Dajmy spokój tym ponurym tematom - powiedziała szybko. - Szkoda piękności tego dnia na takie rozważania. Powiedz mi lepiej, co u twojej pani psycholog.

- O, widzę, że zabrałaś się do przesłuchania jak rasowy policjant - roześmiał się Rafał.

Nagle Olga uderzyła się otwartą dłonią w czoło, jakby doznała olśnienia.

- Zaraz, zaraz... A właściwie to dlaczego mnie tutaj przywiozłeś, a nie ją? Wiem, że jesteś ideałem starszego brata, a ja ideałem siostry, no ale w końcu to Agnieszka jest twoją dziewczyną. Chyba... Mnie się ona podoba - dodała z uśmiechem.

- Niestety, pracuje cały weekend.

Olga zmrużyła znacząco oczy i spojrzała na brata z dezaprobatą. Zmieszał się trochę.

- No dobrze - powiedział zrezygnowany. - W ogóle jej nie proponowałem tego wyjazdu. Chciałem pobyć sam. Odpocząć. Zrzucić z siebie stresy ostatnich miesięcy. Spokojnie pomyśleć.

- A ja?

- A ty jesteś całkiem nieplanowanym, miłym dodatkiem - roześmiał się krótko i dorzucił już serio: - Przy tobie mogę myśleć - jeśli akurat mnie nie odpytujesz. Nie muszę się starać, nie muszę o ciebie zabiegać, tworzyć romantycznego klimatu i tak dalej. Nie muszę udawać.

- Jeśli przy niej udajesz, to nie rokuje najlepiej.

- Och, wiesz, co mam na myśli, prawda? Tym razem to ona się zmieszała.

- To co? Teraz moja kolej na przepytywanie?

- Tego nie było w umowie - sprzeciwiła się Olga ze śmiechem. - Zresztą ja nie prowadzę tak ekscytującego życia jak ty, braciszku. Nic się u mnie nie zmieniło. Jest zwyczajnie, żeby nie powiedzieć nudno. O wygranej w konkursie już wiesz. Poza tym nic nowego.

- A Marek?

- Co: Marek?

- Oluś, a dlaczego tu ze mną jesteś? Pamiętasz naszą rozmowę przed wyjazdem?

- Och, wtedy byłam zła, rozdrażniona, może pochopnie wyciągałam wnioski, może trochę przesadziłam... Ale sam widzisz, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzięki temu, że Marek musiał zostać w pracy, jestem tu teraz z tobą i jest mi tak dobrze...

- Kochana, ty mnie nie zagaduj. Może rzeczywiście byłaś wtedy trochę rozdrażniona, ale dzisiaj? Tak na spokojnie...?

- Och, Rafał! Co ci mam powiedzieć? - Olga wiedziała, że potrzebuje szczerzej rozmowy, ale trochę się jej bała.

- Powiedz mi, co się naprawdę dzieje w twoim życiu. Co jest nie tak? Bo przecież jest, prawda?

- Kiedy ja właściwie nie wiem - odpowiedziała bezradnie. - Trochę się pogubiłam.

Rafał patrzył na jej pochyloną głowę, widział smutek w splecionych dłoniach i zastanawiał się, czy drażnić temat. Czy to jej pomoże, czy wręcz przeciwnie. Nie był pewien, czy jest gotowa na szczerą wobec siebie, a co dopiero wobec niego. Wreszcie się zdecydował:

- Czy ty go kochasz, Oluś? - spytał po prostu. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jak możesz pytać?! Przecież... przecież Marek jest...

- Nie pytam cię, kim on jest ani jaki jest - przerwał jej. - To wszystko wiem. Jest mężczyzną twojego życia. Tak sobie wymyśliłaś i próbujesz w tym wytrwać. Ale ja cię pytam, czy go kochasz.

Patrzył jej prosto w oczy, ze skupieniem i determinacją. Obcesowość, niemal brutalność tego pytania oraz fakt, że sama już dawno go sobie nie zadawała, sprawiły, że była bliska płaczu. Chciała odpowiedzieć, ale głos jej się załamał. Rafał wyciągnął rękę.

- W porządku. Nic nie mów. Przepraszam. To twoje życie. Nie powinienem pytać.

- Nic nie szkodzi. - Olga zdobyła się na uśmiech. - Sama się w to wpakowałam. W sumie chciałam przecież tej rozmowy. Chciałam, żebyś mnie wysłuchał, doradził. Właściwie nie wiem, czego chciałam... Nie umiem sobie ostatnio poradzić z własnymi uczuciami, nachodzą mnie jakieś absurdalne wątpliwości.

Przerwała. Rafał się nie odzywał. Wiedział, że teraz już ciąg dalszy nastąpi. Czekał cierpliwie, aż będzie gotowa otworzyć się przed nim tak jak kiedyś.

- Wiesz, czasami mam wrażenie, jakbym sama wplątała się w sytuację, z której nie ma wyjścia, jakbym była uwięziona w obcej skórce, jakbym żyła nie swoim, ale cudzym życiem. I zdaje mi się, że gdzieś jest to moje, którego szukam i za którym tęsknię. Nie wiem, co zrobić, żeby je odnaleźć. To głupie, prawda? Mam przecież wszystko: pracę, „karierę”, spełnienie w związku z mężczyzną, któremu nic nie można zarzucić... - znowu przerwała, a Rafał pomyślał, że faktycznie Markowi nic nie można zarzucić z wyjątkiem tego, że zwyczajnie nie pasuje do Olgi, nie przystaje do jej potrzeb emocjonalnych i wyobraźni. Ale głośno tego nie powiedział. Uznał, że sama musi to zrozumieć, nawet jeśli miałyby to być bolesny proces.

- To nie jest głupie. Może odrobinę irracjonalne, ale na pewno nie głupie - tłumaczył z przekonaniem. - Cokolwiek czujesz, to się nie bierze z powietrza, musi mieć realne przyczyny, nawet jeśli nie potrafisz ich określić i nazwać. Musisz przeanalizować własne życie, rozłożyć na elementy i znaleźć ten wadliwy. - Przez chwilę rozważał pewną myśl, a potem zaczął: - Pamiętasz definicję szczęścia Tatarkiewicza? Pełne zadowolenie ze wszystkich dziedzin życia. Mniej więcej.

- Och, wiem. Ale trudno obiektywnie ocenić własne życie.

- Nie musisz być obiektywna. Wręcz przeciwnie. To co? Zaczynamy?

- To ma być jakiś test? - zaśmiała się Olga niewesoło.

- Owszem. Po pierwsze: praca. Chciałabyś ją zmienić?

- To łatwe - uśmiechnęła się. - Nie.

- Dalej. Ambicje artystyczne. Realizujesz się jako artystka? Zawahała się. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- A więc nie - odpowiedział za nią Rafał. - Chciałabyś czegoś więcej. Wiesz czego?

- Chciałabym móc namalować obrazy, które noszę w sercu, które dokładnie widzę oczyma duszy i które mi się wymykają, gdy biorę do ręki pędzel. Chciałabym malować jak... jak Eryk Szwajcowski.

- W porządku. To możesz zrobić. I zrobisz, prędzej czy później - stwierdził z przekonaniem.

- Och, wcale nie jestem tego taka pewna...

- Ja jestem. Idźmy dalej. Życie towarzyskie, przyjaciele. Na plus czy na minus? - spytał.

Olga pomyślała o Klubie Dobrej Wiadomości, o dziewczynach, o Cyrylu, o znajomych z wydawnictwa, nawet o Karolku.

- Na plus.

- No cóż. Wracamy zatem do punktu wyjścia, do twojego udanego związku. Do Marka.

- Przerwał na chwilę. Spojrzał jej w oczy i zaczął łagodnie: - Olga, nie musisz mi odpowiadać na to pytanie. Możesz po prostu skłamać. Ale prędzej czy później będziesz musiała odpowiedzieć sobie samej. Czy ty go jeszcze kochasz?

Zapadła tak długa cisza, że Rafałowi zdawało się, iż nigdy nie usłyszy odpowiedzi.

- Nie wiem - wyznała w końcu bardzo cicho. Gdy na niego spojrzała, dostrzegł w jej oczach łzy. - To okropne, ale nie wiem...

Przestała ze sobą walczyć i udawać opanowanie. Rozpłakała się z żalu, bezradności i lęku. Rafał odczekał chwilę, potem zbliżył się, pogłaskał ją po głowie i przytulił - jak wiele lat temu, gdy przeżywała swoje ogromne dziecięce problemy. Wiesz, małeńka. Oczywiście, że wiesz - pomyślał ze współczuciem. Dlatego płaczesz. Płacz, każda miłość zasługuje na łzy. Nawet ta zbyt krótka, zbyt późna, nieudana, niespełniona, nieprawdziwa. Nawet ta, która tylko udawała miłość.

Słońce powoli chyliło się już ku zachodowi, a oni siedzieli oparci o drewnianą ścianę kaplicy, wsłuchani we własne myśli, zapatrzeni we wspomnienia, próbując poukładać przynajmniej w wyobraźni poszczególne elementy swego losu.

W milczeniu schodzili kamienistym szlakiem. Czerwone słońce podświetlało chmury, tworząc różową poświatę na całej zachodniej części nieba. Świat powoli ogarniała ta niezwykła cisza, która spada na ziemię wraz ze zmierzchem. Nie chcieli jej płoszyć rozmową. Zresztą, dość już sobie powiedzieli. Było im razem dobrze, w tej ciszy, w tej wieczornej godzinie, z dala od miejskiego zgiełku, w tym świecie, gdzie tak łatwo było odnaleźć pogubione myśli. I w tej chwili tylko to się liczyło.

Był już późny wieczór, gdy przebrani i odświeżeni wchodzili do kawiarni Anemon przy Krupówkach. Przyćmione światło i elegancki wystrój tworzyły swoisty klimat. Rafał rozejrzał się po sali i ruszył wprost do ostatniego stolika, przy którym siedział samotny mężczyzna. Teraz podniósł się na ich powitanie. Uścisnęli sobie dłonie z Rafałem, po czym nastąpiła prezentacja:

- Nie wiem, czy pamiętasz moją siostrę. Była z nami kilka lat temu na Orleju. Co prawda, ona się wypiera tej znajomości, ale nie bardzo jej wierzę.

Olga nie zamierzała ani oburzać się na brata, ani zaprzeczać. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na siedzącego przy stoliku mężczyznę, żeby tamten letni dzień sprzed sześciu lat wrócił do niej żywym wspomnieniem.

Namówiona przez Rafała, zdecydowała się zmierzyć z Orlą Percią - najtrudniejszym tatrzańskim szlakiem. Towarzyszyło im dwóch zakopiańskich przyjaciół brata, jednym z nich był właśnie Igor, z zawodu fotograf, ale również ratownik TOPR - u. Rafał śmiał się, że w razie czego będą mieli zapewnioną natychmiastową fachową pomoc. Ale jej wcale nie było do śmiechu.

Początek wyprawy był męczący, lecz bezpieczny, kiedy jednak dotarli na Zawrat i ruszyli w stronę Koziego Wierchu, Olga zrozumiała, że przeceniła swoje możliwości. Nigdy nie odczuwała lęku wysokości, ale też nigdy nie sprawdzała tego w tak ekstremalnych warunkach. Przez moment opanował ją paraliżujący strach. Przestraszyła się, że nie podoła wyzwaniu, że wszystko zepsuje. Być może miała to wypisane na twarzy, bo Igor podszedł do niej i zaczął coś opowiadać. Nie słuchała go dokładnie, ale poszła za jego głosem. I za jego spojrzeniem. Nikt nigdy nie patrzył na nią w ten sposób. Może ratownicy się tego uczą, żeby móc niemal hipnotycznie wpływać na ludzi, których góry źle potraktowały, zagłuszać ich lęk i wymuszać współpracę. Nie umiała tego wytłumaczyć, ale trzymała się spojrzenia Igora niczym liny asekuracyjnej. Jego wzrok podtrzymywał ją, kiedy dłonie kurczowo ścisnęły łańcuch, kiedy stopy szukały oparcia, a poniżej ziała grozą i ciszą ogromna przepaść. Przeszła dzięki niemu cały szlak pozornie bez większych trudności, choć wydawało jej się, że dusza wcale nie metaforycznie siedzi jej na ramieniu i szepcze modlitwy.

Przełomowy moment nastąpił na Zmarzłej Przełęczy, gdy nagle stwierdziła, że nie potrafi zrobić dalej ani kroku. Rafał szedł przed nią i niczego nie zauważył. Wtedy usłyszała za plecami głos Igora: „Jestem przy tobie. Spokojnie. Dasz radę”. I wystarczyło. Zeszła ze szlaku przepelniona ulgą i triumfalną radością, z mocnym postanowieniem, że nigdy tam nie

wróci. To wszystko przypomniła sobie teraz w ciągu kilku sekund, patrząc w uśmiechniętą twarz Igora, czując mocny uścisk jego dłoni i słysząc znajomy głos:

- Oczywiście, że pamiętam Olę. Świetnie sobie wtedy poradziła.

Całe szczęście, że w przyćmionym świetle nie było widać jej rumieńców. Usiedli przy stoliku. Rafał chciał zamówić dla wszystkich drinki, ale Igor się sprzeciwił.

- O nie. Jesteście na moim terenie, więc pozwólcie, że to ja was ugoszczę.

Panowie znali się od dawna i lubili, a Olga szybko dopasowała się do lekkiego tonu ich rozmowy. Słuchała, jak wspominają wspólne wyprawy, plotkują o znajomych, których imion w ogóle nie kojarzyła, żartują i śmieją się. Nagle spytała:

- A właściwie to jak wy na siebie trafiliście?

Rafał się uśmiechnął.

- Oj, to było strasznie dawno temu... Gdzieś na początku studiów.

- Aha - potwierdził Igor. - Jakies trzynaście, czternaście lat temu.

- W sumie to spotkanie było logiczne, choć zajmowaliśmy się zupełnie różnymi rzeczami. Ja byłem już w szkole policyjnej, a Igor studiował... Zaraz, co ty właściwie wtedy studiowałeś?

Igor się roześmiał.

- Różnie. Najpierw ekonomię, potem turystykę, a w końcu socjologię.

- Właśnie. Zawsze uważałem, że masz chwiejny charakter - zażartował Rafał.

- Ja bym to nazwał wszechstronnością.

- Chwileczkę - zdziwiła się Olga. - Wydawało mi się, że jesteś fotografem. I ratownikiem.

- Mówiłem, że jestem wszechstronny - znów się roześmiał. Miał niski, ciepły głos i taki sam śmiech. Nie był może superprzystojny ale miał dość regularne rysy, ciemnobrązowe oczy i śmieszne zmarszczki mimiczne. Olga pomyślała, że musi być optymistą z poczuciem humoru również na własny temat. Zawsze uważała, że to jedna z ważniejszych cech u mężczyzny. I chyba tego najbardziej brakowało jej w Marku.

- Jeśli chcesz wiedzieć, potrafię również nieźle jeździć na nartach, wspinać się, pilotować szybowce. I świetnie gotuję - dodał.

- To dosyć... frustrujące. Dla innych oczywiście - odparła z uśmiechem.

- Ej, dość tej autoreklamy. Pamiętaj, siostrzyczko, że naprawdę dobre produkty nie potrzebują promocji.

Igor zamierzył się na przyjaciela, markując bokserki cios, ale Rafał to przewidział i zręcznie się uchylił.

- Wracając do tematu. Studenci z kilku uczelni założyli klub górski. Spotykali się, dzielili wiedzę i organizowali wspólne wyprawy. Igor grał tam pierwsze skrzypce, bo nie dość, że pochodził z Zakopanego, to jeszcze znał się na rzeczy, dobrze opowiadał i w razie czego służył metą. Co prawda, jego rodzice mieszkali w bloku, ale parę osób zawsze mogło się przespaciać na podłodze. To był czas, kiedy ja również odkrywałem Tatry. Trafiłem do klubu trochę przypadkiem, ale znalazłem tam zrozumienie i przyjaciół.

- I dziewczynę - uśmiechnął się Igor, ale Rafał machnął ręką.

- To była tylko przygoda. Dość burzliwa, to prawda, ale krótka i bez większego znaczenia.

- Po studiach szukałem swego miejsca i straciłem kontakt z klubem - podjął wątek Igor, zwracając się do Olgi - ale znajomość z twoim bratem przetrwała. Przeszliśmy razem wiele szlaków tatrzańskich, czego zresztą bylaś świadkiem. Odbyliśmy też wyprawę w Alpy i przeżyliśmy niezwykle przygody na Kaukazie. Kiedyś ci opowiem - dodał nieoczekiwanie, patrząc jej w oczy.

Zmieszła się.

- Strasznie się zrobiło nostalgicznie. Powiedz lepiej, co teraz robisz - zmienił temat Rafał.

- To, co zawsze. Chodzę po górach. Biorę weekendowe dyżury w TOPR - ze, czasem idę na akcję. Poza tym spłaciłem współnika i przejąłem zakład. Wróciłem też do fotografii artystycznej. Kilka moich zdjęć możesz zobaczyć na wystawie „Tatry w obiektywie”. Tyle. Właściwie nic nowego. A ty?

- No cóż, dalej bawię się w szeryfa, jak to kiedyś ładnie ująłeś. Ale nie ścigam już drobnych złodziejasków. Awansowałem. Teraz mam do czynienia z gangsterami - wiem, że to głupio brzmi - a czasem nawet mordercami. - Rafał uśmiechnął się trochę gorzko.

- Podziwiam, ale nie zazdroszczę - odparł Igor. - W każdym razie cieszę się, że ci się udało wyrwać na ten weekend. Jakie macie plany? - spytał.

- Jeszcze nie mamy. Właśnie chciałem cię prosić o radę. Byliśmy dzisiaj na krokusach w Chochołowskiej, ale Olga dopominała się ciągle, że chce więcej. I wyżej.

- No cóż - zastanowił się Igor - całkiem wysoko leży jeszcze sporo śniegu, więc nie jest ani specjalnie sympatycznie, ani zbyt bezpiecznie. Chociaż... no, zobaczymy. Można iść na Halę Gąsienicową, na Kondratową albo na Rusinową Polanę. Morskiego Oka wam nie proponuję, bo tam pewnie będą dzikie tłumy, a poza tym co to za trasa dla starych wyjadaczy...

Olga uśmiechnęła się na to określenie, ale wołała się nie odzywać.

- W sumie wszystko zależy od pogody, a zdaje mi się, że na piątek zapowiadano opady - dodał.

Rafał zastanawiał się przez chwilę, a potem spytał nieoczekiwanie:

- A co byś powiedział na jakąś jaskinię? Może Mroźna? Olga nigdy tam nie była, a ja chętnie sobie przypomnę stare dobre czasy.

- To jest pomysł, zwłaszcza gdyby faktycznie pogoda się załamała. Ale sugerowałbym coś ambitniejszego niż Mroźna. Na przykład Jaskinię Mylną.

- Racja - zgodził się Rafał i spojrzał na Olę. - A co ty na to? W ogóle się nie odzywasz...

- Grzecznie słucham, jak starzy wyjadacze rozmawiają. Myślę, że nie ma co teoretyzować. Zdecydujemy jutro rano. Przecież przy pięknej, słonecznej pogodzie nie będziemy chyba ukrywać się pod ziemią? W końcu jesteśmy przygotowani, możemy iść w dowolnym kierunku.

- Słusznie.

Niepostrzeżenie zrobiło się bardzo późno. Rafał pierwszy dał hasło do odwrotu. Planowali przecież wczesną pobudkę i wycieczkę, może niezbyt forsowną, ale zawsze. Przy pożegnaniu Igor zapytał:

- Zamierzacie jutro omawiać jakieś rodzinne tajemnice? Bo jeśli nie, to chętnie się do was przyłączę. Jeżeli trzeba, mogę nawet robić za przewodnika.

Rafał spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Wydawało mi się, że jutro pracujesz. Inaczej dawno bym ci to zaproponował.

- Praca nie zajac - odparł Igor niefrasobliwie. - Chętnie sobie zrobię małą górską wycieczkę... - zawahał się, zdając sobie nagle sprawę, jak bezsensownie brzmi takie stwierdzenie w ustach zakopianina i doświadczonego górolaza, więc szybko dodał: - ...w tak sympatycznym towarzystwie.

Rafał rzucił mu uważne spojrzenie. Coś tam sobie zaczął kombinować, ale nie wyraził głośno żadnych wątpliwości.

Pesymistyczne prognozy niestety się sprawdziły i w piątek od rana padał deszcz - chwilami ulewny, chwilami zaś przechodzący w lekką mżawkę, ale nieustający. Dzień był mglisty, ponury i niczym bury kot leniwie przeciągał się po niebie.

Rafał spojrział przez okno, zaklął i zaczął rozglądać się za komórką. Po dłuższych poszukiwaniach odnalazła się na fotelu, przykryta sporą ilością garderoby. Wykręcił numer Igora.

- Cześć, kolego. Krakaleś, krakaleś i wykrakaleś. Mów mi teraz, co dalej. Możemy chyba w taką pogodę iść do jaskini? Tak. Jasne. Szkoda dnia, a przecież trzeba jakoś uciec przed deszczem. Dobrze, będziemy gotowi.

Odłożył słuchawkę i zaczął parzyć kawę. Olga stanęła w drzwiach w grubym szlafroku, z ręcznikiem na wilgotnych włosach.

- Mmm, jak pachnie - westchnęła. - Właśnie tego mi trzeba.

- Kawa, owszem, ale przydałoby się też solidne śniadanie. Jak widzisz, pogoda nie pozostawiła nam wielkiego wyboru. Przed tobą nowe doświadczenie. Czy ty w ogóle byłaś kiedyś w jaskini?

- Jasne - odparła wyniośle i pociągnęła łyk kawy. - W piątej klasie byliśmy na wycieczce w Ojcowie. Zwiedzaliśmy Jaskinię Łokietka. I jeszcze jakąś drugą. Chyba Wierzchowską. - Zmarszczyła czoło. - Albo coś w tym rodzaju. Jak widzisz, nie jestem pełnym laikiem.

Rafał uśmiechnął się rozbawiony.

- No, to odświeżysz sobie wrażenia. Dzwoniłem już do Igora. Umówiliśmy się na dziesiątą, więc nie ma pośpiechu, zdążymy zjeść śniadanie.

Punktualnie o dziesiątej pod pensjonat podjechała ciemnozielona łada niwa. Na dźwięk klaksonu Olga wyrzwała przez okno.

- Zamówiłeś samochód z parku tatrzańskiego? - rzuciła w stronę brata, walczącego z zapięciem wiekowego plecaka.

- To pewnie Igor. Nie wiem, jaki ma teraz samochód, ale pewnie jakiś terenowy. Zawsze to lubił.

Narzucili na siebie kurtki i zbiegli na podwórko. Chwilę później wyjeżdżali z Zakopanego w stronę Doliny Kościeliskiej. Zostawili samochód na parkingu, po czym ruszyli na szlak. Deszcz trochę osłabł, ale zrobiło się chłodno i nieprzyjemnie.

- Pewnie w górach spadł śnieg - zauważył Igor.

Olga uniosła głowę, ale Tatry znikły za grubą warstwą chmur i mgieł. Rzeczywiście pogoda nie zachęcała do wycieczki, więc Olga - chociaż nie przepadała za małymi zamkniętymi pomieszczeniami - nie martwiła się specjalnie, że za chwilę trzeba będzie zanurzyć się w jakiejś mrocznej i wilgotnej jaskini. Gorzej niż tu chyba nie będzie, pomyślała, próbując rozgrzać marznące dłonie.

Po krótkiej stromej wspinaczkę stanęli w wejściu do jaskini i zapalili latarki. Już po kilku krokach przeniknął ich wilgotny chłód, zupełnie inny niż na otwartej przestrzeni. Smugi światła przecinały aksamitną ciemność i ślizgały się na połyskujących od wilgoci ścianach.

Szli gęsiego. Igor prowadził, a Rafał zamykał pochód, dzięki czemu Olga czuła się dość komfortowo. Posuwali się wolno kamienistym korytarzem, który niespodziewanie zaczął się zwężać. Ze sklepienia spadały lodowate krople wody.

- Zdawało mi się, że przyszedliśmy tu, żeby uciec przed deszczem... Właśnie zaczęło dojrzewać we mnie przekonanie, że skoro mam moknąć, to wolałabym na świeżym powietrzu, z niebem, choćby zachmurzonym, nad sobą - stwierdziła.

- Niebo masz nad głową zawsze, a do takiej jaskini możesz długo jeszcze nie mieć okazji zajrzeć. Wszystkiego trzeba w życiu spróbować, nie uważasz? - spytał Rafał.

- No, nie wiem - mruknęła, przeciskając się przez zwężenie.

Nagle ściana z prawej strony znikła, a w świetle latarki Olga zobaczyła tylko czarną czeluść. Odruchowo przyłgnęła do gładkiej, mokrej skały po drugiej stronie i drżącymi palcami odnalazła łańcuch.

- Cholera. Te ściany są złośliwe. Albo napierają, jakby mnie chciały sprasować i pożreć, albo nagle uskakują. Macie dla mnie, chłopcy, jeszcze jakieś niespodzianki?

Rafał zachichotał.

- Nie marudź, siostra. Najlepsze dopiero przed nami. Olga rzuciła mu złe spojrzenie przez ramię.

- Poczekaj, niech ja stąd wyjdę...

- Uważaj teraz. Musisz trochę zmienić pozycję.

- To znaczy...? - zaczęła i w tym samym momencie zrozumiała, o co chodzi.

Dotknęła głową zimnego sklepienia, a ściany znowu niebezpiecznie się zbliżyły. Po chwili szła na czworakach jak niemowlak, starając się omijać błotne kałuże i w sposób bardzo niecenzuralny wyrażając się w myślach o Rafale. Wreszcie dotarli do tak wąskiego skalnego gardła, że Olga zaczęła tracić oddech, a irracjonalny lęk sparaliżował jej ruchy. Zatrzymała się i nie potrafiła ruszyć dalej, choć rozsądek mówił, że nie ma odwrotu.

- Spokojnie, dasz sobie radę - usłyszała z tyłu głos brata, ale to niewiele pomogło.

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, zmagala się z własną niemocą. A potem zobaczyła, a raczej poczuła tuż przed sobą twarz Igora. Światło latarki rozjaśniło niewielką przestrzeń między nimi.

- Olga, popatrz na mnie - powiedział. - Spójrz na mnie. Tak. Oddychaj głęboko, oddychaj. Będzie dobrze. Zaraz stąd wyjdziemy. Chodź za mną. Powoli. Dobrze.

Tak samo jak kiedyś na Orlej Perci, tak i teraz, w tym mrocznym tunelu, w którym zimne, wilgotne ściany zdawały się napierać na nią z każdej strony i bronić przejścia, zaufała mu i poszła za jego głosem. Pięknie, pomyślała zła na siebie, co za powtórka z rozrywki. Znowu robię za słabą, bezbronną kobietkę, którą nieustannie trzeba się opiekować. Co on sobie o mnie pomyśli?

Po chwili znaleźli się w przestronnej komorze. Olga oddychała ciężko, ale była już spokojna.

- W porządku, siostrzyczko? - Rafał położył dłoń na jej ramieniu.

- Tak. Przepraszam - powiedziała cicho, nie patrząc na Igora.

- Nie przejmuj się. Większość tak reaguje albo i gorzej. Ja też za pierwszym razem miałem duszę na ramieniu - dodał.

- Aha, już ci wierzę - uśmiechnęła się. - OK. Możemy już iść.

Kiedy wyszli z jaskini na otwartą przestrzeń, Olga odetchnęła głęboko świeżym, pachnącym, choć zimnym powietrzem. Świat był rześki, wymyty po porannym deszczu, a przez znacznie cieńszą już warstwę chmur zaczęło przedzierać się słońce. Mimo to wciąż było bardzo chłodno.

- O, jak dobrze... - westchnęła Olga, po czym odwróciła się i spojrzała na swoich towarzyszy. - Nie lubię was! - powiedziała oskarżycielsko. - Nigdzie więcej z wami nie pójde. Możecie sobie zwiedzać jaskinie, ale beze mnie. Nie widzę przyjemności w pełzaniu po grobowcach. Nie jestem jakimś, za przeproszeniem, goblinem albo krasnoludem, żeby się zachwycać dziurą w ziemi. Czy nawet w skale - poprawiła się.

Rafał uśmiechnął się do przyjaciela.

- Nie jest źle, skoro nie jest jeszcze goblinem...

- Ty się w ogóle do mnie nie odzywaj. To był twój pomysł. Jutro idę na Gubałówkę - biorę leżaczkę, zimne piwo, dobrą książkę i delektuję się wiosennym słońcem. I w ogóle mnie nie obchodzi, jakie tajemnice ziemi będziecie wówczas zgłębiać.

Igor przysłuchiwał się sprzecze rodzeństwa trochę zdezorientowany. Wspólnie z Rafałem zaplanowali już jutrzejszą wyprawę, choć oczywiście uzależniali ją od pogody. Nie chciał, żeby te plany się rozsypały. Rafał zamrugał do niego znacząco i zwrócił się do siostry z udawanym żalem:



- Szkoda, bo planowaliśmy pójść nad Czarny Staw Gąsienicowy i wyłożyć się na słońcu. Może nawet, przy sprzyjających warunkach, wejść na Zawrat zimowym szlakiem. Ale skoro nie chcesz... - zawiesił głos.

Olga spojrzała na niego z namysłem, po czym roześmiała się swobodnie.

- Drań - powiedziała tylko, odwróciła się i zaczęła zbiegać w kierunku doliny

Wrócili do Zakopanego i wspólnie poszli na obiad. Regionalnych knajp i restauracji było w mieście bez liku, więc zdali się na wybór Igora, a potem zachwycali smakiem gorącej kwaśnicy wprost z kociołka i plackami po zbójnicku. Po obiedzie Olga porzuciła męskie towarzystwo i zafundowała sobie spacer po Krupówkach w celach obserwacyjno - zakupowych. Wieczorem przy kieliszku wina zapytała brata:

- Dlaczego właściwie Igor po tych wszystkich kierunkach studiów wrócił tutaj i został ratownikiem?

- O to musisz spytać jego - odparł Rafał, ale po chwili wrócił do tematu: - Kiedy się poznaliśmy, był bardzo wszechstronny i ambitny. Miał w sobie taką pasję poznawania, odkrywania, zdobywania. Z tego, co wiem, nie zamierzał wracać na Podhale. Zakopane traktował jako urocze miejsce na rodzinno - turystyczne wypadki. Próbował różnych rzeczy, różnych zawodów. Nie wiem, może po prostu szukał swego miejsca. A potem odkrył fotografię i wzięło go zupełnie. Jest naprawdę zdolny. Mógłby chyba zrobić karierę. Ale... Cóż, myślę, że ciągnęło wilka do lasu. Wrócił do domu i otworzył wspólnie z kolegą zakład fotograficzny. Resztę wiesz. A dlaczego został ratownikiem? Nie mam pojęcia, choć oczywiście rozumiem jego decyzję.

- Ma jakąś rodzinę? - zapytała. - To znaczy wiem, że ma rodziców, ale poza tym: rodzeństwo, żona, dzieci?

- No, niezupełnie. Jego ojciec zmarł kilka lat temu, a matka wyjechała w rodzinne strony, gdzieś na wschód. Ma jeszcze starszą siostrę. Wyszła chyba już dawno za mąż i wyjechała z Zakopanego. Żony i dzieci brak. - Rafał pociągnął łyk wina i uśmiechnął się do siostry. - A dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Chyba intryguje mnie ten twój przyjaciel.

- To dobrze - podsumował Rafał, wciąż się uśmiechając. Olga zmieszała się lekko. Odstawiła kieliszek i wstała.

- Czas spać, braciszku, jutro wielka wspinaczka - powiedziała szybko.

- No, nie taka wielka - sprostował. - Ale masz rację, trzeba wypocząć po dniu pełnym przygód. Dobranoc.

- Dobranoc - odparła.

Zebrała kieliszki, pozmywała i poszła do łazienki.

Rafał pozostał w fotelu i zamyślił się. Wiedział już, że ten wyjazd to był dobry pomysł - tak dla niego, jak i dla Olgi. Od trzech dni nie pomyślał ani razu o śledztwie, zaległym raporcie; nie widział w snach pustych oczu mordercy, któremu sam założył kajdanki, ani bladej twarzy zabitego dziecka. Wszystko to wydawało się odległe i nierealne, niczym dawno obejrzany film. Tutaj świat pachniał inaczej. Rafał kładł się do łóżka wypoczęty, w dobrym nastroju i zasypiał, mając przed oczami piramidę Żółtej Turni albo strzelistą postać Mnicha, górującą nad Morskim Okiem, z ziemią u stóp, ale patrzącą w niebo.

Sobotni poranek w przeciwieństwie do dnia poprzedniego obiecywał wszystko, o czym można było zamarzyć. Słońce świeciło mocno na nieskazitelnym błękitnym niebie.

Olga stała jeszcze w piżamie przy otwartym oknie z kubkiem gorącej kawy w dłoniach, delektując się rześkim urokiem poranka. Błądziła myślami gdzieś daleko, ale nie były one ani smutne, ani pełne obaw, jak to zdarzało się często w ostatnich tygodniach. Cokolwiek zaprzętało jej umysł, musiało być przyjemne, bo twarz rozjaśnił bezwiedny, ciepły uśmiech, jakiego jej przyjaciele dawno nie widzieli.

- O czym myślisz? - spytał nagle Rafał, stając tuż za nią. Drgnęła i odwróciła głowę. Nie słyszała, jak wszedł.

- O tym, jaka jestem ci wdzięczna za ten wyjazd.

- No widzisz, na coś się jednak przydałem - roześmiał się.

- Zawsze się przydajesz, braciszku. Gdyby nie było instytucji starszego brata, należałoby ją wymyślić. - Zmarszczyła zabawnie nos. - Co nie zmienia faktu, że bywasz okropnie irytujący.

Godzinę później zaopatrzeni w wodę, kanapki, słodycze i, mimo wszystko, peleryny przeciwdeszczowe - bo, jak powiedział Igor, w kwestii pogody gór nie wolno ufać - opuścili przytulny pensjonat, niosąc w sercu nadzieję na przygodę. Igor czekał już na nich w Kuźnicach. Nie zwlekając, zagłębili się w cieniu lasu i początkowo maszerowali w milczeniu. Potem Rafał zainteresował się lustrzanką, którą Igor zabrał ze sobą, gdyż korzystając z doskonałej pogody, zmierzał zrobić kilka zdjęć. Zaczęli wymieniać fachowe uwagi na temat sprzętu i fotografii w ogóle. Olga szła kilka kroków przed nimi z przyjemną świadomością, że ma ich obu za plecami. Nie potrzebowała dzisiaj samotności.

Na przełęczy zrobili krótki postój. Olga rozejrzała się wokół. Widok, choć przecież znajomy i typowy dla niższych partii gór, cieszył oczy i zapadał w serce. Dolina Jaworzynki lśniła w słońcu i sprawiała wrażenie jakiejś sielankowej krainy rodem z Hobbitonu. Igor wyjął aparat, zrobił kilka ujęć i odwrócił się do nich zadowolony.

- Chodźmy. Za chwilę zrobi się tu tłoczno. - Wskazał kolorowe punkciki poruszające się śmiesznie na szlaku poniżej.

Za przełęczą trasa była szeroka, mogli iść obok siebie i rozmawiać. Ominęli schronisko, chcąc uniknąć tłumów, i ruszyli wprost nad Czarny Staw - jeden z wielu czarnych stawów tatrzańskich. Gdy przechodzili obok pamiątkowego kamienia, Igor opowiedział im historię tajemniczej śmierci Karłowicza. Olga rozejrzała się wokół z niedowierzaniem - krajobraz wydawał się taki bezpieczny, przyjazny.

- Powinieneś być przewodnikiem, a nie ratownikiem. Umiesz opowiadać - zauważyła.

Igor roześmiał się.

- O nie, na to jestem zbyt wygodnym indywidualistą i samotnikiem. Nie mógłbym gadać zbyt często, na zamówienie, w dodatku do grupy dociekliwych emerytów albo, co gorsza, znudzonych małałatów. Dobrze umiem opowiadać tylko wtedy, gdy ktoś umie słuchać.

Rafał spojrzał na niego podejrzliwie. Igor rzadko bywał w tak doskonałym nastroju. Był raczej introwertykiem, mimo że miał w sobie ogromne pokłady optymizmu, życzliwości wobec świata i łatwo zjednywał sobie ludzką sympatię, o którą jednak nie zabiegł. Igor zauważył wzrok przyjaciela i uśmiechnął się rozbrajająco. Obaj wiedzieli, że ten oratorski popis przeznaczony był dla Olgi.

Zatrzymali się dopiero nad stawem. Ciemna tafla połyskiwała w słońcu dumna i niezmienna jak wieczność, drwiąc sobie z chaotycznego pośpiechu i tymczasowości ludzkiego świata. Chwilę stali w ciszy, kontemplując pejzaż tchnący spokojem, pewnością, obietnicą wtajemniczenia.

Dla Rafała było to miejsce szczególne, w całych Tatrach najbardziej ukochane. Właśnie tutaj zakochał się w górach. W sumie tamta szkolna wycieczka od początku wydawała się nieudana - pogoda nie dopisała, a zwiedzanie Muzeum Kasprowicza na Harendzie czy starego cmentarza tonącego w strugach deszczu nie stanowiło wielkiej atrakcji dla grupy tryskających energią siedemnastolatków. Trzeciego dnia niebo się rozpogodziło, więc opiekun szybko zorganizował wjazd kolejką na Kasprowy Wierch. Zbiegali potem na Halę Gąsienicową, radośni niczym stado żrebaków wypuszczonych pierwszy raz na łąkę. Wystarczyło hasło przewodnika, żeby zamiast iść prosto do schroniska, postanowili wspiąć się na Karb. Już samo podejście, wymagające wprawdzie nieco wysiłku, było przyjemnością, ale Rafał nawet

nie przypuszczał, jaka czeka go na górze nagroda. Kiedy trochę zdyszany dotarł na szczyt i oderwał spojrzenie od skał, zobaczył w dole przed sobą niezwykle widok - mroczną głębię Czarnego Stawu, który niczym wielki kot wylegiwał się w dolinie, piękny i groźny w swym bezruchu. Była w nim potęga i magia ściągająca wzrok, zmuszająca do posłuchu i milczenia. Rafał wiedział, że nie jest w swym doznaniu sam. Jego koledzy również stali w ciszy, zapatrzeni, i tylko ich ciężkie oddechy mieszały się ze świstem wiatru mknącego po kamieniach. Obiecał wtedy sobie i górom, że do nich wróci. Wrócił. I zawsze już wracał.

- No, czas na małe co nieco... - Igor bezceremonialnie przerwał ich nabożne skupienie.

Wyszukali sobie niewielką nieckę otoczoną kosodrzewiną, aby schronić się w ten sposób przed wiatrem. Zwyczajne kanapki smakowały po takiej wędrówce i w takiej scenerii zupełnie nadzwyczajnie. Słońce przygrzewało coraz mocniej, ale na niebie pojawiły się pierwsze chmury.

- To co? Wchodzimy na Zawrat? - zapytał Igor trochę pro forma.

- Pewnie. Słońce i przestrzeń to miła odmiana po wczorajszych doświadczeniach - odparła Olga. - A poza tym przy tej ilości śniegu nie da się wejść na Orlą, więc nic mi z waszej strony nie grozi... - dodała z satysfakcją.

- Ależ, siostrzyczko, my nie stanowimy dla ciebie zagrożenia. Wręcz przeciwnie, jesteśmy po to, by dbać o twoje bezpieczeństwo - odezwał się Rafał z niewinną miną.

- W pełni się zgadzam. W razie czego będziemy cię holować - uzupełnił Igor.

Pozbierali swoje rzeczy i wrócili na trasę biegnącą wokół stawu. Olga spojrzała na białe zbocze, które z tej odległości wydawało się zupełnie gładkie, i zaczęła się zastanawiać, jak będzie wyglądało to, co Igor nazwał szumnie zimowym szlakiem. Jej ciekawość została wkrótce zaspokojona. W twardym, zleżałym śniegu wybite były niewielkie wgłębienia, dzięki którym wąski pas stromego zbocza tworzył coś w rodzaju prowizorycznych schodów. Bardzo prowizorycznych.

- No dobrze - powiedziała. - Spytałem dla zasady: co będzie, jeśli ktoś straci równowagę albo zwyczajnie się poślizgnie?

- Będzie miał darmowy zjazd. Bez wysiłku i z atrakcjami - odparł Rafał niefrasobliwie.

Igor, jako profesjonalista, był poważniejszy.

- To mało prawdopodobne. Te schodki tylko wyglądają tak niepozornie, w rzeczywistości są całkiem wygodne i dość bezpieczne. Zresztą mamy czekany.

- Tak tylko spytałam... - mruknęła Olga, poprawiając sznurowadła w swoich bogatych w doświadczenia butach. Była zadowolona, że nie zdecydowała się na nowe. W tych całkowicie panowała nad stopami. A to się mogło przydać.

Podejście rzeczywiście okazało się łatwiejsze, niż można się było tego spodziewać, lecz Olga na wszelki wypadek nie spoglądała zbyt często za siebie. Stanęli na szczycie rozgrzani i zadowoleni, z przekonaniem, że widok, który się im ukazał, wart jest każdego wysiłku.

- To wszystko wygląda tak inaczej zasypane śniegiem - zauważyła Olga, rozglądając się wokół.

- Góry nigdy nie wyglądają tak samo. Zmieniają się w zależności od pory roku, dnia, pogody, nastroju - twojego albo ich - powiedział Igor.

- To prawda. A najpiękniejsze są w gniewie - dodał Rafał. - I w smutku.

Teraz Olga spokojnie już patrzyła w dół, od nowa podziwiając mroczne piękno turni. Potem odwróciła się i zaczęła szukać wzrokiem szlaku prowadzącego na Orlą Perć. Uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Wiecie co? Od naszej pamiętnej wyprawy wiem już, skąd się wzięła nazwa Zawrat...

Rafał spojrzał pytająco, a ona wyjaśniła z całą powagą:

- „Doszedłeś tu - czas zawracać”.

Skwitowali to oświadczenie śmiechem, ale Igor zaraz dorzucił:

- Wiele się nie pomyliłaś. Górale uważali podobnie.

- No, czyli rozumię logicznie - stwierdziła Olga z satysfakcją.

Podpierając się kijkami i chwilami tonąc w mokrym, ciężkim śniegu, zaczęli schodzić do Doliny Pięciu Stawów. Dopiero gdy zeszli poza zimową scenerię, zrobili sobie dłuższy postój. Niewielki posiłek, herbata, a przede wszystkim czekolada zregenerowały ich siły. Ułożyli się na płaskich, rozgrzanych kamieniach niczym jaszczurki łaknące słońca. Rozmawiali o wszystkim, leniwie, bez pośpiechu wymieniając informacje i opinie. Olga pomyślała, że wie już, co czuł Faust, gdy chciał zatrzymać czas. Sprowokowana przez brata, opowiedziała o swoim największym artystycznym marzeniu - chciała namalować Pietę, ale nie taką klasyczną, powieloną po raz kolejny, ale żywą, odartą z majestatu, pozbawioną uniwersalnego wymiaru, zwyczajnie i po prostu wyrażającą ból. Często wydawało jej się, że już wie jak, że już ją widzi, ale obraz wciąż jej się wymykał.

- Wybraliście sobie dość odległe profesje - zauważył Igor, patrząc na rodzeństwo. - A gdy weźmie się pod uwagę, że wasz brat jest zakonnikiem, to rozbieżności są naprawdę duże.

- W naszej rodzinie tak się już utarło, że każdy szuka własnej drogi. Może rzeczywiście ja i Michał poszliśmy w tym najdalej, ale za to Olga kontynuuje rodzinne tradycje - odparł Rafał. - Nasza mama i jej dwie siostry też zajmowały się sztuką.

- Aha, czyli że talenty dziedziczy się u was po kądzieli - stwierdził Igor.

Olga się roześmiała, a Rafał powiedział z udanym oburzeniem:

- No, dziękuję ci bardzo, kolego.

Olga wykorzystała ten zwrot w rozmowie i spytała Igora o jego zakopiańskie korzenie.

- Nie jestem autentycznym góralem, jeśli o to ci chodzi - odparł. - Właściwie w ogóle nie jestem góralem. Stanowię element napływowy, chociaż tu się urodziłem. Moi rodzice przyjechali do Zakopanego na początku lat sześćdziesiątych z tak zwanym nakazem pracy. Przyjechali osobno, z różnych stron Polski, ojciec z Ziemi Odzyskanych, a matka ze wschodu, z Lubelszczyzny. Tu się poznali, wzięli ślub, tu urodziłem się ja, moja siostra i brat.

- O, nie wiedziałem, że masz brata - zdziwił się Rafał.

- Miałem - odpowiedział Igor spokojnie. - Zginął w słowackich Tatrach, gdy kończyłem podstawówkę. Miał dwadzieścia lat. Był z nas najstarszy.

Ach, więc to dlatego... - pomyślała Olga.

- Przepraszam, nie chciałem... - zaczął Rafał.

- W porządku. Nie szkodzi. To było dwadzieścia lat temu. Ani ból, ani gniew nie trwają tak długo. Co najwyżej poczucie niesprawiedliwości. Zaraz po jego śmierci rodzice chcieli stąd wyjechać, ale zwyciężył życiowy pragmatyzm. Tutaj mieli mieszkanie, pracę, przyjaciół, dzieci chodziły do szkoły... Już raz zaczęli wszystko od nowa, nie mieli odwagi robić tego po raz drugi. Zresztą ojciec chyba kochał góry, nie przyznawał się tylko do tego przed matką, żeby nie robić jej przykrości. Taki po prostu był. Do choroby też się długo nie przyznawał, żeby się nie martwiła - przerwał na chwilę.

To już nie była błyskotliwa opowieść, mająca zrobić wrażenie na słuchaczach. Igor w prostych słowach snuł opowieść o swoim życiu. Mimo że przyjaźnili się od lat, Rafał znał tylko niektóre z tych faktów. Teraz zaczynał rozumieć to, co go w Igorze zastanawiało, wszelkie niekonsekwencje.

- Oboje z siostrą skończyliśmy ogólniak i wyruszyliśmy w świat studiować i szukać swojego miejsca. Ja wybrałem Warszawę, bo było to dla mnie wówczas centrum świata. Patrycja, ku radości matki, pojechała do Lublina studiować na KUL - u. Rodzina się rozproszyła, ale wracaliśmy często i chętnie do domu. Najtrudniej było chyba matce, zwłaszcza gdy ojciec zaczął chorować i po kilku latach zmarł. Została sama i nie bardzo umiała sobie z tym poradzić. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem o powrocie do Zakopanego na stałe. Ale życie potoczyło się inaczej. Nie zdziwiłem się, gdy na wieść o ślubie Patrycji i jej zamiarze pozostania w Lublinie matka postanowiła sprzedać mieszkanie i wrócić w rodzinne strony. Nigdy nie wybaczyła Tatrom, że zabrały jej syna. Rozumiałem to.

Odbyliśmy wielką naradę i decyzja zapadła. A ja doszedłem wtedy do wniosku, że dalsze poszukiwanie własnego miejsca nie ma sensu, bo to miejsce jest tutaj. Dopóki mogłem przyjeżdżać do mamy, wszystko było w porządku. Teraz, kiedy miała wyjechać, zrozumiałem, że nie potrafię żyć gdzie indziej, że tutaj, w Zakopanem, chcę mieć swój dom.

Sfinalizowaliśmy sprzedaż mieszkania i podzieliliśmy kapitał. Było tego trochę za mało, więc wziąłem dość morderczy kredyt, kupiłem drewnianą chałupę gwałtownie domagającą się remontu i wspólnie z kolegą, który właśnie wrócił ze Stanów i dysponował funduszami, otworzyliśmy zakład fotograficzny. Konkurencja była wtedy jeszcze nie taka wielka, więc powodziło nam się nieźle. Powoli remontowałem dom i spłacałem kredyt. Resztę wiecie. Praca i dom to bezpieczna baza. Ratownictwo, wspinaczki, fotografia, szybowce - to miłe dodatki, które poprawiają smak życia, podnoszą jego jakość i najzwyczajniej w świecie je uprzyjemniają. Jak widać, mam wszystko, co człowiekowi jest potrzebne, a może i więcej. No, powiedzmy, że prawie wszystko... - Igor umilkł, zapatrzony gdzieś w przestrzeń.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Olga pomyślała, że ten prawie obcy jej mężczyzna wydaje się taki prawdziwy i zwyczajny i poprzez tę prawdziwość i zwyczajność bardzo jej bliski.

- Przyznaję, że czasem twoje decyzje wydawały mi się trochę... nieracjonalne - stwierdził w końcu Rafał. - Ale w sumie wygląda na to, że w tym szaleństwie jest metoda.

- No wiesz, to samo mógłbym powiedzieć o tobie - roześmiał się Igor. Przesunął wzrokiem po linii horyzontu, mrużąc oczy przed ostrym światłem słońca. - Wiesz, gdybym pozostał w Zakopanem już na początku, miałbym pewnie dziś poczucie porażki. Kto wie, może byłbym niespełniony i sfrustrowany? Ale wyjechałem na kilka lat, szukałem swojej drogi, nie chciałem, żeby życie decydowało za mnie, choć to o wiele łatwiejsze. Kiedy zdecydowałem się na powrót, wiedziałem, do czego i dlaczego wracam. Tę pewność mam do dzisiaj i śpię spokojnie. Zresztą moja matka też wróciła do korzeni i teraz jest szczęśliwa. Mieszka z Patrycją i jej rodziną w niewielkiej wsi pod Lublinem. Odnalazła jakieś zapomniane kuzynki i starych znajomych, a dzieci mojej siostry są zachwycone, mając babcię na co dzień.

Olga patrzyła na Igora ze zrozumieniem. Myślała tak samo. Kiedyś też chciała uciec z Kalinowej Góry, szukać swojego przeznaczenia. Każdy przyjazd do leśniczówki był jak ładowanie akumulatorów - odkarmiona, wysłuchana, pocieszona, z nowymi siłami wracała do zmagania ze światem. Dopiero niedawno, tak jakoś mimochodem, pomyślała, że mogłaby wrócić do świata dzieciństwa i na starych fundamentach zbudować własny dom. Swoją przyszłość. Ma przecież twórczy zawód, mogłaby być wolnym strzelcem. Zresztą Kraków był tak blisko. A leśniczówka zawsze na nią czekała.

- Strasznie się rozgadałem - zreflektował się Igor. - Wybaczcie. Chyba was na dobre zanudziłem, bo coś podejrzanie ucichliście. - Spojrzał niepewnie na Olę, ale nie wyglądała na zdruzoną. Zerknął na zegarek. - Czas się zbierać - uznał. - Tym bardziej że mam dla was propozycję.

- O nie, nigdzie więcej nie idę. Chcę do domu. To znaczy do pensjonatu - zbuntowała się Olga. - Marzy mi się chłodny prysznic, bo czuję się jak podsmażony plaster bekonu.

- Skoro już o tym mowa, to mnie się bardziej marzy ten podsmażany bekon albo coś równie treściwego. Kanapki były w porządku, ale i tak zgłodniałem okrutnie - dorzucił Rafał.

- Wszystko się zgadza. To jest właśnie moja propozycja - uśmiechnął się Igor. - Dam wam godzinę albo dwie na doprowadzenie się do stanu używalności i zapraszam do mnie na kolację. Własnoręcznie przygotowaną. Co wy na to?

- To się nazywa propozycja nie do odrzucenia - stwierdził stanowczo Rafał i zwrócił się do siostry: - Możesz w to nie wierzyć, ale on naprawdę świetnie gotuje.

Zejsście do Palenicy było już tylko formalnością i chociaż trochę im się dłużyło, humory wciąż dopisywały. Miło u kresu dnia mieć świadomość, że został wykorzystany do granic. A tu jeszcze wieczór zapowiadał się podobnie. Gdyby Olga była kotem, mruczałaby teraz z zadowolenia, a tak uśmiechała się tylko do świata i do mijanych na szlaku turystów, którzy z lekkim przerażeniem patrzyli na ich spalone słońcem twarze i ramiona.

Dom Igora był niewysoki, ale rozłożysty, z dość stromym dachem i szeroką werandą wspartą na grubych palach. Olga i Rafał, wedle instrukcji, minęli taras i weszli od podwórza przez mały ganek, którego szeroko otwarte drzwi oznajmiały, że są oczekiwanymi gośćmi. Leżący przed progiem kudłaty kundel nieokreślonego koloru zaszczycił ich, co prawda, leniwym spojrzeniem, ale nie raczył się nawet podnieść. Weszli do środka i skierowali się w stronę, z której dochodziły smakowite zapachy. Otworzyli drzwi do kuchni i gospodarz uśmiechnął się do nich na powitanie.

- Dobrze, że jesteście. Chodźcie dalej, ja już kończę przygotowania.

Poprowadził ich do dużego pokoju, rozjaśnionego przyćmionym światłem, w którym książki wypełniały drewniane regały od podłogi po sufit. Wszędzie wisiały obrazy i stały kwiaty. Szczególnie zainteresowały ją oczywiście obrazy, nie tylko typowe górskie pejzaże, ale również pięknie stylizowane sceny sakralne czy nawet wizje lekko fantastyczne, abstrakcyjne. Przyjaciel brata intrygował ją coraz bardziej. Tak, pomyślała, rozglądając się po pokoju, z człowiekiem, który tak urządza swój dom, bez wątpienia można się dogadać, nawet zaprzyjaźnić...

- Czego się napijecie? - spytał Igor.

Oboje wybrali ulubione białe wino.

- Trafiliście bez problemu?

- O tak, jak po sznurku - odparł Rafał, biorąc do ręki kieliszek. - Prosto do ganku.

- Na którym przywitał nas śmieszny i ospały Cerber - dodała Olga. - Twój pies nie jest raczej wzorem stróża?

- Herkules? Ależ jest! Jeśli trzeba, potrafi nawet rzucić się do kostki, bo do gardła nie sięga. No, chyba że ofiara jest już powalona... Ale dzisiaj wyjaśniłem mu, że spodziewam się miłych gości i ma się zachowywać kulturalnie. Rozgoście się, a ja skoczę dopilnować moich specjalów.

- Może ci pomóc? - spytała Olga odruchowo.

Odrzucił się już w progu i patrzył na nią przez chwilę intensywnie. Zmieszała się. No tak, pomyślała, to chyba niezbyt taktowne przy pierwszej wizycie w obcym domu narzucać się z pomocą w kuchni. Jej matka na przykład nie tolerowała w kuchni nikogo - to było jej królestwo, więc może...

- Oczywiście. Mała pomoc jest zawsze mile widziana - powiedział Igor.

Rafał nie zamierzał zostać sam, więc całe towarzystwo przeniosło się do kuchni.

Każdy dostał zadanie: Olga kroїła pomidory, Rafał obierał listki dziwnie postrzępionej, zielonoczerwonej sałaty, a Igor - jak przystało na szefa - zaglądał do wszystkich garnków, mieszał, przyprawiał, smakował i znowu przyprawiał.

Czas płynął leniwie, rozmowa toczyła się swobodnie i również niespiesznie. Było im swojsko, ciepło, niemal rodzinnie pod tym niby obcym, a tak przyjaznym dachem. Tak się zadomowili w kuchni Igora, że zupełnie nie mieli ochoty przenosić się do salonu. Wreszcie przygotowania zostały ukończone i cała trójka zasiadła do późnej kolacji. Olga była początkowo ostrożna, ale szybko poszła za przykładem brata, który bez skrpułów pochłaniał kolejne dania, w przerwach głośząc peany na cześć ich twórcy. Musiała przyznać, że wszystkie potrawy były wyśmienite - nigdy dotąd nie jadła tak przyrządzonych szparagów w sosie pomarańczowym. Igor naprawdę miał talent. I najwyraźniej się postarał. Nawet nie zauważyli, kiedy wybiła północ. I specjalnie się tym nie przejęli.

- Macie na jutro jakieś ambitne plany? - spytał Igor trochę dla zasady.

- Właściwie nie, chcemy tylko w miarę wcześniej wyjechać, żeby nie utknąć na Zakopiance, a poza tym Olga zapowiedziała, że nie pokaże się na słońcu. Zobaczymy, może jakiś mały spacer.

- Chyba samotny, braciszku - zaprotestowała. - Ja się muszę zreanimować, to znaczy moją skórę, bo inaczej zrzucę ją w całości jak wąż. Nie miałam pojęcia, że nas tak spali - zwróciła się z pretensją do Igora.

- Fakt, moja wina - przyznał. - Powinienem cię uprzedzić, że to lepsze niż solarium. Albo gorsze, zależnie od punktu widzenia.

Była już głęboka noc i spotkanie nieuchronnie zmierzało ku końcowi, ale nieświadomie odsuwali w czasie moment rozstania. Wybiła pierwsza, gdy Rafał, czujny jak zwykle, zasugerował konieczność choćby krótkiego wypoczynku po tak aktywnym dniu. Opuścili gościnny dom Igora z żalem, że oto coś dobrego się kończy. Przygoda minęła, czas wracać do normalnego życia. Olga wcale nie była pewna, czy tego chce. Złośliwy los pomieszał jej drogi, zawitała do innej bajki i nagle uświadomiła sobie, że chciałaby w niej pozostać. Głupstwo, pomyślała, to tylko zmęczenie, baśniowy klimat tego domu, noc i wino. Do rana mi przejdzie.

Nie przeszło. Olga obudziła się z poczuciem straty, jakby coś ważnego zgubiła, o czymś bardzo istotnym zapomniała. Wrażenie to było niezbyt jasne, ale intuicyjnie zinterpretowała je jako niechęć do powrotu. Ostatnie dni dały jej wytchnienie, którego tak potrzebowała. Dały złudzenie jakiegoś pięknego, nowego życia, za którym tak tęskniła. Trochę niepokoiło ją tylko to, że nie wie jeszcze, jak to nowe doświadczenie wykorzystać.

Dzień się obudził mglisty i chłodny. Góry majaczyły za cienką zasłoną mgieł. Rafał zaczął więc namawiać siostrę na ostatni spacer. Pomyślała, że to będzie miły akcent na zakończenie tej majowej przygody.

Podjechali do Kuźnic i ruszyli w stronę Kalatówek. Chłodne, rześkie powietrze uderzało do głowy. W wierzchołkach świerków szumiał niestrudzenie wiatr. Szli, nie odzywając się dłuższy czas, każde pogrążone we własnych myślach. Wstąpili na chwilę do kaplicy sióstr albertynek, której cisza zachęcała do zatrzymania się, wyciszenia, spojrzenia w siebie.

Tuż przed południem dotarli na polanę. Usiedli na trawie, Olga wyjęła termos z kawą i rozlała ciemny, gorący płyn do kubków.

- Wszystko w porządku? - spytał Rafał. - Nie jesteś zbyt rozmowna.

- Przyganiał kocioł garnkowi... - odparła Olga, uśmiechając się lekko. - Oczywiście, że w porządku. Tylko trochę mi smutno, że to już koniec.

- Piękno zaklęte w miejscach takich jak to - skinął głową w stronę rozciągającej się przed nimi panoramy Tatr - jest przecież wieczne. Wystarczy je odnaleźć, a potem już tylko wracać. Z ludźmi jest podobnie - dodał, patrząc jej w oczy.

Chwilę wytrzymała to spojrzenie, potem w milczeniu odwróciła wzrok.

Wrócili już do miasta, gdy zadzwonił telefon.

- No cześć, stary. Odespałeś już naszą kolacyjkę? - rzucił Rafał do słuchawki.

- Mnie to nie szkodzi, jestem nocnym markiem. A jak wasza kondycja? - spytał Igor.

- Nie najgorzej, wracamy właśnie z Kalatówek.

- O, jestem pod wrażeniem. Olga się zreanimowała?

Rafał rzucił okiem na siostrę i uśmiechnął się.

- Mniej więcej, choć muszę przyznać, że wygląda nieszczerólnie... Auu! - zawył, bo Olga kopnęła go z rozmachem w kostkę. - I zrobiła się agresywna - dodał, odsuwając się na bezpieczną odległość.

W słuchawce zabrzmiał śmiech Igora.

- To może potrzebne ci wsparcie? Spotkajmy się na obiedzie w Kolibeczce. Co wy na to?

- Świetnie. - Rafał spojrział na zegarek. - Możemy tam być za godzinę. Cześć. Na razie. Umówiłem się z Igorem na obiad - wyjaśnił Oldze.

- Słyszałam - odparła sucho. Po chwili jednak spytała zupełnie innym tonem: - Naprawdę tak źle wyglądam?

Rafał roześmiał się i przytulił ją.

- Ależ z ciebie niemądre stworzenie, siostrzyczko...

Gdy dotarli do Kolibeczki, Igor był już na miejscu. Usiedli przy stoliku w ogródku. Szybko okazało się, że nastroje są adekwatne do chmurnej aury, choć Rafał starał się bardzo podtrzymywać gasnącą chwilami rozmowę. Po obiedzie Olga zamówiła sobie grzańca, a panowie, jako że obaj mieli w planach jazdę samochodem, poprzestali na herbacie.

- Kiedy wyjeżdżacie? - spytał Igor.

- Właściwie zaraz. Jesteśmy już spakowani. Rano rozliczyliśmy się z właścicielem, więc pojedziemy tylko do pensjonatu po bagaże i w drogę.

Pożegnanie było krótkie i trochę oficjalne.

- To co? - Rafał potrząsnął mocno dłonią Igora. - Do zobaczenia na następnej wyprawie.

- To znaczy kiedy?

- Nie mam pojęcia, ale pewnie niedługo. Urlop będę miał, co prawda, dopiero we wrześniu, ale od czego są weekendy? Zresztą nie jestem przecież urzędnikiem - nienormowany czas pracy też ma swoje plusy. Odezwę się. Może zaplanujemy coś większego? Do zobaczenia. - Rafał spojrział na siostrę i poszedł w stronę samochodu.

Olga wyciągnęła rękę do Igora, uśmiechając się ciepło.

- Cieszę się, że cię poznałam. I to po raz drugi. Dzięki za wszystko. Za opowieści, za wspaniałą kolację, za to, że poświęciłeś nam tyle czasu.

- Żartujesz? To ja ci dziękuję. - Przytrzymał jej dłoń. - Przyjedziesz następnym razem z Rafałem?

Zmieszła się, odwróciła wzrok.

- Nie wiem. Ja... Raczej nie. Chociaż... zobaczymy. Delikatnie cofnęła dłoń i spojrzała na Igora. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. W gruncie rzeczy nic o nim nie wiem, pomyślała, co czuje, co myśli. I w ogóle nie powinno mnie to obchodzić. Być może więcej się nie spotkamy - nie wiedzieć czemu, zabolęła ją ta myśl. Czekwała na coś jeszcze.

- Cóż, w każdym razie miło spędziliśmy razem czas, zostanie dobre wspomnienie - odezwał się po chwili. - Gdybyś jednak zamierzała zawitać w te strony, to daj znać. Jest tyle miejsc, które mógłbym... które chciałbym ci pokazać - poprawił się.

Patrzył na nią, próbując zapamiętać każdy szczegół - kolor oczu, zarys ust, pionową zmarszczkę między ciemnymi brwiami, miękką linię kości policzkowych, gładkie, wysokie czoło... Zdawał sobie sprawę, że nie może w tej chwili zrobić nic, aby ją zatrzymać. Ale tym razem nie zamierzał pozwolić sobie na grzech zaniechania. Sięgnął do kieszeni i podał jej swoją wizytówkę.

- Gdybyś wybierała się do Zakopanego, po prostu zadzwoń. Będę czekał. Wiesz, że mogę być przydatny... - uśmiechnął się znacząco.

- Och, nie wypominaj mi już tej nieszczęsnej Orlej...

- Nie wypominam. Zresztą naprawdę uważam, że byłaś bardzo dzielna. Poradziłaś sobie nie tylko z trudnym szlakiem, ale przede wszystkim z sobą.

- Daj spokój, chwilami byłam przerażona.

- Tylko głupcy nie odczuwają strachu. Odwaga polega na tym, żeby ten strach pokonać. Tobie się udało i powinnaś być dumna.

- Z twoją wydatną pomocą. Nawet ci wtedy nie podziękowałam...

- Drobiazg. Mówiłem, że potrafię być przydatny. I jeszcze jedno: wiesz, że zawsze będziesz mile widziana w moim domu.



- Dziękuję. I do zobaczenia.

Kierując się naturalnym impulsem, zrobiła krok do przodu, pochyliła się i pocałowała go w policzek. Potem odwróciła się i pobiegła w stronę parkingu. Nie pozwoliła sobie na żadne spojrzenie za siebie. Co za cholerny melodramat, pomyślała ze złością. Prawie nie znam faceta, a zachowuję się jak Ingrid Bergman w Casablance. Wsiadła do samochodu i z rozmachem zamknęła drzwi. Rafał spojrział na nią badawczo, ale nic nie powiedział. Była mu za to wdzięczna. Sama nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje.

Wbrew ich obawom na trasie nie było korków i podróż minęła im bardzo sprawnie. Zapadał już wieczór, gdy podjechali na ulicę Lea.

- Wstąpisz na herbatę? - spytała Olga.

- Raczej nie. Jadę prosto do domu, zamierzam paść i spać co najmniej dziesięć godzin. Jutro od rana do pracy. Zadzwoń do ciebie. Na razie.

- Na razie, pa.

Olga zabrała swoje rzeczy i ruszyła już w stronę domu, kiedy Rafał znów się odezwał:

- To był udany weekend, prawda, Oluś?

- Tak. To było jak sen... Aż szkoda, że trzeba się obudzić. Dzięki, braciszku.

### III

Pierwszy majowy tydzień zaczął się bardzo pracowicie. Cały poniedziałek Olga spędziła w wydawnictwie, omawiając z kolegami nowe zadania, które wyznaczył zespołowi dyrektor Brzóska. Mimo ogromu pracy wszyscy byli zadowoleni. Rozwój firmy i poszerzenie jej oferty oznaczało dla pracowników pewność i stabilizację zawodową. Olga cieszyła się, że oprócz okolicznościowych kartek będzie teraz przygotowywać więcej projektów graficznych książek - był to kolejny szczebel jej rozwoju. Chociaż chwilami zastanawiała się, jak to pogodzi z innymi swoimi zajęciami, a zwłaszcza z przygotowaniem projektów ilustracji do Przygód Borgemunda - w końcu zwycięstwo w konkursie zobowiązywało.

Wyszła z kamienicy na Mikołajskiej tuż po osiemnastej i postanowiła wracać do domu pieszo, żeby na spokojnie przemyśleć pojawiające się już w głowie pomysły ilustracji. Wiedziała, że dzisiaj i tak nie zacznie żadnego projektu, bo wybierali się z Markiem do teatru. Zresztą nie lubiła zaczynać ważnych prac w poniedziałki. W pewnych kwestiach była bardzo przesadna. Jeśli tylko musiała po wyjściu z domu po coś wrócić, zawsze przysiadła na chwilę, żeby uspokoić dobre duszki. Właśnie - dobre duszki, skrzaty - w opowieści o Borgemundzie stanowią osobną nację i nazywają się pacyfonki. Wiedziała już, jak mają wyglądać - ogniste rude włosy, wielkie, świetliste oczy i elfie uszy. Do tego błękitno - zielone stroje. I spiczaste czapeczki. Nie, to zbyt banalne i wtórne... Może jakieś oryginalne kapelusze...? Myśli popłynęły swobodnie. Przed jej oczyma przesuwaly się kształty, kolory, śmieszne małe postacie, a nie ulice, które przemierzała szybkim krokiem.

Ocknęła się na skrzyżowaniu Karmelickiej z Alejami. Spojrzała na zegarek. Miała dość czasu, żeby spokojnie wziąć prysznic i stosownie się ubrać. Marek zarezerwował bilety na Czarownicę z Salem w Teatrze im. Słowackiego. Zaczęła się znowu zastanawiać nad znaczeniem tego dość zaskakującego zaproszenia. Już dawno Marek nie występował z tego rodzaju propozycjami. Zresztą od jej powrotu zachowywał się bardzo miło - był serdeczny i bezpośredni. Cieszyła ją ta zmiana, ale gdzieś w środku tliło się podejrzenie, że coś się musi za tym kryć.

Teatralny wieczór udał się nadzwyczajnie. Sztuka, mimo że przecież dobrze znana, zrobiła duże wrażenie na Oldze. Być może dzięki aktorstwu i pięknej scenografii, ale przede wszystkim chyba dzięki niezwyklej oprawie muzycznej. Po spektaklu zaliczyli jeszcze knajpkę niedaleko teatru, bo domowa lodówka po weekendzie świeciła pustkami. Wszystko było idealnie, może zbyt idealnie, bo gdy po kolacji dopijali wino, Marek poruszył temat, który dzielił ich od dawna i wywołał już niejedną sprzeczkę.

- W sobotę dzwonił ten twój podopieczny z domu starców - powiedział z niechęcią.

Olga aż się wewnątrz skuliła na to określenie.

- Chciał się z tobą widzieć, ale nie raczył mnie poinformować, co to za pilna sprawa.

Już chciała odpowiedzieć, lecz nie pozwolił sobie przerwać. Najwyraźniej przygotował dłuższą tyradę na temat, który od dawna nie dawał mu spokoju.

- Nie rozumiem cię. Masz tylu miłych, kulturalnych znajomych, ludzi na poziomie, a nieustannie ciągnie cię do jakichś dziwaków, wykołajeńców albo i mętów. To chyba u was rodzinne. Jak nie Cyryl, to znów ten zdziwaczały malarz z bożej łaski.

- Eryk nie jest ani dziwakiem, ani malarzem z bożej łaski. Ma talent.

- Może i ma - zgodził się Marek. - Ale co z nim zrobił? Jak wygląda jego życie? Człowiek, który ma talent, robi w dzisiejszych czasach karierę.

- Tak? - spytała ironicznie. - Ciekawe, ilu to genialnych artystów zrobiło karierę za swojego życia? Może Rembrandt, może van Gogh, może...

- Och, to było dawno - stwierdził lekceważąco. - Czasy się zmieniły. Dzisiaj jest inaczej, na sztuce też się zarabia.

- Czasy może się zmieniły - powiedziała z przekonaniem - ale nie ludzie. A na sztuce zawsze można było zarabiać. Tyle że nie każdy umie i chce się sprzedać.

- Ty znowu swoje! Ten twój naiwny idealizm bywa męczący - powiedział, ale zaraz dodał łagodząco: - Kochanie, nie kłóćmy się. Przecież w gruncie rzeczy nie ma o co.

Racja, przyznała w myślach, nie ma o co. Ale przecież zrobiło jej się smutno. Zastanawiała się, jak to możliwe, że tak różne rzeczy są dla nich ważne. I jak to możliwe, że spędziła z Markiem sześć lat, zupełnie tego nie widząc. Czy jeszcze mu na niej zależy czy są ze sobą już tylko z przyzwyczajenia i lęku przed zmianą? Czy jeszcze ją kocha? Czy kiedykolwiek ją kochał? Nigdy jej tego nie powiedział, ale kiedyś nie potrzebowała słów na potwierdzenie uczuć, których była pewna. Czyta pewność, podbudowana własnym zaangażowaniem, nie była jednak złudzeniem?

Marek zaczął opowiadać o pracowitym weekendzie, zapytał o pobyt w Zakopanem, o zmiany w wydawnictwie. Znow wszystko było w porządku. Znow byli parą młodych, inteligentnych, kulturalnych ludzi wspólnie spędzających miły wieczór.

Nazajutrz nie musiała biec od rana do wydawnictwa, więc spokojnie zjadła śniadanie i tuż po dziewiątej zadzwoniła do domu seniora, gdzie mieszkał Eryk Szwejcowski. Sprawdziła, czego potrzebuje, i umówiła się na popołudnie. Potem na kilka godzin zamknęła się w pracowni, aby przygotować pierwsze szkice Borgemunda i jego dziwnych przyjaciół.

Późnym popołudniem zrobiła zamówione zakupy i wsiadła w tramwaj jadący do odległej dzielnicy miasta. Za oknami przesuwały się kolejne ulice, skwery, skrzyżowania, na przystankach kłębił się kolorowy tłum. Eryka spotykała przez wiele miesięcy w różnych miejscach. Czasem na Małym Rynku, gdy szła do pracy, czasem na Kazimierzu, czasem pod Teatrem Słowackiego. I chociaż miał na sobie niemodne i trochę zniszczone, ale noszone z jakąś nonszalancją ubranie, jego twarz zwracała uwagę - kiedyś był niewątpliwie przystojny, mówiły o tym głęboko osadzone oczy i klasyczny profil. Teraz widoczne było na niej bujne, pełne wydarzeń, może dramatów, może nadmiernego temperamentu i szaleństwa życie. Głębokie bruzdy znaczyły czoło, otaczały kąciki ust, oczy zaś ginęły w pajęczej sieci zmarszczek. Krótka siwa broda dodawała mu surowości, rzadkie, dość długie i także siwe włosy związywał w cienki kucyk. Wyglądał trochę jak stary wilk morski, który wszystko już w życiu widział i wszystko przeżył, dlatego nie ma w nim ani strachu, ani nadziei.

Olga za każdym razem zastanawiała się, kim był i jakie miał życie. Wyglądał jak włóczęga, którego cały dobytek mieści się w tobołku, ale przecież był prawdziwym artystą. Może nie każdy z patrzących na niego raczej niechętnie przechodniów zdawał sobie z tego sprawę, lecz Olga wiedziała, że jest utalentowanym malarzem i - co więcej - malarzem wykształconym. Zdradzało to każde pociągnięcie pędzla. I było w jego obrazach coś jeszcze, co pociągało ją i zachwycało. Jakaś głębia, której sama tyle razy bezskutecznie poszukiwała. Nieraz patrzyła, jak rozkłada na ulicy swoje niewielkie, proste sztalugi, siada na płóciennym krzeselku albo wprost na chodniku, wyciąga z szarego, zniszczonego plecaka farby, pędzle i zaczyna malować, ale nigdy nie odważyła się go zagadnąć. Aż do pewnego dnia zeszłej jesieni.

Od rana nie mogła sobie znaleźć miejsca. Poprzedniego wieczoru po raz kolejny próbowała zacząć swój wymarzony obraz Piety. Wymyśliła go dawno temu, gdy po raz pierwszy oglądała Jezusa z Nazaretu Zefirellego i zobaczyła w nim Olivie Hussey w roli Marii, moknącą pod krzyżem w strugach deszczu i czekającą na zdjęcie ciała jej syna. Wtedy po prostu zrozumiała, czego chce. Widziała w duszy każdy szczegół, każdy kształt i półcień, ale gdy brała pędzle do ręki, wszystko jej się wymykało, jakby dłonie nie nadszały za wyobraźnią.

Zwolniła, zobaczywszy w oddali znajomą postać pochyloną nad sztalugami. Pierwszy raz spotkała go na Błoniach. Może niczym Wyspiański próbował uchwycić niezwykle widok na kopiec Kościuszki? Przystanęła niepewnie. Coś ją ciągnęło do tego obcego człowieka, obojętnego na świat zewnętrzny, zamkniętego w sobie. Nie wiedziała, o co chce go zapytać i czy jej odpowie, ale skrzyła na ścieżkę i ruszyła powoli w jego stronę. Przystanęła kilka

kroków za nim i nie zdążyła jeszcze nic powiedzieć, gdy mężczyzna odezwał się pierwszy, nie odwracając głowy: „Więc wreszcie się pani zdecydowała? Dobrze. I czegoś pani chce ode mnie?”. Była zbyt zaskoczona, żeby odpowiedzieć od razu. Mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął, widząc jej minę. „Skąd pan wiedział, że...” - zająknęła się. „No cóż, to widać. Ma pani bardzo wyrazistą twarz, no i oczywiście mowa ciała też nie pozostawia wątpliwości. Poza tym pani nieraz przyglądała się moim obrazom. No i oczywiście patrzyła inaczej. Bardzo inaczej. Ale to zrozumiałe. Pani też maluje, prawda?”. Znow ją zaskoczył. Tak bardzo, że nie wiedziała, od czego zacząć. Roześmiał się. „Niech mnie pani nie bierze za jakiegoś wiedzmina. Jak pani przeżyje tyle lat, co ja, namaluje tyle obrazów i spotka w życiu tylu mniej lub bardziej udanych artystów, też pani będzie dostrzegać rzeczy zdawałoby się niewidoczne”.

Nie tak wyobrażała sobie tę rozmowę. Wprawdzie role niespodziewanie się odwróciły, lecz cel został osiągnięty. Tak zaczęła się ta ich dziwna znajomość. Nigdy się nie umawiali na kolejne spotkania, ale Olga zawsze umiała go odnaleźć na ulicach starego Krakowa. Rozmawiali ogólnie o sztuce, o historii malarstwa, konkretnych twórcach. Czasami prosił ją, by kupiła mu jakieś farby czy terpentynę lub pędzel. Zawsze dodawała coś od siebie, orientując się dokładnie, czego mu brakuje. Zauważał to, uśmiechał się do siebie i nigdy nie powiedział „dziękuję”. Dopiero gdy zachorował i po wielu dniach do niej zadzwonił, dowiedziała się, że mieszka w domu seniora. Poprosił ją, żeby kupiła mu kilka farb. „Ta cholerna grypa całkowicie mnie uziemiła. A tu taaaka zima... Nie mogę przecież malować zimowego pejzażu bez bieli cynkowej. Nie w grudniu” - powiedział zachrypniętym głosem. „W lutym wystarczyłoby mi tytanowa” - dodał jakby na swoje usprawiedliwienie.

Odwiedziła go wtedy w jego skromnym pokoju częściowo przerobionym na pracownię. „Nie jest źle” - powiedział. „Mam własny pokój, a tutaj to spory luksus. Mój syn za wszystko płaci”. „Nie wiedziałam, że ma pan syna”. - wyrwało się Oldze. „Mam troje dzieci. Nigdy się specjalnie nimi nie przejmowałem. I one też się mną specjalnie nie przejmują” - dodał z brutalną szczerością. „Ale Piotr jest w porządku. Dzięki niemu mam zapewniony byt, starcza mi na farby i na tytoń. Nic mi więcej nie potrzeba”. Niepewnie rozejrzała się po pokoju. Przy oknie, na sztalugach, jaśniał bielą i błękitem nie dokończony zimowy pejzaż. „Mogę zobaczyć?” - spytała. „Jasne. Czemu nie?”.

„Czy tego się można nauczyć?” - spytała po chwili. „Jak pan to robi? Jak udaje się panu uzyskać takie światło? To naprawdę niezwykle”. „Studiowałaś przecież malarstwo. Wiesz, że prawie wszystkiego można się nauczyć”. „Nie wszystkiego. Niby znam zasady, ale tego” - wskazała obraz przy oknie - „nie potrafię zrobić. Umieć namalować wierny portret, ale nie potrafię sprawić, by twarz miała charakter, osobowość. Mogę namalować uśmiechnięte usta, ale uśmiechu w oczach nie umiem. Ani tego wewnętrznego światła, które na pana obrazach mają w sobie dzieci. Jak pan to robi?” - powtórzyła. „Może to kwestia równowagi. Moje życie jest pełne mroku, więc całe światło, jakie mi przysługuje, daję obrazom” - uśmiechnął się. „Sądziłam, że jest odwrotnie, że aby namalować światło albo opisać uczucie, trzeba je mieć w sobie...”. Nie odpowiedział od razu. Przesunął wzrokiem po płótnach, którymi zawieszono były ściany. „To bardzo kusząca interpretacja. Niestety nieprawdziwa. Drogie dziecko, spójrz na historię sztuki. Największe dzieła stworzyli szaleńcy i okrutnicy. Czasem obłąkani, zбочeni, czasem tylko samotni, egocentryczni, niezrozumiani w swych dziwactwach, ekstrawagancjach, potępieni przez świat za swoją inność i swoje grzechy. Tworzyli wielką sztukę, ale nie umieli znaleźć szczęścia, a tym bardziej dać szczęścia innym. Krzywda była ich chlebem powszednim - ta, którą wyrządzali, i ta, której sami zaznali”. Słowa Eryka zapadły w nią głęboko. Nie chciała im ulec. „To by znaczyło, że nie warto być artystą”.

Tramwaj zatrzymał się ze zgrzytem na ostatnim przystanku trasy. Zabrała swoje pakunki i zbiegła po schodkach na chodnik otoczony żywą zielenią. Przeszła na drugą stronę ulicy i przystanąła przed dwupiętrowym, przysadzistym jasnożółtym budynkiem. Nad

drzwiami wisiała odrapana pretensjonalna tabliczka z równie pretensjonalną nazwą: „Jesienna Przystań”. Paskudztwo, myślała Olga za każdym razem, gdy przekraczała próg tego przybytku. Eryka nie było w pokoju.

- Pan Szwajcowski? - napotkana na korytarzu pielęgniarka zastanowiła się chwilę. - Ach, ten malarz? Jest w ogrodzie. Widziałam, jak wynosił cały swój ekwipunek.

Eryk zaszył się w jakiejś odludnej alejce i osłonięty krzakami bzu pochylał siwą głowę nad sztalugami. Z daleka wyglądał na słabego, zmęczonego życiem starca, ale gdy odwrócił głowę na odgłos jej kroków, to wrażenie natychmiast znikło. Olga w żadnym człowieku nie widziała tyle pasji, tyle woli życia. Nawet w ludziach młodszych od niego niemal o pół wieku.

- Dzień dobry - przywitała się. - Przyniosłam zamówione farby, szkicownik i trochę owoców.

- Doskonale - odparł.

Wypakowała zakupy i spojrzała uważnie na obraz. Przedstawiał drzewo. Po prostu drzewo. Potężne, strzeliste, samotne i wyniosłe, choć z nienaturalnie powyginanymi konarami, jakby nieustannie zmagало się z żywiołem, na tle szarego, deszczowego krajobrazu.

- Podoba ci się? - spytał.

Patrzyła na obraz zdumiona. Był inny od tych, jakie znała, ale nie wiedziała, na czym ta inność polega. Był smutny, lecz była w nim także siła. Maluje siebie - ołśniło ją. Uśmiechnęła się.

- Tak. Podoba mi się - stwierdziła. Spojrzał na nią uważnie:

- Okropnie się bystra ostatnio zrobiłaś. To przestaje być zabawne. - Przyglądał się jej przez chwilę badawczo niczym lekarz, po czym dodał nieoczekiwanie: - Coś mi się zdaje, że nie tylko wzrok ci się poprawił. Widzę, że w sprawach uczuciowych też lepiej. W końcu się dogadałaś z tym twoim prawnikiem. Czyżby zrozumiał wreszcie, o co chodzi w tym biznesie, z którego żyją poeci, filmowcy i kwiaciarki?

Zmieszła się i nie umiała tego ukryć, co ją z kolei zirytowało i sprawiło, że reakcja była tym silniejsza. Eryk zagwizdał przeciągle.

- Więc to nie o niego chodzi? W porządku, nic już nie mówię. To twoje sprawy, dziecko. Tylko... uważaj na siebie.

- Nie wiem, o co panu chodzi! - zniecierpliwiała się Olga i już miała się zacząć żegnać, gdy Eryk zaczął opowiadać:

- Kiedyś mogłem zrobić karierę. Miałem talent i szczęście. Los mi sprzyjał. Ale... chciałem zbyt dużo. Służyłem zbyt wielu bogom, a bogowie są zazdrośni. Zazdrośni i mściwi jak kobiety. Chciałem malować genialne obrazy, mieć piękne kobiety, zdobyć wielką sławę i jeszcze większe pieniądze. W tamtych czasach nie było to wcale takie proste, zwłaszcza jeśli nie miało się dobrych układów z władzą. No więc postarałem się o takie układy... Ciężko pracowałem, tworzyłem, czasami na konkretne, bardzo konkretne zamówienia, ale także przekraczałem granice i parłem do przodu, na nic nie bacząc. Widzisz, dziecko, kochałem wiele kobiet, ale żadnej z moich żon. Mam troje dzieci, ale nie widziałem, jak rosły. Namalowałem wspaniałe obrazy, ale wiszą na ścianach domu starców. To nieprawda, że wszystko poświęciłem sztuce. Uczyniłem z niej środek do celu. I nie darowała mi tego - zamilkł, po czym spojrzał wprost na Olę: - Widzisz, moja droga, czasem trzeba wybierać: albo miłość, albo sztuka. - Uśmiechnął się cynicznie i dodał: - Albo sława i pieniądze.

- O mnie nie musi się pan martwić. Nie mam dość talentu, żeby dokonywać takich wyborów. Owszem, maluję, ale robię też wiele innych rzeczy, starając się odnaleźć w tym radość i spełnienie. Nie muszę i nie chcę niczego się wyrzekać. I tylko mam takie marzenie, które może kiedyś się spełni. - Pomyślała o tych wszystkich szkicach Piety, która od lat żyła w jej wyobraźni.

Eryk milczał.

- Dziękuję - powiedziała cicho, odwróciła się i poszła w stronę furtki, ścigana zapachem bzu.

Prosto z Jesiennej Przystani pojechała do centrum, do Karolka, gdzie umówiła się z Hanką, by porozmawiać z nią o swoich pokręconych emocjach, ale rozmowa z Erykiem skierowała jej myśli na zupełnie inne tory.

Hanka była szczęśliwa i rozpromieniona. Wyjazd do stadniny okazał się niezwykle udany. Amelka najchętniej spędzałaby w siodle całe dnie, a ponieważ Hanka też kiedyś jeździła konno, dla towarzystwa wróciła do młodzieńczej pasji.

- Byłabyś świetną mamą - powiedziała Olga z przekonaniem. - No, może trochę zbyt zakochaną i nadopiekuńczą, ale świetną.

Hanka spojrzała na nią dziwnie i zamilkła.

- Powiedziałam coś nie tak? - zmieszała się Olga.

- Ależ nie, przepraszam. A jak twój wyjazd? Jak cię przywitało Zakopane po tak długiej nieobecności?

Olga opowiedziała przyjaciółce o wszystkich przygodach, starając się, żeby relacja nie była zbyt chaotyczna. Hanka nie potrzebowała wiele czasu, by zorientować się, że Igor pojawia się w niej dość często i w najróżniejszych kontekstach.

- Co to za facet? - spytała.

- Przyjaciel Rafała. Fotograf i ratownik TOPR - u.

- Lubisz go, prawda? - Hanka nie bawiła się w podchody.

- Nie - zaprzeczyła żywo Olga, ale zaraz się zreflektowała.

- To znaczy tak, oczywiście, ale prawie go nie znam - dodała z uśmiechem.

- O, to poważna sprawa - roześmiała się Hanka i powiedział już serio: - Uważaj.

- Daj spokój - zniecierpliwiła się Olga drugim ostrzeżeniem w ciągu tego dnia i zrećcznie zmieniła temat: - Byłam dzisiaj u Eryka. Pamiętasz, opowiadałam ci o nim. Niby znam go od kilku miesięcy, ale nie wiedziałam, że miał tak dramatyczne życie. I obawiam się, że nie zawsze był w porządku.

- Każdy ma w duszy jakieś ciemne zakamarki. Nikt nie jest doskonały - powiedziała Hanka bardzo poważnie.

Olę trochę zdziwiła ta wypowiedź, zupełnie nie w stylu przyjaciółki. Postanowiła poprawić jej humor.

- Daj spokój, Haniu. Ty akurat jesteś paskudnym, wpędzającym własne koleżanki w depresję chodzącym ideałem. Nawet z tak prozaicznej rzeczy jak praca uczyniłaś szlachetną misję. Jesteś ładna, mądra, wspianałomyślna i pogodna - wszyscy cię kochają. Począwszy od twoich dzieciaków, przez przyjaciół, a na mężczyznach skończywszy.

Wyśpiewała ten pean bez zająknięcia i najzupełniej szczerze. Zawsze podziwiała Hanę, a z powodu jej prostoty i autentycznej życzliwości nigdy jej nie zazdrościła. Zresztą Olga rzadko zazdrościła innym. Uważała, że zazdrość upokarza w jakimś sensie tych, którzy jej ulegają.

Hanka uśmiechnęła się trochę smutno.

- Oto lojalna przyjaciółka. Dziękuję ci - zawahała się. - Ale nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz...

Olga spojrzała uważnie na Hanę - jej uśmiech znikł, a duże zielone oczy podejrzanie błyszczały. Nie bardzo wiedziała, co powinna powiedzieć, więc milczała. Hanna otrząsnęła się z ponurych myśli, ale Olga w drodze do domu zastanawiała się chyba po raz pierwszy nad tym, co Hanka skrywa pod tą zewnętrzną warstwą optymizmu i witalności.

Majowe dni uciekały jeden za drugim, za nic sobie mając zamówienia szefów i prezesów, jak i prośby czy zakłęcia pracowników szacownych instytucji. Hanka na dobre utknęła przy maturach, Weronika wdrażała się do nowych obowiązków i tyrała od rana do nocy, a Olga przesiadywała albo w wydawnictwie, albo w pracowni, malując kolejne skrzaty,

elfy, centaury i inne dziwne stworzenia. Kontaktowały się więc jedynie telefonicznie i to też niezbyt często. Nawet Cyryla Olga spotykała jedynie wirtualnie, słuchając jego nocnych audycji w radiu.

Majowe spotkanie Klubu Dobrej Wiadomości odbyło się bez fajerwerków. Na dobry początek Karolek oświadczył, że w czerwcu wyjeżdża na tygodniowe wakacje - pierwsze od wielu lat. Przyjaciół z czasów młodości i sportowych sukcesów zaprosił go do siebie, a że lata temu osiadł na Sardynii, Karolek postanowił skorzystać z propozycji. Gdy wrócił za bar, rozmowa przy stoliku zeszała na wakacje i towarzystwo nieco się rozmarzyło, ale Cyryl przywołał dziewczyny do porządku, pytając o dobre wiadomości. Hanka zakończyła egzaminy maturalne, a wszyscy jej uczniowie wyszli z nich obronną ręką. Weronika w ramach nowych obowiązków miała wyjechać na konferencję do Berlina i wiele sobie po tej wyprawie obiecywała. Olga natomiast otrzymała właśnie duże zlecenie z wydawnictwa współpracującego z Syriuszem - na projekt graficzny książki dotyczącej historii Krakowa.

Cyryl uśmiechnął się, ale niczego nie skomentował. Olga jednak wiedziała dobrze, co sobie pomyślał - znowu wszystkie wiadomości dotyczyły pracy. Nic osobistego. Przez chwilę korciło ją, aby opowiedzieć o weekendzie spędzonym z bratem w górach, ale zaraz odezwał się rozsądek. No dobrze, zastanawiała się, i co im powiem? Że Tatry są piękne, że przez trzy dni byłam wolna i szczęśliwa? A może o spotkaniu z Igorem? Tylko jak, skoro sama nie potrafiła zinterpretować tego, co się wówczas wydarzyło. Zanim się zdecydowała, odezwał się Cyryl:

- No to ja będę dzisiaj oryginalny, bo moja dobra wiadomość dotyczy życia osobistego - oznajmił i jak zwykle zrobił odpowiednią pauzę. - Postanowiłem, postanowiliśmy z Krzysztofem kupić mieszkanie. Dość już mam wynajmowanych klitek, których nie mogę urządzić zgodnie z własną wizją i potrzebami. Tak więc szykuje się w moim życiu pewna pozytywna zmiana, zmierzająca, rzekłbym, ku niejkiej stabilizacji - zakończył patetycznie.

Cisza, jaka zapadła po tej deklaracji, była może o kilka sekund za długa, ale Cyryl chyba tego nie zauważył. Gdy rozstawali się późnym wieczorem, zaproponował jej spacer w stronę domu. W milczeniu przeszli Szewską, minęli skrzyżowanie i skręcili za Bagatelą. Wydawało się, że Cyryl chce o czymś porozmawiać, ale jakoś nie potrafi zacząć. Kilka razy spoglądał wyczekująco na Olgę, lecz była zbyt pogrążona we własnych myślach, żeby to zauważyć i zareagować. Nagle bez żadnego wstępu zapytała:

- Myślisz, że możliwa jest prawdziwa przyjaźń między kobietą i mężczyzną?

Spojrzał na nią zdziwiony, unosząc lekko brwi.

- Oczywiście - odparł po chwili. - Popatrz na nas. Chyba to, co nas łączy, można nazwać przyjaźnią?

- No tak, ale... - zawahała się.

- Ale ja nie jestem prawdziwym mężczyzną? - dokończył z uśmiechem.

- Och, nie to miałam na myśli... - Olga się zarumieniła, zupełnie bez sensu.

- Ależ miałaś, jaskółeczko. Nieważne. Zapewniam cię, że jestem prawdziwym mężczyzną, choć pewnie wiele osób by się z tym nie zgodziło. Przyjaźnię się z tobą czy z Hanką nie dlatego, że jesteście dla mnie aseksualne, lecz dlatego że was zwyczajnie lubię. Sama zobacz, umiemy ze sobą rozmawiać, darzymy się zaufaniem, jesteśmy wobec siebie lojalni. Przecież o to chodzi, prawda? Gwoli wyjaśnienia dodam, że mam także przyjaciół, powtarzam, przyjaciół - nie kochanków - wśród mężczyzn. Myślę więc, że w drugą stronę to także możliwe. Ale dlaczego pytasz?

- Tak sobie, bez szczególnego powodu - odpowiedziała szybko.

Światło słoneczne powoli gasło i uciekało z pracowni. Zapadał wieczór, cichy i ciepły, prawdziwie czerwcowy. Olga przetarła dłonią czoło i odłożyła pędzel. Wystarczy na dziś, pomyślała. Na pochyłym kreślarskim stole, zajmującym znaczną część niewielkiego pomieszczenia, leżały porozrzucone kartony z projektami ilustracji do opowieści o

ekstrawaganckim czarodzieju, którą Olga знаła już na pamięć. Zaprzyjaźniła się z egocentrycznym, ale mądrym i szlachetnym Borgemundem, polubiła pacyfonki, przemierzała dzikie ostepy z wojowniczym centaurem Albertusem. Przez ostatnie dwa miesiące żyła w tej baśniowej krainie, tworząc ją niejako na nowo, wcielając w materię postaci, które dotychczas istniały jedynie w wyobraźni autora. Bawiło ją to niezmiernie i dawało dużo radości.

Poskładała kolorowe kartki i włożyła do dużej tekturowej teczki. Była tak zapracowana, że szkoda jej było czasu na obiad, więc teraz głód przypomniał o sobie dość natarczywie. Nie miała żadnych zapasów, więc postanowiła zjeść coś w mieście. Marek znów pracował dzisiaj do późna. Niepotrzebnie się czepiam, pomyślała, mnie przecież też praca pochłania ostatnio całkowicie, więc chyba jesteśmy sobie warci. Powinnam pojechać do domu, tak dawno nie byłam w leśniczówce... Prawie zapomniałam, jak pachnie las.

Marek najwyraźniej miał podobne przemyślenia, bo przy porannej kawie wystąpił z propozycją, która ją całkowicie zaskoczyła. A myślała już, że to niemożliwe.

- Wiesz, kochanie, wydaje mi się, że strasznie jesteśmy ostatnio zabiegani i prawie nie mamy czasu dla siebie - stwierdził, siadając naprzeciwko niej przy kuchennym stole.

- Co byś powiedziała na jakiś mały wypad za miasto? Albo nawet gdzieś dalej? W końcu zaczynają się wakacje.

- No tak - powiedziała ostrożnie. - Ale nasze czasy szkolne to raczej zamierzchła przeszłość.

- Nie przesadzaj - roześmiał się. - Miło będzie przypomnieć sobie smak wakacji. Poza tym nie proponuję ci dwóch miesięcy, raczej dwa, no może trzy dni. Mam wolny pierwszy lipcowy weekend, mógłbym ewentualnie wziąć jeden dodatkowy dzień urlopu. Co ty na to?

- Świetny pomysł - odparta szczerze. - Chętnie zamienię zapach farb, terpentyny i starych murów na woń świeżo skoszonej łąki na przykład.

- Nie oszukuj. Uwielbiasz ten okropny zapach farb i terpentyny.

- Masz jakiś konkretny plan? - spytała, choć była pewna, że wszystko już przygotował.

I tu po raz drugi ją zaskoczył.

- Owszem, zrobiłem wstępne rozpoznanie i przygotowałem, by tak rzec, grunt. Rozmawiałem z twoim bratem...

- Z Rafałem? - zdziwiła się.

- Trudno, żeby rozmawiał z Michałem, który błąka się gdzieś po afrykańskim buszu - zniecierpliwili się trochę.

- Przepraszam - powiedziała potulnie, coraz bardziej zaintrygowana. - Już cię słucham.

- No więc, rozmawiałem z Rafałem. I wspólnie wymyśliliśmy mały wypad w Tatry...

- W Tatry?! - zawołała znowu impulsywnie. Marek westchnął i wzniósł oczy do nieba.

- Kochanie, pozwól mi skończyć - powiedział łagodnie jak do niesfornego dziecka.

Olga wykonała gest sznurowania ust i wpatrzyła się w niego intensywnie.

- No więc jeszcze raz od początku. Zaplanowaliśmy weekend w Zakopanem. To ma być wyjazd wypoczynkowy i towarzyski, w kameralnym gronie - tylko my i twój brat z dziewczyną. Bez zrywania się przed świtem i zdobywania wielkich szczytów. Rafał wziął na siebie całą organizację tej akcji - miejsce, trasę, nocleg. Z tego, co mówił, zostaliśmy zaproszeni do jego przyjaciela, który ma dom w samym Zakopanem...

- Nie - powiedział Olga bez namysłu. - Nie zgadzam się.

- Słucham? - Marek był wyraźnie zbity z tropu.

Zareagowała za szybko i za ostro, ale błyskawicznie się opanowała, spróbowała ogarnąć sytuację i jakoś sensownie z niej wybrnąć.

- Jak to się nie zgadzasz? - zapytał jeszcze raz niemile zaskoczony.

- Och, przepraszam. Tak mi się wyrwało. Oczywiście, że się zgadzam na wyjazd. To naprawdę cudowny pomysł i ogromnie mi miło, że o tym pomyślałeś... - uśmiechnęła się do



niego entuzjastycznie. - Wiem też, że Rafał potrafi wszystko dobrze przygotować, ale wolałabym jakiś sympatyczny pensjonat. Chodzi mi o to, że nie mam ochoty mieszkać u żadnego z przyjaciół Rafała. Ty ich nie znasz, są zupełnie zwariowani na punkcie gór, jaskiń i tylko o tym potrafią mówić. Zresztą czułabym się skępowana w czymś prywatnym domu.

Może nie było to zbyt logiczne, lecz Olga za nic w świecie nie chciała wrócić do domu Igora w taki sposób - jak do hotelu. Nie chciała spędzić tam nocy. Z Markiem.

Marek się nie odzywał, więc z determinacją tłumaczyła dalej:

- Pomyśl, w pensjonacie będziemy zupełnie niezależni, swobodni. Sam mówiłeś, że nie zamierzasz się zrywać przed świtem. A taki nawiedzony górolaz może nam, w dobrej wierze, narzucić jakąś ranną górską eskapadę.

- Faktycznie, chyba masz rację - powiedział Marek. Ostatni argument najwyraźniej przemówił do jego wyobraźni. - Zadzwoń wieczorem do Rafała - dodał.

- Ja to zrobię - zaproponowała. - Przy okazji omówimy wszystko.

- Doskonale - ucieszył się. - Czyli że postanowione?

- Oczywiście - przytaknęła. - Naprawdę się cieszę. Będzie fajnie. Dziękuję.

Przytuliła się do niego.

Chciała jechać do Zakopanego, pójść w góry, odpocząć. To oczywiste. Chciała także zobaczyć Igora. I to już nie było takie oczywiste. Poza tym wyjazd z Markiem był czymś zupełnie innym niż wyprawa sam na sam z Rafałem. Zastanawiała się, skąd w ogóle ten pomysł i czy rzeczywiście Marek jest jego autorem. A jeśli nawet, to dlaczego jej brat się w to zaangażował? Nigdy się specjalnie nie lubili. Dla niej? A może dla Agnieszki? Cóż, poza tym miała żal do brata, za ten pomysł z noclegiem u Igora. Dlaczego w ogóle to zaproponował? Powinien był przewidzieć, że się nie zgodzi. Chociaż właściwie dlaczego miałby tak sądzić? Zmęczona natłokiem myśli i pytań bez odpowiedzi odłożyła rozmowę z bratem na wieczór i postanowiła szukać ukojenia w pracy. Jak zwykle. Zjadła lekkie śniadanie i zamknęła się w pracowni.

Teraz, po całym dniu intensywnych działań, była spokojna i zadowolona, choć głodna. Wkładając teczkę z ilustracjami na półkę, znowu poczuła nieprzyjemny skurecz w żołądku. Muszę szybko coś zjeść, pomyślała, ale kiedy już miała wyjść do kuchni, jej spojrzenie powędrowało ku wielkiej szufladzie lekko wysuniętej z komody. Cofnęła się. Lubiła mieć w pracowni idealny porządek - przeciwieństwo artystycznego nieładu. To jej ułatwiało pracę i dawało poczucie komfortu.

Pochyliła się, żeby zamknąć szufladę, ale było już za późno - poskładane w niej luźne kartki, wabiły i przyzywały niewyraźnie zarysowanymi kształtami. Olga uklękła i wyjęła plik rysunków. Rozłożyła je delikatnie na podłodze, przyglądając im się kolejno, jakby widziała je po raz pierwszy. Przedstawiały sam profil twarzy, fragmenty drapowania sukni, dziwnie wygięte dłonie, tylko niektóre ukazywały całą postać siedzącą lub klęczącą na ziemi, z rękami złożonymi tak, jakby coś obejmowały i przytulały. Olga przeglądała szkice powoli, przesuwała po nich palcami, a myśli wędrowały po suchej, spękanej ziemi wzgórze, gdzie rozgrywała się scena, którą od kilku lat próbowała namalować. Niebo ciążyło ołowiem, grzmiało i groziło ziemi, aż wreszcie spłynęło strugami wody, ubijając żółty, ziemisty pył w błotnistą maź. Krople deszczu znaczyły twarze tych nielicznych, którzy wytrwali na wzgórze. I po tej jednej wybranej twarzy kobiety, wyciągającej szczupłe, blade dłonie, by podtrzymać bezwładne ciało syna, związane szorstką liną i osuwające się bezgłośnie z krzyża. Olga przymknęła oczy, pozwalając, by obraz sam się rozplątał. Jednym zdecydowanym ruchem zgarnęła szkice, wrzuciła niedbale do szuflady i zamknęła ją z trzaskiem. Nie teraz, pomyślała. Na wszystko przyjdzie pora.

Wieczorem zadzwoniła do Rafała.

- Hej, braciszku. Wytłumacz mi, co to za pomysł z wyjazdem do Zakopanego. Albo raczej: czyj to pomysł - przeszła od razu do rzeczy.

- Też się zdziwiłem, gdy Marek do mnie zadzwonił z tak niecodzienną propozycją. Nie konsultował tego z tobą?

- Nie. Zrobił mi niespodziankę - powiedziała z przekąsem.

- Czyli że nie jest taki głupi, jak myślałem, i trochę cię zna. Najwyraźniej postanowił wyjść naprzeciw twoim oczekiwaniom i marzeniom.

- Rafał, proszę cię, nie kpij sobie. To nie jest zabawne.

- Ależ ja nie kpię, siostrzyczko. Mówię zupełnie serio. Marek robi wyraźny gest w twoją stronę. To chyba dobrze, prawda? Zwłaszcza że ostatnio... - zawahał się.

- Tak, oczywiście - odparła trochę niepewnie, ale zaraz ponownie zaatakowała: - No dobrze, czyli że pomagasz mu spełniać moje marzenia. Ale dlaczego chcesz w to mieszać Igora?

- No, bo pomyślałem... - zaczął Rafał, ale Olga zmieniła już zdanie.

- Nieważne, co pomyślałeś. Nie zgadzam się. Poszukaj jakiegoś innego miejsca, jakiegoś pensjonatu najlepiej. Może być ten, co ostatnio. Zrobisz to dla mnie? - dodała ciepłej.

- Oczywiście. Co tylko chcesz, siostrzyczko.

Olga odłożyła słuchawkę świadoma tego, że dała bratu temat do rozmyślań. Trudno, stwierdziła w duchu, może zresztą wymyśli coś szybciej niż ja. Postanowiła wykorzystać najbliższe dni, żeby nadgonić zaległe projekty. Ostatnio za bardzo skupiła się na książkowych ilustracjach, zaniedbując swoją - było nie było - stałą pracę.

Pierwszy lipcowy weekend zapowiadał się wyjątkowo ciepło i słonecznie. Marek wedle obietnicy wziął sobie wolny dzień, Rafałowi także udało się tak zorganizować pracę, że mogli wyjechać już w czwartek późnym popołudniem. Tym sposobem mieli przed sobą trzy prawdziwie wakacyjne dni. Olga starała się zagłuszyć jakiś wewnętrzny niepokój, który wciąż nie pozwalał jej w pełni cieszyć się tą wyprawą. Wreszcie postanowiła zaakceptować to, co niosło jej życie, zdać się na los i w pełni wykorzystać te wolne chwile.

Rafał, jak zwykle niezawodny, zorganizował nocleg w tym samym pensjonacie, który odwiedzili w maju. Wszystko im sprzyjało - pogoda, nastrój, a nawet bardzo umiarkowany ruch na Zakopiance. Po przyjeździe rozlokowali się w swoich pokojach, a wieczorem wyruszyli w miasto.

Krupówki tętniły życiem - jak zawsze w sezonie. Mimo późnej pory po ulicy spacerowały tłumy turystów, kawiarniane ogródki były wciąż otwarte i wypełnione, z każdych otwartych drzwi sączyła się muzyka - najnowsze hity na przemian z dźwiękiem góralskich skrzypiec. Jakiś młody długowłosy chłopak grał Marzenie Schumana na gitarze klasycznej, siedząc wprost na chodniku, pod czule nad nim pochyloną latarnią. Kilka metrów dalej dwóch wiekowych Ukraińców wyśpiewywało przy dźwiękach akordeonu rzewne wschodnie dumki.

Idąc w górę ulicy, już z daleka zauważyli spory tłumek, szerokim łukiem otaczający dziewczynę ubraną w czarną, wyćwiekowaną skórę. W pierwszej chwili nie wiedzieli, co takiego wzbudza zainteresowanie turystów, ale sprawa szybko się wyjaśniła. Dziewczyna z marsową miną zapaliła trzymane w rękę pochodnie, zatoczyła krąg, trzymając je uniesione w stronę widzów, a potem wróciła do środka i zaczęła nimi żonglować.

- O rany ! - jęknął Rafał. - Uszczypnijcie mnie, bo nie wierzę...

Przystanęli, patrząc na jasne smugi znaczone w powietrzu przez wirujące płomienie. Świat się może i zmienił, ale ludzie są wciąż tacy sami. W innych strojach, z większą może wiedzą o sobie i świecie, spacerują główną ulicą turystycznego kurortu, która jako żywo przypomina średniowieczny jarmark.

Cały następny dzień spędzili na beztróskim leniuchowaniu, objadaniu się smakołykami i korzystaniu ze słońca. Olga widziała, że brata trochę irytuje ta beczynność, ale obiecał Agnieszce opalenie na Gubałówce, a Marek też się nie palił do forsownych wycieczek, więc

Rafał dzielnie dostosował się do towarzystwa. Olga zastanawiała się, jak rozwiązał kwestię noclegu z Igorem, ale sprawa sama wypłynęła, bo Rafał zagadnął ją przy obiedzie:

- Może wypadaloby jakoś umówić się z Igorem na wieczór? W końcu wie, że jesteśmy, a w ostatniej chwili zrezygnowaliśmy z jego gościny.

Zanim Olga zdobyła się na odpowiedź, wtrącił się Marek:

- Oczywiście. Chętnie poznam tego oryginała.

Rafał zrobił zdziwioną minę i spojrzał na niego pytająco.

- Olga mówiła, że masz takich trochę dziwnych, zwariowanych przyjaciół - odparł Marek niefrasobliwie, a Olga uśmiechnęła się do brata niewinnie i lekko wzruszyła ramionami.

Umówili się z Igorem w Sabale, choć dziewczyny bardzo szybko doszły do porozumienia i zażądały bardziej tanecznego lokalu.

- A co, góralskie przyśpiewki wam nie pasują? Mówię wam, to się super tańczy - powiedział Rafał, zachowując całkowitą powagę.

Igor jak zwykle był przed czasem. Zajął wygodne miejsca i złożył już zamówienie, gdy przyszli. Rafał dokonał oficjalnej prezentacji i towarzystwo rozsiadło się na drewnianych ławach. W rogu sali kilku młodych ludzi w góralskich strojach rzeczywiście przygotowywało instrumenty.

Nie wiedzieć czemu Olga czuła się trochę nieswojo, ale rozmowa potoczyła się gładko i przy stoliku zapanował swobodny, żartobliwy nastrój. Nie mogła jednak nie zauważyć, że Igor i Marek przyglądają się sobie badawczo, rzucając co chwila w swoją stronę ukradkowe spojrzenia. Poczowała się niezręcznie, gdy nie przerywając rozmowy, Marek niedbale objął ją ramieniem i lekko przytulił. Rzadko okazywał jej czułość w towarzystwie, nigdy też publicznie jej nie chwalił, więc ten drobny przecież gest, podkreślający subtelnie prawo własności, trochę ją zirytował.

Wieczór snuł się leniwie, zimne, gorzkie piwo smakowało bardzo wakacyjnie, a kapela przygrywała na przemian skoczne i rzewne góralskie melodie, dając wytchnienie w rozmowie i tworząc trochę egzotyczny dla krakusów klimat - tak że dziewczyny zupełnie zapomniały o swych tanecznych postulatach, co panowie przyjęli z wyraźną ulgą. Jak się wkrótce okazało, spotkanie miało dodatkowe konsekwencje - tuż przed rozstaniem ustalono bowiem plan górskiej wycieczki na dzień następny. Igor był na tyle taktowny, że nie narzucał się z takimi propozycjami, ale Rafał postanowił wykorzystać sytuację i poparcie przyjaciela, żeby przeforsować na sobotę bardziej aktywny wypoczynek. Wybór padł na Kościelec. Olga uśmiechnęła się na myśl o jednym z ukochanych tatrzańskich szczytów, ale zaraz spojrzała z niepokojem na Marka. Może nie był zachwycony, lecz stanął na wysokości zadania i poparł pomysł. Był zbyt ambitny, żeby przyznać się przed obcym facetem, w dodatku tubylcem i ratownikiem, że nie przepada za bezproduktywnym przemęczaniem się - no chyba że na siłowni lub przy grze w squasha. Pożegnali się przed północą, żeby się wyspać i trochę zregenerować, skoro nazajutrz czekało ich takie wyzwanie.

- Popatrz, jak pięknie! - westchnęła Olga, stojąc w bezpiecznej odległości od krawędzi skalnej płyty, za którą rozciągała się ogromna przestrzeń, dla niektórych przepaść.

Byli już dość wysoko na zboczu Kościelca, tak że widok odsłaniał się coraz szerszy i bardziej oszalałający. Skalne turnie w dole połyskiwały czernią, a stawy, coraz mniejsze i przypominające już kałuże, szmaragdem. Pomiedzy nimi zygzakami bądź łagodnymi zakolami biegły niteczki szlaków turystycznych, na których gdzieniegdzie poruszały się kolorowe punkciki. Gdy spojrzało się w górę, widać było ostro zarysowaną północną ścianę Kościelca, która ciążyła nad głowami i wydawała się groźna oraz niedostępna.

- Pięknie - odparł Marek bez entuzjazmu. - Tylko dlaczego tak wysoko? I tak stromo? I dlaczego ten szlak jest taki prymitywny - żadnych łańcuchów, podpór lub choćby trochę wygodniej ułożonych kamieni?

W swojej bezradności mieszczucha był tak rozbrajająco śmieszny, że nawet nie umiała się złościć. Nie zamierzała jednak użalać się nad nim ani go pocieszać.

- Nie wypominając, to był twój pomysł - powiedziała i roześmiała się, widząc, z jaką ostrożnością przesuwa się wzdłuż występu skalnego.

- Ja wymyśliłem Zakopane - powiedział dobitnie. - Zakopane a Tatry to dwie różne sprawy.

- Nie marudź, kochanie, tylko wyciągaj nogi. Zostaliśmy w tyle.

- No tak, miałaś rację co do przyjaciół Rafała... Zresztą jego też chyba przeceniłem - mruknął zgryźliwie. - Ale dziwię się Agnieszce. Wydawałoby się, że to fajna, normalna dziewczyna, a teraz zobacz...

Faktycznie, „normalna dziewczyna” bez trudu nadażała za Rafałem i wyglądała na zupełnie szczęśliwą. Co więcej, miała bardzo stosowne obuwie i strój, a to wcale nie jest regułą wśród takich niedzielnych turystów. Może wreszcie brat trafił na odpowiednią kobietę? Agnieszka była policyjnym psychologiem i już na początku znajomości zaskarbiła sobie sympatię Olgi.

Soczyste przekleństwo przywołało ją do rzeczywistości, przypominając, że w jej życiu nie wszystko układa się tak, jak by chciała. Marek potknął się i lekko podrapał nogę. Oglądał ją teraz z namaszczeniem. Nic nie powiedział, ale przekaz i tak był bardzo jasny. Olga wreszcie straciła cierpliwość i przestała ratować sytuację poczuciem humoru.

- Posłuchaj, Marek... - stanęła naprzeciw niego i spojrzała mu w oczy. - To miała być miła, relaksująca wycieczka. A ty tylko narzekasz i krytykujesz. Psujesz całą przyjemność nie tylko mnie, ale sobie również. Skoro nie umiesz się cieszyć, to po co to wszystko wymyśliłeś? Po co tu przyjechaliśmy?

- Dla ciebie.

Gdyby w tym stwierdzeniu było choć trochę czułości, problem sam by się rozwiązał. Ale w głosie Marka brzmiały tylko wyrzut i pretensja, jakby to Olga stawiała mu bezsensowne wymagania. Zanim pomyślała o konsekwencjach, powiedziała szorstko:

- No więc skoro już zdecydowałeś się dla mnie tak poświęcić, to spróbuj wytrwać w tym poświęceniu jeszcze jeden dzień.

Marek odwrócił się obrażony i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Szedł teraz wprawnie i nie potykał się o żadne kamienie. Dlaczego teraz, dlaczego tutaj? - myślała z goryczą. Może w tej magicznej górskiej scenerii, emanującej spokojem i siłą, budziła się w niej wola, by bronić siebie, by nie dać się stłamsić i podporządkować?

Marek wytrzymał narzucone tempo, ale gdy dogonili pozostałych, żadne się nie odezwało. Olga pokręciła tylko głową, widząc pytanie w oczach Rafała. Resztę szlaku pokonali bez większych komplikacji, jeśli nie liczyć milczącej dezaprobaty Marka dla całego przedsięwzięcia. Niezwykły widok ze szczytu zrekompensował to jednak nieco Oldze. Marek czuł się chyba trochę poza nawiasem, bo w drodze powrotnej mruknął prowokująco:

- Nie rozumiem, po co ludzie się tu wspinają. Nie dość, że trzeba się namęczyć, to jeszcze człowiek się dobrowolnie naraża. Jaki w tym sens?

Rafał uśmiechnął się pobłaźliwie, ale nic nie powiedział. Spojrzał tylko z niepokojem na Olgę, która zarumieniła się z przykrości i zażenowania. Ten wyjazd jednak nie był najlepszym pomysłem, no ale w końcu to nie ona go zaproponowała. Dręczyło ją i to, że Igor zachowywał się szalenie profesjonalnie: cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania Marka, nawet te niezbyt mądre i wyraźnie zaczepne, a na nią patrzył z życzliwą obojętnością. Na Marka spoglądał jednak ze zdziwieniem i politowaniem, bo wiedział, że ten traci Olgę, a może już ją stracił i - zbyt zapatrzony w siebie, pewny swej pozycji - nawet tego nie podejrzewa. Jak to możliwe, że w sumie całkiem inteligentny facet zachowuje się tak głupio?

Nie znajdując partnera do dyskusji, Marek dał wreszcie spokój słownym prowokacjom, a powrót do miasta sprawił ulgę nie tylko jemu.

Sobotni wieczór spędzali w większym gronie, bo oprócz Igora pojawił się drugi przyjaciel Rafała z górskich wypraw, Janusz, z narzeczoną. Oboje byli sympatyczni i kontaktowi, więc spotkanie nabrało tempa i uroku. Marek od razu znalazł wspólny język z Ewą, która też skończyła studia prawnicze i przyjechała tu z Warszawy - będącej od dawna celem zawodowym Marka, aby pracować w Zakopanem w agencji nieruchomości, co było tutaj atrakcyjnym i dochodowym zajęciem.

Przy stoliku panował więc gwar, a w tle grała dość głośno muzyka, dlatego Olga nie usłyszała swojego telefonu za pierwszym razem. Gdy zadzwonił ponownie, machnęła ręką do Rafała, wskazując na drzwi, i wyszła z lokalu.

- No, witaj, kochana. Jak się bawisz? - głos był niby znajomy, ale jakiś dziwny, jakby dochodził z bardzo daleka.

- Weronika? W porządku. Jest fajnie. Siedzimy właśnie całą paczką na piwie. A co u ciebie?

- Słuchałaś ostatnio wiadomości? - Weronika zignorowała jej pytanie. - Na Zakopiance był okropny wypadek. Tir staranował dwa samochody. Trzy osoby nie żyją.

- Och, Nika... - chciała powiedzieć coś dowcipnego, ale poczuła, że żart byłby nie na miejscu, więc dodała ciepło: - Nie martw się. Wracamy dopiero jutro po południu.

- Nie o to chodzi - powiedziała Weronika i zawahała się. Olga wyczuła w jej głosie coś niepokojącego.

- Mów po prostu, co się stało.

Cisza, która zapadła w słuchawce, wyraźnie podpowiedziała Oldze, że wiadomości będą złe. Nie wiedziała tylko, jak bardzo. Skurczyła się wewnątrz na przyjęcie ciosu.

- Jednym z tych samochodów jechała Baśka, siostra Hanki. Olga zrobiła krok w tył i oparła się o zimną ścianę budynku.

- Jesteś tam? - spytała po chwili Weronika.

- Jestem.

- Jechała z koleżanką oplem - głos przyjaciółki był spokojny, wyprany z emocji. - Żadna z nich nie miała najmniejszej szansy.

Olga słuchała relacji, chwytając się nieistotnych szczegółów i nie wiedząc, co z nimi zrobić. Nagle jakaś myśl zmobilizowała jej siły.

- Mój Boże! A co z Amelką? - spytała szybko.

- Nie było jej w aucie. Pojechała razem z Hanką do dziadków.

Olga poczuła ulgę, choć wiedziała, że to głupie i okrutne. Przez chwilę obie milczały. Bo co można było powiedzieć?

- Jezu, i co teraz? - spytała wreszcie Olga bezradnie.

- Nie wiem - odparła Weronika głucho. - To znaczy wiem: nic nie możemy.

- Jak się czuje Hanka? Jak... jak to przyjęła? Weronika odczekała chwilę.

- No właśnie. Nawet nie pytaj.

Hanka była mocno związana z siostrą i bardzo kochała jej córeczkę. Po rozejściu się Baśki z mężem przeprowadziła się nawet do niej. Razem stworzyły dla małej dom, stworzyły rodzinę, dobrą i prawdziwą, choć może niekonwencjonalną.

- Może powinnam wrócić? - spytała Olga niepewnie.

- Przecież wracasz jutro.

- No tak - przyznała. - Jak myślisz, możemy coś dla niej zrobić? - spytała z nadzieją.

- Niewiele. Możemy być przy niej. W razie gdyby potrzebowała pomocy. To wszystko. Przepraszam, że popsulałam ci romantyczny wieczór. Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

- Oczywiście. Dziękuję. Do zobaczenia.

Wyłączyła telefon i chwilę stała nieruchomo, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Potem odwróciła się i przycisnęła rozpalone czoło do chłodnej ściany. W końcu odetchnęła głęboko, wyprostowała się, wepchnęła rozedrgane emocje gdzieś głęboko, na samo dno duszy, i powoli

ruszyła w stronę baru. Przed drzwiami jeszcze raz zaczerpnęła głęboko powietrza i śmiało weszła do środka. Postanowiła, że o niczym nie wspomni. W końcu Baśka stanowiła tylko dla nich imię. Nie widzieli za nim realnej osoby.

Agnieszka zamachała do niej przyjaźnie i uśmiechnęła się. Towarzystwo świetnie się bawiło. Rozmowa była coraz bardziej ożywiona i Olga starała się robić wrażenie, że bierze w niej udział, choć myślami błądziła gdzieś daleko. Po chwili poczuła czyjś dotyk na ramieniu. Odwróciła głowę i napotkała uważne spojrzenie Igora.

- Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? - zapytał cicho. - Wyglądasz, jakby coś się stało. Coś złego?

Nie zdobyła się na odpowiedź, kiwnęła tylko głową.

- Mogę jakoś pomóc? Chcesz porozmawiać, czy mam sobie iść?

- Zostań - powiedziała.

Wyciągnęła rękę, a on ujął ją w dłonie i trzymał przez chwilę w mocnym uścisku. Spojrzenie jego ciemnych oczu budziło w niej jakieś wewnętrzne ciepło i poczucie siły, a jego drobny gest przyniósł spokój i ukojenie.

- Dziękuję - powiedziała.

Było już dobrze po północy, gdy rozbawione towarzystwo wysypało się przez ciężkie drzwi wprost na Krupówki. Ruszyli trochę bezładnie w dół ulicy, w stronę postoju taksówek. Jakimś zbiegiem okoliczności Igor znalazł się w pobliżu Olgi. Spojrzał na nią niepewnie i powiedział:

- Nie chcę się narzucać, ale może mi powiesz, co się stało? Pewnie nic nie poradzę, chociaż sama rozmowa bywa pomocna...

Zawahała się. Jego wewnętrzna siła i pewność siebie, której nie musiał eksponować, intrygowały ją i pociągały. Nie kokietował, nie uwodził, nie prawił komplementów, ale gdy do niej mówił, miała wrażenie, że tylko ona istniała dla niego, a gdy jej słuchał, to tak, jakby jej słowa miały ogromne znaczenie.

Zwolniła nieco i nie patrząc na niego, prostymi słowami opowiedziała o wypadku.

- Rozumiem - powiedział cicho. - Przykro mi. Wiem, że to brzmi banalnie - dodał - ale trudno w takiej sytuacji być oryginalnym. Naprawdę mi przykro.

Dopiero teraz spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutno. Przypomniało jej się, że przecież on też stracił brata.

- Wiem. I dziękuję. To bez sensu, ale jakoś mi teraz lżej.

- Bo słowa mają wielką moc osvajania rzeczywistości. Nawet tej najgorszej.

- Masz rację. Chociaż czasami wydaje mi się, że są za małe, żeby oddać całą prawdę.

- Oczywiście, bo rzeczywistość - zwłaszcza ludzkie emocje - jest znacznie bogatsza niż język.

Właśnie dotarli do postoju taksówek i rozmowa się urwała. Zaczęły się chóralne pożegnania, chaotyczna wymiana uścisków, numerów telefonów, informacji o najbliższych planach. Po chwili trzasnęły drzwi i dwa samochody ruszyły z parkingów w różnych kierunkach.

Jeszcze przed śniadaniem Olga opowiedziała o wszystkim Rafałowi i poprosiła, żeby wyjechali wcześniej. Zgodził się natychmiast. Co więcej, wyglądał na autentycznie zmartwionego, choć przecież cała sprawa zupełnie go nie dotyczyła.

- Szkoda Hanki - powiedział ciepło. - Będzie jej teraz ciężko. Nie wiem, czy możesz na coś zaradzić, ale faktycznie chyba powinnaś być w pobliżu.

- No właśnie - odparła.

Pozostali też nie protestowali przeciwko tej decyzji, wydawało się nawet, że Marek przyjął ją z zadowoleniem, więc postanowili wyruszyć zaraz po śniadaniu. W międzyczasie zadzwonił Igor.

- Wyjeżdżacie wcześniej, prawda? - stwierdził. Olga przytaknęła.

- Zatem do zobaczenia. I pamiętaj, gdybyś czegoś potrzebowała, chciała pójść w góry i odreagować albo zwyczajnie pogadać, wiesz, gdzie mnie szukać.

- Tak, wiem. Dziękuję.

W niedzielny wieczór Weronika zorganizowała u siebie walną naradę. Cyryl i Olga jeszcze raz wysłuchali relacji o wypadku ze wszystkimi szczegółami.

- No dobrze - zaczęła Olga - ale co z Hanką? Jak ona sobie radzi?

- Źle - odparła Weronika. - To znaczy pozornie bardzo dobrze, wszystkim się zajęła - Amelką, organizacją pogrzebu - wiesz, jej rodzice to już starsi ludzie, a poza tym są załamani. Hanka załatwia wszystkie formalności, cały czas jest w ruchu, coś robi, działa. Ale nie płacze. Nie widziałam, żeby w ogóle płakała... I nie chce rozmawiać.

- Cholera, to niedobrze - mruknęła Olga.

- Właśnie.

- Nie, to normalne, jest za wcześnie. Dajcie jej trochę czasu - wtrącił się Cyryl. - W ten sposób broni się przed przyjęciem prawdy, która ją przeraża. Kiedy ten cały rozgardiasz się skończy, przyjdzie pora na rozpacz. I na łzy. Zobaczycie.

- To co robimy? - spytała Olga.

- Teraz nic - odparł. - Hanka wie, że może na nas liczyć, że jej nie zostawimy, ale wątpię, żeby gotowa już była do rozmowy i chciała teraz naszego towarzystwa.

Milczeli chwilę, pogrążeni w niewesołych myślach.

- A co z pogrzebem? Będzie tutaj? - spytała Olga po chwili.

- Nie. - Weronika była dobrze poinformowana. - Tylko one dwie mieszkały w Krakowie, cała rodzina pochodzi spod Częstochowy. Rodzice żyją w takim małym miasteczku - nie pamiętam nazwy - i tam będzie pogrzeb. W środę.

- Wiem - przypomniała sobie Olga. - W Lelowie. Byłam tam w czasie studiów na plenerze. Hanka zaprosiła mnie do rodziców na obiad, bo akurat przyjechała na niedzielę do domu. Szalenie sympatyczni ci jej rodzice. Mieli jeszcze syna, prawda?

- Owszem, mieszka z rodziną w Częstochowie.

- To co, wyjeżdżamy w środę rano? - zapytał Cyryl pro forma. - Zorganizuję transport, właśnie odebrałem samochód po generalnym przeglądzie.

- Świetnie. Ale to nie będzie raczej przyjemna podróż - westchnęła Weronika.

- Raczej nie. Ale konieczna.

Tego samego wieczoru zadzwonił Rafał. Olgę zdziwiła trochę jego troskliwość, bo wypytywał, jak się czuje, czy wszystko w porządku, a przecież widzieli się kilka godzin wcześniej.

- A jak tam Hanka? Widziałaś się z nią? - dodał na koniec.

- Nie. Opracowaliśmy tylko z Weroniką i Cyrylem strategię działania. Wpadnę do niej jutro. Może się na coś przydam...

- No tak. Słuchaj, Oluś, gdybym mógł w czymś pomóc, to wiesz, jestem do dyspozycji. Ona chyba nie ma tu nikogo bliskiego...

Kochany Rafał, pomyślała Olga, taki wyrozumiały, taki dobry i delikatny; nawet praca w policji go nie zepsuła. Co jak co, ale brat to jej się udał.

- Dobrze, mój drogi, w razie czego dam ci znać. Trzymaj się. Dzięki.

W środę rano Olga obudziła się wcześniej i spojrzała w okno, spodziewając się ponurej, deszczowej aury, adekwatnej do wydarzeń, jakie miały ten dzień wypełnić. Ale nie - słońce świeciło mocno na czystym, błękitnym niebie i tylko gdzieś tam przemykały dyskretnie postrzępione chmurki. Dzień zapowiadał się piękny, nieprzyzwoicie piękny.

Poszła do kuchni przygotować kawę. Zastanawiała się, jak powinna się zachowywać wobec Hanki. Spotkały się dwa dni wcześniej i zrozumiała wówczas dokładnie, co miała na myśli Weronika, opisując stan przyjaciółki. Hanka zachowywała się całkowicie normalnie, ale była w niej jakaś obcość, jakiś chłód, chroniący ją przed wszelką ingerencją z zewnątrz,

tak że Olga nie wiedziała zupełnie, jak pokonać te barierę. Może Cyryl ma rację, pomyślała, trzeba czasu.

Marek zajrzał przez lekko uchylone drzwi. Zauważyła ze zdziwieniem, że jest już w garniturze, gotów do wyjścia.

- Ja dziękuję za kawę. Wypiję w biurze - powiedział. - Na razie.

To była cała ich poranna rozmowa na dobry początek dnia. Olga westchnęła i z niechęcią spojrzała na dwa kubki. Po chwili wahania sięgnęła po nie i całą zawartość wylała do zlewu. Otworzyła jedną z górnych szafek i wyjęła pachnące zawiniątko - cynamonowa kawa z domieszką kardamonu była dobrym sposobem na pesymistyczne myśli.

Cyryl prowadził wprawnie i z wycuciem, choć lubił szybką jazdę - ale w końcu jechali na pogrzeb ofiary wypadku drogowego. Zaparkowali w bocznej uliczce i ruszyli pieszo w stronę widocznej z daleka wieży kościoła. Gdy tylko weszli na rynek, Cyryl rozejrzał się i mruknął:

- Rany, nie wiedziałem, że są jeszcze takie miejsca... Jakby czas się tu zatrzymał. I jaki piękny jest ten stary kościół... - zachwycił się znowu Cyryl.

- Nie taki stary. Mieszkańcy odbudowali go po wojnie, starając się zachować dawny styl. Tutejszy proboszcz opowiadał mi, że tylko jedna rzecz pozostała z tamtego wystroju. Ogromna figura ukrzyżowanego Chrystusa w głównym ołtarzu. Ocalała z pożaru i jest zupełnie czarna, ale nienaruszona. Niektórzy twierdzą, że to był cud, że płomień jej nie tknął... Żeby było ciekawiej, są na niej ślady po kulach, bo ponoć Niemcy chcieli ją rozstrzelać.

Cyryl wpatrywał się w Olgę szeroko otwartymi oczami.

- Czy to w porządku? - spytała nagle Weronika.

Obejrżeli się na nią ze zdziwieniem. Miała zacięty wyraz twarzy.

- Czy to w porządku? - powtórzyła. - Zobaczcie, zachwycamy się pięknem tego miejsca, podziwiamy kościół, wokół kwitną kwiaty, a tam, w trumnie, leży młoda dziewczyna, która miała przed sobą całe życie. Miała plany i marzenia, miała dziecko, też mogła być szczęśliwa...

- Ze śmiercią zawsze trudno się zgodzić - wtrąciła Olga, a Cyryl dokończył:

- Tak. Śmierć jest łatwa tylko dla tych, co umierają. Dla wszystkich innych jest trudna.

W milczeniu weszli do kościoła, w którym pomimo letniego dnia panowały półmrok i chłód, i przysiedli w jednej z ostatnich ławek.

Nabożeństwo było krótkie, lecz pełne treści. Obyło się bez dramatycznych scen i głośnych szlochów, ale chyba większość zgromadzonych miała w oczach łzy, gdy staruszek ksiądz wspominał dzieciństwo i młodość Baśki, którą ochrzcił w tym kościele ponad trzydzieści lat temu, przygotowywał do Pierwszej Komunii, potem do bierzmowania, której wreszcie przy tym ołtarzu udzielał ślubu. Popłynęły słowa modlitwy pełnej pokory i zawierzenia. Olga ścisnęła w dłoniach ogromny bukiet herbacianych róż, które wspólnie z Cyrylem wybrali przed wyjazdem na krakowskim Rynku. Baśka uwielbiała róże, nawet oni to wiedzieli...

Potem kondukt w milczeniu przeszedł na niewielki cmentarz położony na skraju miasta i rozpoczęła się ostatnia, najsmutniejsza ceremonia pożegnania. Olga spojrzała na zgromadzoną nad otwartym grobem rodzinę. Jej instynkt malarski podświadomie rejestrował tragiczne piękno tej sceny - Hanka, cała w czerni, trzymająca za rękę Amelkę w granatowej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem. Brat, wysoki, prosty, obejmujący żonę i córkę. Siwowłosy ojciec, który nie próbował nawet walczyć ze łzami i płakał otwarcie, choć bezgłośnie. Wreszcie matka...

Olga poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

- Dobrze się czujesz? - zaszeptał Cyryl z niepokojem. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha...



- Żebyś wiedział - mruknęła do siebie.
- Słucham? - Autentycznie się zaniepokoił.
- Po prostu nagle coś do mnie dotarło. Wszystko w porządku.

Olga spojrzała znów w stronę grobu, ale chwilowe wrażenie już minęło. Pani Skawińska była znów tylko starszą kobietą, zmęczoną i cierpiącą. Kilka sekund wcześniej Olga zobaczyła w niej to, co od lat widziała w wyobraźni i bezskutecznie próbowała namalować - wcielenie największego bólu, jakiego może doświadczyć kobieta. Zobaczyła całą prawdę, jaką chciała ukazać na obrazie, bez upiększeń, bez stylizacji, bez retuszu. Zobaczyła swoją Pietę, która w prawdziwym życiu powtarza się od wieków, od czasów Niobe, Demeter i Marii, zawsze gdy kobieta oplakuje swoje dziecko. Właśnie tego jej brakowało. Eryk nie ma racji, pomyślała, wyobraźnia nie wystarczy, trzeba autentycznego przeżycia, trzeba dotknąć tego, co pragnie się stworzyć. Teraz nagle wszystko stało się proste i jasne. Miała nadzieję, że ten stan będzie trwał, że nie zniknie, gdy chwyci do ręki pędzel.

Uroczystość dobiegła końca. Osoby bardziej związane z rodziną składały kondolencje. Weronika i Olga spojrzały na siebie pytająco.

- Idziemy - powiedział Cyryl, nie dając im czasu na zastanawianie się.

Widząc przyjaciół, Hanka na krótką chwilę wychyliła się z pancerza, który sobie zbudowała - spróbowała się uśmiechnąć.

- Miło, że przyjechaliście. Dziękuję.

Obok bólu i rezygnacji Olga dostrzegła w jej oczach coś jeszcze, co wcale jej się nie spodobało. Po wyjściu z cmentarza poszli prosto do samochodu. I żadne z nich się nie odezwało.

Mijały dni. Ludzie gorączkowo korzystali z upływającego szybko lata i wakacji. Marek przebąkiwał coś o Chorwacji albo chociaż Międzyzdrojach, ale Olę pochłaniała praca - malowała wreszcie swój wymarzony obraz, a jednocześnie kończyła ilustracje do historii Borgemunda i przygotowywała projekty dla swojego wydawnictwa. Nie dosypiała i nie dojadła, żeby zdążyć na czas ze wszystkimi zleceniami. Już niedługo, obiecywała sobie, pojedę do domu na cały tydzień, odpocznę, wszystko przemyślę, wszystko sobie poukładam.

Jakimś urozmaiceniem było spotkanie z Weroniką, która właśnie wróciła z Włoch i z niezwykłym dla siebie entuzjazmem opowiadała o mało znanym nadmorskim miasteczku, gdzie zabrał ją Maksymilian.

- Zaraz, zaraz... - przerwała jej Olga przytomnie. - Czy to aby nie ten tajemniczy wielbiciel, z którym byłaś w maju w Pradze?

- No, właściwie tak - przyznała Weronika niechętnie. Olga spojrzała na przyjaciółkę i uśmiechnęła się trochę złośliwie.

- No, kochana, zrobił się z ciebie długodystansowiec... Trzy miesiące? Lepiej uważaj, bo to się może źle skończyć...

- Daj spokój - zniecierpliwiła się Weronika. - Po prostu się lubimy i... no i jest fajnie. Powiedz lepiej, co u ciebie, co u Hanka. Nie rozmawiałam z nią od dnia pogrzebu.

Olga przestała się uśmiechać. Wiadomości nie były najlepsze.

- Została na razie u rodziców. Wiesz, ma wakacje, a nową pracę zaczyna dopiero we wrześniu. Ale na początku sierpnia wróci do Krakowa, bo wzięła jakieś dodatkowe dyżury w ośrodku. No i najważniejsze - Amelka wyjechała do Poznania.

- Jak to wyjechała? - zdziwiła się Weronika.

- Ojciec ją zabrał.

Patrzyły na siebie w milczeniu, myśląc o tym samym - że ten drugi cios może się okazać dla Hanka jeszcze bardziej dotkliwy. Wszyscy wiedzieli, że kochała siostrzenicę.

- Opowiadaj - zarządziła Weronika.

- Nie ma wiele do opowiadania - stwierdziła Olga. - Nie wiem, czy zwróciłaś uwagę na pogrzebie na takiego szczupłego mężczyznę z brodą. To właśnie były mąż Baśki. Przyjechał, wyraził swój żal, po czym oświadczył, że zabiera córkę do siebie.

- Jak to? I zgodzili się? Co na to Hanka?

- Nika, to przecież ojciec małej. Ma wszelkie prawo, by ją wychowywać. Co prawda, opuścił rodzinę kilka lat temu i nie interesował się dzieckiem, ale płacił alimenty i nigdy nie został pozbawiony praw rodzicielskich. Teraz on jest najbliższą rodziną Amelki, chce ją odzyskać i dać jej dom. To chyba dobrze, prawda? - dokończyła niezbyt pewnie.

- Dobrze? Skawińscy to jedyna rodzina, jaką to dziecko zna.

- Niby tak, ale widzisz, to wszystko nie jest takie proste...

- A co Hanka? Poddawa się? Nie będzie o nią walczyć?

Olga westchnęła. Przypomniała sobie pozbawiony życia głos przyjaciółki relacjonującej dramatyczne pożegnanie z siostrzenicą. Amelka miała siedem lat - wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje. Właśnie straciła matkę, a teraz miała stracić drugą najbliższą jej osobę. Wyjeżdżała z płaczem i poczuciem krzywdy, a Hanka patrzyła na to i nic nie mogła zrobić.

- Powiedziała, że najważniejsze jest dobro i szczęście Amelki. Spakowała jej rzeczy, dała swoje błogosławieństwo i wyprawiła z ojcem do Poznania.

- Cholera, nie będzie jej teraz łatwo - zawyrokowała Weronika ponuro.

- Właśnie. Za wiele tego naraz.

Wieczorem, stojąc przed swym niedokończonym obrazem, Olga myślała nie tylko o starej pani Skawińskiej, ale również o Hance, która nie zaznawszy wszystkich uroków macierzyństwa, doświadczała właśnie jego goryczy, wybierając poświęcenie i rozstanie, tracąc to, co najbardziej ukochała. W końcu przypomniała sobie poranną rozmowę z Markiem. Umyła pędzle, spakowała farby i zasłoniła świeże płótno. Nie mam już siły, nie chcę dalej tak żyć - po raz pierwszy wypowiedziała w myślach prawdę, która kołatała w niej od miesięcy. Usiadła przy oknie i spojrzała na szarzące powoli niebo. Marek nie był już taki kolczasty jak po powrocie z Zakopanego, lecz dawna bliskość między nimi nie chciała już wrócić. Poza tym irytował go jej nagły powrót do malarskich pasji. Gdy widział ją przy sztalugach lub nad szkicami Piety zamiast przy zwykłych projektach, marszczył się, przypominał o obowiązkach, priorytetach. „Co ty sobie wymyśliłaś? Że jesteś jakąś tam wielką artystką?” - usłyszała dzisiaj rano. Nie odpowiedziała wtedy, ale teraz była bliska płaczu. Zbyt długo stosowała uniki, bojąc się spojrzeć prawdzie w oczy, no ale wszystko ma swój kres. Dlaczego właściwie wciąż jeszcze są razem, skoro nie daje im to radości? Kilka lat temu, patrząc na rozwód Weroniki, obiecywała sobie, że nie dopuści do takiej sytuacji we własnym życiu. Wierzyła, że szybkie, ostre cięcie jest najlepszym dla wszystkich rozwiązaniem, nawet gdy trochę boli. To lepsze niż narastanie wzajemnych pretensji, lepsze niż ciągnąca się miesiącami i odbierająca wszelką radość otwarta wojna.

I pomyśleć, że tyle rzeczy robiła właśnie dla Marka, z jego powodu i dzięki niemu. Ale to było tak dawno... Nadszedł czas na pytania, przed którymi nie można już uciec.

Zrobiło się zupełnie ciemno, a Olga wciąż siedziała przy oknie, nieobecna duchem. Wreszcie przetarła twarz dłońmi, rozczesła palcami włosy i głęboko odetchnęła.

- Muszę jechać do domu - powiedziała głośno. - Może tam znajdę to, co pogubiłam.

#### IV

Autobus skręcił z głównej trasy w wąską asfaltową drogę, prowadzącą przez las do Kalinowej Góry. Ostatni przystanek był na końcu wsi, skąd do leśniczówki były jeszcze prawie dwa kilometry. Olga często wędrowała tą drogą o różnych porach dnia i nocy. Lubiła to. Pewnie dlatego zrezygnowała z uprzejmej propozycji Marka, który chciał ją odwieźć samochodem. Poza tym chciała być sama, żeby spokojnie pomyśleć. Taka podróż była do tego doskonałą okazją.

Lubiła jazdę pociągiem czy autobusem, choć coraz rzadziej miała ku temu okazję. Siadała przy oknie i wpatrywała się w przemykające za szybą krajobrazy. Wyłączała się z życia, nie musiała się niczym zajmować, a wspomnienia, jakieś niedookreślone myśli i obrazy przesuwały się wówczas przed oczyma jej duszy, w jakiś irracjonalny sposób wiążąc się z pejzażem za oknem.

Siedziała teraz w niemal pustym autobusie i obserwowała ciemną leśną przestrzeń poprzecinaną niewielkimi polanami i piaszczystymi ścieżkami, które porastała niska trawa. Znała każdą z tych polan, przedeptała tutaj wszystkie leśne dróżki. Zostawiła tu kawałek serca.

Była jedynym pasażerem wysiadającym w Kalinowej Górze. Zarzuciła na ramiona niewielki plecak i skręciła na drogę biegnącą wśród pól w stronę lasu, wprost do jej domu. Czerwone słońce wisiało tuż nad ciemną linią drzew, powietrze pachniało świeżo poruszoną ziemią i dymem. Olga westchnęła głęboko, delektując się tą niepowtarzalną wonią, której nie potrafiła odnaleźć w żadnym innym miejscu. Nie dany jej był jednak wspomnieniowy spacer - na drodze ukazał się znajomy terenowy samochód z wyraźnym oznakowaniem nadleśnictwa.

- Ależ, tato, przecież mówiłam ci, że chętnie się przejdę. Naprawdę nie musiałeś po mnie wyjeżdżać - powiedziała z uśmiechem do wysokiego, siwowłosego mężczyzny, który szybko wysiadł z wozu i ruszył w jej stronę.

- I to ma być czułe powitanie? - roześmiał się pan Jaskólski. - Twoja matka kazała, żebyś na pewno dotarła na miejsce. No chodź, ty córko marnotrawna. - Wyciągnął ramiona i przytulił ją mocno.

- Dlaczego od razu marnotrawna? - zdziwiła się.

- Jeszcze się pytasz?! - zawołał ojciec. - Nie byłeś w domu prawie pół roku.

- Pięć miesięcy - poprawiła go, ale zaraz dodała ze skruchą: - No tak, przepraszam, miałam dużo pracy. Ale i tak jestem najbardziej udanym z waszych dzieci. Tak się składa, że młodszego syna nie widzieliście już ponad dwa lata, a i starszy nie jest zbyt skory do odwiedzin.

- I tu się mylisz - odparł ojciec z satysfakcją. - Rafał był u nas w poprzedni weekend.

- Jak to? - zdziwiła się szczerze. - To dlaczego ja nic o tym nie wiem?

- No cóż, nigdy nie byłeś najlepiej poinformowaną osobą w rodzinie, kotku. Chodź już. Mama nie może się ciebie doczekać, że o Luizie nie wspomnę. Podobno obiecałaś jej jakieś książki.

Kilka minut później samochód zatrzymał się przed otwartą bramą, ale nie wjechał na podwórze. Olga spojrzała zdziwiona na ojca.

- Komitet powitalny w mojej skromnej osobie spełnił już swoje zadanie i wraca do pracy - powiedział. - Zrobiłem sobie małe wagary, ale robimy dużą wycinkę i ludzie pracują do zmroku. Chcę tam jeszcze zajrzeć na chwilę. A ty leć do dziewczyn i powiedz mamie, że będę za godzinę, góra dwie.

Samochód zniknął za drzewami, a Olga przebiegła przez podwórze, weszła do domu i skierowała się wprost do kuchni. Przy dużym drewnianym stole siedziały dwie kobiety tak podobne do siebie, że trudno byłoby nie rozpoznać w nich siostr. Młodsza na widok Olgi zerwała się z krzesła i wyciągnęła rękę.

- No, nareszcie! Już myślałam, że zupełnie o nas zapomniałaś. - Uściskała serdecznie córkę i zajęła się przygotowaniem herbaty.

Sabina Jaskólska była sześćdziesięcioletnią kobietą o wciąż zgrabnej sylwetce i ciemnych włosach, delikatnie poprządkanych siwizną. Ubrana była w prostą płócienną sukienkę i zupełnie nie rozumiała zamięłowania córki do spodni. Zalała wrzątkiem dzbanek z jakąś niezwykle pachnącą mieszanką i rozstawiła na stole filiżanki. Olga tymczasem zrzuciła plecak i podeszła przywitać się z ciotką Luizą. Starsza pani nie wstała na jej widok, z bliska dostrzec można było, że nie siedzi na krześle, ale na inwalidzkim wózku z wysokim oparciem i miękkimi poręczami. Była o kilka lat starsza od siostry i bardzo do niej podobna, choć twarz miała pełniejszą, a włosy niemal zupełnie białe.

- Witaj, słonko - uśmiechnęła się jak dziecko, oczami, ustami, całą twarzą, i zaraz spytała: - Co mi przywiozłaś?

Olga pomyślała, że Luiza nie tylko uśmiecha się jak dziecko, ale też podobnie się zachowuje.

- Zaraz zobaczysz - odparła i zaczęła rozpakowywać plecak.

- Dajcie spokój, dziewczyny! Obie jesteście niepoprawne - oburzyła się matka. - Najpierw wypijemy herbatę, coś zjemy, a przede wszystkim porozmawiamy.

- No widzisz, co ja tu muszę znosić? - mruknęła Luiza. - Nie wiem, Oluniu, jak ty wytrzymałaś z tak despotyczną matką. Cały czas mnie musztruje: zjedz coś, wypij, zrób sobie sjęstę, pojedź na spacer, ubierz się cieplej, bo chłodno... Zrędzi niewiarygodnie. Jej wszystkie dzieci wyfrunęły z gniazda, więc się wyżywa na mnie. I muszę robić, co każe...

- Rzeczywiście. Pomyślałby kto, że jesteś taka skłonna do słuchania innych - uśmiechnęła się matka.

Siostry nieustannie ze sobą dyskutowały, spierały się, wyklócały o drobiazgi, narzekały na siebie i skarżyły przed innymi członkami rodziny, ale Olga wiedziała, że nie mogą bez siebie żyć, lubią swoje towarzystwo i mogą rozmawiać godzinami.

Zasiadły we trójkę przy stole, wdychając niezwykle aromat unoszący się z filiżanek. Sabina nigdy nie przepadała za kawą, była za to smakoszem i znawcą herbat.

- A powiedz no mi, kochana, czemuż to przyjechałaś sama? - spytała Luiza, mrużąc figlarnie oczy. - Ten twój Marek jest takim przystojnym chłopcem... - westchnęła. - Nigdy nie przepadałam za typem garniturowym, ale on się prezentuje doskonale. Ma takie długie nogi i zgrabne pośladki...

- Luiza! - wykrzyknęła matka zdegustowana.

- Oj, Sabinko, nie bądź taka świętoszkowata. Przyznasz, że czasem miło zawiesić oko na jakimś udanym męskim egzemplarzu. Niekoniecznie w wieku twojego męża, nic mu nie ujmuje...

- Ja się z tym zgadzam - roześmiała się Olga. Lubiała zwariowane pomysły ciotki, jej niekonwencjonalne poczucie humoru, frywolność nieprzystającą do wieku i życiowej sytuacji.

- Luiza! Bardzo cię proszę! - zawołała matka.

- Powinnaś jeszcze dodać: „Nie przy dziecku” - zachichotała ciotka. - Tylko że Olga od dawna nie jest dzieckiem, a na pewne tematy wie znacznie więcej niż my obie razem wzięte. Choć trzeba przyznać, że w innych dziedzinach ma pewne braki... - dodała po namyśle i spojrzała na siostrzenicę w taki sposób, że ta poczuła się trochę nieswojo.

- Nie wiem, co masz na myśli, ciociu.

- No właśnie, słonko. I tu jest pies pogrzebany.

Matka, z typowym dla niej wyczuciem, przerwała kłopotliwą ciszę, jaka zapadła po tej konkluzji, i zaczęła regularne przepytывanie Olgi z kilku ostatnich miesięcy. Córka odpowiadała chętnie, snuła barwne opowieści na temat pracy, konkursu, życia towarzyskiego, ale również Hanki i Weroniki, bo jej przyjaciółki były znane w rodzinie i lubiane - niejedną

weekend spędziły w leśniczówce. Matka spytała też o Cyryla, co spowodowało kolejny przyływ dobrego humoru u ciotki Luizy.

Widać było, że te trzy kobiety łączą nie tylko fizyczne podobieństwo i więzy krwi, ale także wyraźna bliskość emocjonalna i podobny sposób widzenia świata. To był kolejny powód, dla którego Olga tak lubiła wracać do domu. Nie przerywając opowiadania, ze smakiem pałaszowała kolejne kromki pysznego żytniego chleba, który Sabina wypiekała na specjalne okazje, domową pieczeń i sałatkę z pomidorów. Wreszcie odsunęła talerz.

- Same widzicie, że nie mogę tu przyjeżdżać zbyt często. Szybko zaczęłabym przypominać damską wersję Pavarottiego.

Luiza rzuciła jej krytyczne spojrzenie.

- A co ty, kochana? Chcesz, żeby facet musiał cię w łóżku szukać grabiami?

Sabina tylko się uśmiechnęła i zaczęła zbierać ze stołu puste talerze. Olga rzuciła się do pomocy.

- Dzięki. To wy sobie jeszcze zróbcie herbaty i pogadajcie, a ja wyskoczę do moich roślinek.

- Może ci pomóc? - spytała Olga, chociaż szklarnie z kwiatami, podobnie jak kuchnia, były niepodzielnym królestwem matki.

Sabina przez długie lata pracowała w pobliskiej szkole, ucząc najpierw rysunków, potem wychowania plastycznego i prowadząc dodatkowe zajęcia artystyczne. Lubiła to i w jakimś sensie się realizowała. Ale kiedy przeszła na emeryturę, okazało się, że dysponuje nadmiarem wolnego czasu, którego nie ma jak spożytkować. Tym bardziej że dzieci już dorosły i nie potrzebowały jej pomocy. Po krótkim okresie radosnego próżnowania zaczęła się rozglądać za jakimś zajęciem. Zapytany o radę mąż zasugerował, że może wykorzystać stare szklarnie, w których przed laty hodowano ogórki i pomidory. Pewnie nawet nie przypuszczał, że oto podarował żonie nową wielką pasję i namiętność. Sabina nie zamierzała wracać do warzyw, postanowiła zająć się hodowlą kwiatów.

Zabrała się do rzeczy bardzo systematycznie i planowo. Najpierw wzięła udział w jakimś korespondencyjnym kursie, potem zgromadziła pokaźny księgozbiór tematyczny, odnowiła i zmodernizowała najmniejszą szklarnię i wreszcie przystąpiła do dzieła. Dzisiaj działały już trzy szklarnie, Sabina miała stałych odbiorców, brała udział w wystawach, a od najprostszych tulipanów i chryzantem przeszła do gatunków bardziej wymagających - róż i lilii. Praca przy kwiatkach wyciszała ją, a jej wrodzony pesymizm łagodniał w obcowaniu z cichym, delikatnym pięknem roślin.

- O nie - uśmiechnęła się matka. - Dostałam właśnie nowe sadzonki. Muszę je trochę przyhołubić. To taka prosta odmiana storczyków, ale i tak są bardzo wymagające.

Otuliła się grubym wełnianym swetrem, bo wieczory były już chłodne, i wyszła do ogrodu.

- Twojej matce zupełnie odbiło, ma nową ideę fix - chce hodować orchidee. Pomyśl, w naszych warunkach - odezwała się ciotka Luiza. - Stara wariatka - dodała jednak z podziwem i jakąś wewnętrzną uciechą. - No dobrze, to co masz dla mnie? - zwróciła się do siostrzenicy z ciekawością.

Olga pochyliła się i wyjęła z plecaka dwie grube książki w gustownej oprawie.

- Skrzyżowanie twoich dwóch pasji - literatury skandynawskiej i kryminalnej. Współczesna, inteligentna i soczysta sensacja szwedzkiego autora Henninga Mankella.

Luiza od zawsze kochała skandynawskie sagi. Ratowały ją w najtrudniejszych momentach życia, były jak wierni przyjaciele, do których zawsze się wraca. Kiedy mieszkały razem w Krakowie, swoją miłością zaraziła Olę. Teraz siostrzenica odwdzięczała się jej, wyszukując dobre współczesne utwory, które mogłyby sprostać wyszukanym gustom literackim Luizy. A odkąd życiowa aktywność starszej pani została ograniczona przez inwalidzki wózek, jej potrzeby czytelnicze znaczenie wzrosły. Książki były jedną z niewielu

przyjemności, jakie jej pozostały, więc rzuciła się na nie zachłannie. Szybko przebiegła wzrokiem krótkie informacje o autorze i treści książki podane na obwolucie.

- Hm, doskonale. Zobaczmy, co to jest warte. Czytałaś?

- Tak. Mnie się podoba. Przemawia do mnie ten północny temperament. I połączenie zawilej, inteligentnej intrygi z prostym, prawie surowym stylem. Nie wiem, jak Mankell to robi, ale jak pisze, że pada deszcz, to czujesz, że pada.

- Aha. Czyli ma talent.

- Chyba tak.

Luiza odłożyła książki i spojrzała bystro na siostrzenicę.

- A skoro mowa o talencie... Malujesz coś, czy już zupełnie odpuściłaś?

Pytanie, które jeszcze niedawno wprawiłoby ją w zakłopotanie, teraz wywołało przyjemne mrowienie w opuszkach palców.

- Maluję - odparła i uśmiechnęła się do ciotki ciepło. Luiza odpowiedziała uśmiechem.

- To dobrze. To bardzo dobrze. - Zamyśliła się na chwilę. - Widzisz, dziecko, dzisiaj już wiem, że żadna z nas nie miała talentu, choć wszystkie miałyśmy duże zdolności i także ambicje - wyznała niespodziewanie, mając na myśli siebie i swoje dwie młodsze siostry. - Może dlatego, że Bóg przeznaczył nam wielki talent, ale w ostatniej chwili podzielił go na trzy... Czas pokazał, że można się realizować w różnych dziedzinach bliskich sztuce i czerpać z tego radość. Ja się zajęłam ceramiką, Emilka tkaninami, a Sabina nauczaniem - spojrzała na Olgę z uśmiechem. - Ty dostałaś wszystko. Nie zmarnuj tego.

Zamilkły. Po chwili rozległo się ciche skrzypnięcie drzwi.

- Czemuż wy siedzicie po ciemku? - spytał ojciec, wchodząc do kuchni. Zapalił górną lampę. - I jak powitanie, córeczko? Odkarmiły cię moje panie, napiły? A nie zamęczyły na śmierć pytaniami? Wprawdzie jesteś wygadana, co typowe w tej rodzinie, ale miały przewagę liczebną.

- Jakoś dałam sobie radę - roześmiała się Olga. - Pewnie jesteś głodny?

Podniosła się, żeby zrobić ojcu kolację. Instruowana przez ciotkę, znalazła wszystkie produkty i po chwili znowu wszyscy siedzieli przy stole. Taka zresztą była tradycja. Duży stół od lat gromadził rodzinę nie tylko przy okazji posiłków, lecz także codziennych zwykłych ploteczek i ważnych rozmów, gdy podejmowano istotne decyzje.

Sabina zastała całe towarzystwo rozbawione i zagadane i mimo protestów postanowiła zagonić wszystkich do spania, bo wieczór dawno już przywitał się z nocą - dochodziła północ.

Olga obudziła się z przekonaniem, że już świta i trzeba wstawać. Za oknami była jednak czarna noc. Wystarczyło kilka dni w leśniczówce i jej zegar biologiczny zupełnie zwariował. Włączyła lampkę i spojrzała na zegarek, była dopiero druga. Spała tylko dwie godziny, a czuła się zupełnie wypoczęta. W dodatku chciało jej się pić. I pragnienie wzięło górę nad lenistwem - wyskoczyła z łóżka i narzuciła na siebie szlafrok.

Zeszła po drewnianych schodach, starając się unikać skrzypnięć, które w nocnej ciszy przypominały jęki potępionych. Ale zdziwiła się, zobaczywszy przez uchylone drzwi do kuchni bladą smugę światła. Gdy podeszła bliżej, usłyszała głosy rodziców. Zamierzała wejść i przerwać im nocną naradę, ale zaintrygowała ją wypowiedź matki.

- No sam powiedz, Kaziu, co te nasze dzieci zrobiły ze swoim życiem? Jeden zamknął się w klasztorze, uciekł od świata i ludzi, zrezygnował ze wszystkiego, co ważne. Drugi ściga przestępców, zadaje się z jakimiś podejrzanymi typami i może pewnego dnia pozwoli się zabić. A Olga...

- No, do Olgi nie możesz mieć pretensji - przerwał lojalnie ojciec. - Skończyła studia, ma świetną pracę, narzeczonego...

- Tak, narzeczonego - zaakcentowała ostatnie słowo matka. - Od sześciu lat. Co to za narzeczeństwo? Mieszkają razem. Dawno mogliby wziąć ślub, mieć dzieci... A tak? Niechby już raz się na coś zdecydowali.

- Sabinko, czasy się zmieniły. Dzisiaj młodzi mieszkają ze sobą bez ślubu i to jest normalne. Już nie budzi zgorzsenia jak kiedyś - łagodnił ojciec. - Zresztą może lepiej być szczęśliwym, żyjąc na kocią łapę, niż nieszczęśliwym w małżeństwie.

- Naprawdę myślisz, że Olga jest z Markiem szczęśliwa? Sama nie wiem... zobacz, jaka jest zgaszona. I tak się jakoś smutno zamyśla. A pamiętasz, co ostatnio mówił Rafał?

- Sabinko, nie doszukuj się dziury w całym. Przecież niedawno jej koleżanka zginęła w wypadku. Takie przeżycia pozostawiają ślad. Ma prawo być smutna.

- No może... - przyznała matka. - Ale mów, co chcesz... Nie tak wyobrażałam sobie życie moich dzieci.

- Oj, a czego ty chcesz, kobieto? - zniecierpliwił się trochę ojciec. - Żeby gonili za pieniędzmi i, jak to mówisz, używali życia? Sama sobie przeczysz. Krytykujesz Michała za to, że się odciął od świta, a Rafała, że się do niego za bardzo zbliżył, że dotyka ciemnej strony życia. Olga zaś według ciebie niemoralnie się prowadzi... - przerwał na chwilę i zaczął łagodniej, jakby tłumaczył dziecku trudne zadanie: - A mnie się zdaje, kochana, że każde z naszych dzieci odkryło swoją gwiazdę i poszło za jej światłem. Może ich życie nie jest łatwe, może nawet nie znajdują szczęścia, chociaż bardzo bym chciał, żeby jednak znaleźli, ale mają własną drogę. Wiedzą, dokąd idą i czemu służą. Nie błakają się po bezdrożach, nie zmieniają poglądów, gdy wiatr zawieje, nie kupczą sercem i umysłem, nie kłaniają się złotym cielcom. Nasze dzieci wyrosły na dobrych i mądrych ludzi. Nie wiem, czy jest w tym jakaś nasza zasługa, myśmy je tylko kochali... Ale powinnaś się cieszyć i być z nich dumna.

- Och, jestem, Kaziu, jestem. Tylko czasem tak się o nich martwię - odpowiedziała matka, wzdychając, a ojciec cicho się roześmiał.

- To twoje matczyne prawo. A poza tym wszyscy w rodzinie wiedzą, że martwienie się jest twoją drugą naturą.

Olga usłyszała szmer i wiedziała, że matka próbuje protestować, a ojciec ją przytula i głaszcze jej włosy. Widziała tę scenę wiele razy. Czasem w naprawdę trudnych momentach ich życia, a czasem, gdy matka miała po prostu zły dzień i wszystko ją irytowało. Tym gestem ojciec godził ją ze światem i z sobą.

Ostrożnie odkleiła się od ściany i na palcach podreptała w stronę schodów. Nie miała specjalnych wyrzutów sumienia. W końcu rodzice w jakimś sensie należeli do niej, a więc ich rozmowa również, zwłaszcza że dotyczyła także jej. Szybko pokonała stopnie i znikła w swoim pokoju. Nie słyszała więc, jakie były ostatnie ustalenia.

- Porozmawiasz z nią? - spytała matka.

- Z Olgą? - zdziwił się ojciec. - Ale właściwie o czym?

- Och, nie wiem. Jesteś jej ojcem, jesteś mężczyzną, powinieneś wiedzieć, jak to rozegrać. A może... - zastanowiła się - może poprosić Luizę, żeby z nią porozmawiała?

- O tak - zachichotał ojciec. - Luiza na pewno chętnie zaprezentuje jej wszystkie uroki instytucji małżeństwa i nakłoni do legalizacji związku.

- Masz rację, to głupi pomysł.

- Dobrze, już dobrze. Porozmawiam. Nie martw się. A teraz zbierajmy się do łóżka. Strasznie jest późno.

Po chwili światło w kuchni zgasło, skrzypnęły drzwi, a cały dom pogrążył się w ciszy i ciemności. Otulona kołdrą Olga wpatrywała się w ciemne zarysy drzew za oknem i wsłuchiwała w odgłosy nocy.

Gdzieś pod ścianami grały świerszcze, z dala słychać było poszczekiwanie psów. Las, pozornie cichy, żył własnym, nocnym życiem - skrzypiały stare konary drzew, lekko szumiał

w liściach wiatr, coś pohukiwało, klaskało, dzwoniło, czasem prychało albo warknęło. Sierpniowa noc przemawiała tutaj głosem mocnym i niepowtarzalnym.

Podsluchana przypadkiem rozmowa uświadomiła jej dwie rzeczy: po pierwsze, że rodzice wciąż się o nią martwią, mimo że ma już trzydzieści lat i od dawna żyje samodzielnie. Po drugie, po raz kolejny stwierdziła, że rodzicom udało się zbudować dobry związek, bliski ideału, który dla niej najprawdopodobniej pozostanie niedościgniony. Chciałaby za trzydzieści lat mieć u boku kogoś tak wiernego i kochającego jak jej ojciec, ale mimo najszczerzych intencji nie potrafiła wyobrazić sobie w tej roli Marka.

Jakie to dziwne, pomyślała, przecież rodzice są tacy różni, jak ogień i woda, a tak dobrze się rozumieją. Nawet gdy mają różne poglądy na daną kwestię, potrafią wypracować wspólną linię postępowania. Więc może o to chodzi? O szukanie swojego przeciwieństwa, które będzie jednocześnie uzupełnieniem całości? W którym momencie popełniła błąd? Pomyliła się co do siebie czy Marka? Czyja to wina, że nie jest tak, jak miało być?

Pogrążona w niewesołych rozmyślaniach, słyszała, jak zegar wybija godzinę trzecią, potem czwartą. Pragnienie znów o sobie przypomniało. Niechętnie porzuciła ciepłą pościel i ponownie zeszła do kuchni. Nalała sobie pełną szklanekę wody mineralnej, ale po chwili namysłu zabrała butelkę ze sobą. Zasnęła przed świtem, gdy za oknami ptaki rozpoczęły już swój szaleńczy koncert.

Obudziła się, gdy do pokoju wdzierало się jaskrawe letnie słońce i chłodny podmuch poranka. Zamarzyła jej się gorąca kawa z prawdziwą śmietanką. Wyskoczyła z łóżka i w polarze zbiegła na dół, do kuchni. Ojciec siedział już przy stole z kubkiem w jednej ręce i jakimiś dokumentami w drugiej.

- O, co za ranny ptaszek - spojrzał na nią z uśmiechem. - Chcesz kawy, córeczko?

- Jasne. Tylko po to zerwałam się o tak nieludzkiej porze - odwzajemniła uśmiech.

- Tak? A ja myślałem, że to ze względu na moje towarzystwo...

- To też.

Podeszła i pocałowała ojca w czoło. Uwielbiała te poranne pogaduszki przy kawie, zanim ojciec wyjechał w teren. Lubiała też go odprowadzać, kiedy szedł do lasu. Ojciec postawił przed nią kubek świeżo zaparzonej kawy, której aromat czuła już na schodach. Zebrał do czarnej teczki notatki rozrzucone bezładnie na stole.

- Wytyczne nadleśnictwa - powiedział znacząco. - Do natychmiastowego wprowadzenia w życie.

Uśmiechnęła się z czułością.

- Jak zwykle jesteś zapracowany. Może powinieneś zwolnić trochę tempo?

Ojciec uniósł lekko brwi.

- Czy to delikatne przypomnienie, że zbliżam się do wieku emerytalnego?

- Ależ skąd - zaprzeczyła żywo i dodała kokieteryjnie: - Wcale nie wyglądasz na emeryta.

- No, tak do mnie mów. - Spojrzał na zegarek i jednym haustem dopił kawę. - Na mnie już czas. Miłego dnia, skarbie. - Pocałował ją lekko. - Wrócę wieczorem, to pogadamy. - Zabrał dokumenty, włożył czapkę i ruszył ku drzwiom, zatrzymał się jednak z ręką na klamce i spojrzał z namysłem na Olgę. - A może masz ochotę na małą wyprawę? Jeśli nie miałaś na przedpołudnie żadnych planów... Jadę teraz na Dębową Polanę, gdzie robimy wycinkę. Wracając, zajrzę do szkółki w Borku i odwiedzę starego Hajduka. Stamtąd mogłabyś sobie wrócić pieszo ładną trasą, bo ja muszę zdążyć na naradę w nadleśnictwie, a to pewnie potrwa. Co ty na to?

Olga zerwała się na równe nogi.

- Daj mi dziesięć minut - powiedziała i wybiegła z kuchni. Każdą wyprawę z ojcem do lasu wspominała jak niezwykłą przygodę. Gdy miała kilka lat, zabierał ją na krótkie wycieczki, uczył rozpoznawania drzew, roślin i ptaków, opowiadał na pół baśniowe historie o



leśnych zwierzętach - sarnach, dzikach i wilkach. Gdy podrosła, wyprawy stały się dłuższe, trudniejsze, bardziej wymagające. Tak samo jak opowieści - już nie tylko o przyrodzie, ale także o starej leśniczówce, która spłonęła w czasie wojny, o leśniczym Hajduku, zastrzelonym przez Niemców za pomoc partyzantom w 1943 roku, o ludziach, którzy bronili tego lasu, swojej wiary i poglądów, o dzieciństwie ojca spędzonym w pobliżu kuźni, w której dziadek Teofil zamieniał się w czarodzieja... O tym wszystkim, co rzeczywiście w życiu ważne.

Wędrowała szczęśliwa i zasłuchana, przeżywając w wyobraźni te wszystkie przygody. Po powrocie zaszywała się w jednej ze swoich kryjówek i marzyła o tym, czego ona sama w życiu dokona. Wytyczała sobie wielkie cele, trudne drogi i kroczyła nimi z entuzjazmem i wiarą swoich kilkunastu lat. Dzisiejsza propozycja zupełnie nieoczekiwanie otworzyła w jej pamięci jakieś ukryte drzwi i wypuściła na wolność trochę już zapomniane obrazy i emocje.

Terenowa łąda szybko i swobodnie pokonywała wyboiste drogi. Kierowali się ku dość odległej części lasu, zwanej Dębową Polaną. Nazwa była tylko częściowo adekwatna do miejsca, bo dębów, owszem, było tam sporo, ale nie było żadnej polany. Teren wznosił się stromo i znacznie bardziej logiczne byłoby tu określenie „dębowe wzgórze”. Olga lubiła to miejsce, choć ze względu na odległość rzadko tu docierała.

Droga urywała się raptownie u stóp wzniesienia. Leśniczy zatrzymał wóz, zabrał podręczny ekwipunek do plecaka i uśmiechnął się do córki.

- No, zobaczymy, jak dalece zamieniłaś się w mieszczucha.

Sceptycyzm ojca okazał się jednak nieuzasadniony. Olga dobrze sobie radziła w terenie i dotarła na miejsce szybciej i w lepszej formie niż on.

Przy wycince pracowało na razie kilkanaście osób i cztery duże, ciężkie konie, niezawodne w trudno dostępnych miejscach. Olga przyglądała im się z przyjemnością, malując w myślach obraz człowieka i konia zespolonych w wysiłku na tle potężnych dębów, podczas gdy ojciec rozmawiał z brygadystą. Po chwili dotknął jej ramienia.

- Mamy dużo czasu. Drogę powrotną możemy więc potraktować jak spacer, a nie jak wyścigi.

Olga uśmiechnęła się triumfująco. Widocznie dała mu się jednak trochę we znaki. Ruszyli w dół przetartym już szlakiem, rozmawiając niespiesznie o różnych sprawach. Olga doskonale pamiętała, że cisza i tajemniczość lasu sprzyjają zwierzeniom. Chętnie odpowiadała więc na pytania ojca, barwnie i wyczerpująco mówiła o swej pracy, o planach artystycznych i z niepokojem oczekiwała, kiedy ojciec poruszy tematy bardziej osobiste. Wiedziała, że to nastąpi, ale nie była pewna, jaką powinna przyjąć taktykę.

- A co dobrego u Marka? - spytał wreszcie ojciec mało oryginalnie. - Dawno u nas nie był.

- Wiesz, tato, dużo pracuje, robi karierę. To czasochłonne i wyczerpujące. - Bardzo się starała, żeby zabrzmiało to rzeczowo i niefrasobliwie, ale nie doceniła ojca. Zawsze umiał czytać między wierszami.

- Rozumiem, że nie ma czasu albo ochoty przyjechać do nas, ale czy to robienie kariery sprawia, że nie ma czasu także dla ciebie? - spytał wprost.

- Och, tato! Nic takiego nie powiedziałam. To zwyczajna nadinterpretacja - zaprzeczyła chyba zbyt gwałtownie, bo ojciec powiedział tylko „aha” i zamilkł.

Byli już niedaleko samochodu, gdy zatrzymał się i wskazując powalony pień, zaproponował:

- Przysiadźmy na chwilę. Mamy czas.

Z ciężkim sercem usiadła obok niego. Bała się tej rozmowy, ale nie mogła jej uniknąć i chyba nie chciała.

- Powiedz mi, córeczko, ale tak szczerze - jesteś szczęśliwa?

Nie, nie takiego pytania się spodziewała. Ojciec doskonale wiedział, jak rozbroić przeciwnika. Jednym zdaniem pokonał wszystkie jej wewnętrzne opory. Teraz Olga nie miała już wyboru, mimo to spróbowała:

- Oczywiście, że jestem, tato. Jak każdy mam w życiu lepsze i gorsze momenty, ale ogólnie wszystko jest w porządku.

- W porządku - powtórzył. - To chyba nie to samo co szczęście? Ale niech ci będzie. Ufam, że wiesz, co robisz. Nie chcę się wtrącać w twoje życie, to nie jest przesłuchanie. Ale pamiętaj, że zawsze możesz ze mną porozmawiać. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem, tato. Wiem - powiedziała Olga ciepło. Poczowała jednocześnie ulgę i zawód. W głębi serca, mimo wielu obaw, chciała ojcu opowiedzieć o wszystkim, co ją ostatnio dręczyło.

- Obiecałem matce, że z tobą rozmawiam. Ona się jak zwykle martwi. Poza tym, wiesz, marzą jej się wesela i wnuki. Michał jej się wymknął, a ty i Rafał jakoś nie rokujecie w tej dziedzinie zbyt dobrze.

- Och, tato! Nie spiesz mi się do ołtarza, a tym bardziej do pieluch. Zresztą czasy się zmieniły, więc nie bądź taki okropnie staroświecki - ślub naprawdę nie jest najważniejszy, a w naszej sytuacji i tak niczego nie zmieni.

Naprawdę tak uważała, choć była to tylko część prawdy. Nie powiedziała ojcu, że Marek nigdy nie zaproponował jej małżeństwa. Nie powiedziała też, że oświadczyły, na które kiedyś czekała z niecierpliwością i nadzieją, dzisiaj budziły w niej tylko niepokój. Zdawała sobie sprawę, że nie mogłaby z czystym sumieniem udzielić odpowiedzi twierdzącej, a nie była jeszcze gotowa do ostatecznego zerwania. Przestała już wmawiać sobie, że to chwilowy kryzys, w głębi duszy jednak wciąż miała nadzieję, że się odnajdą i odbudują to, co tak lekkomyślnie zaprzepaścili.

- Masz rację, ślub nie jest najważniejszy. Najważniejsze jest, aby ludzie chcieli być razem i czerpali z tego radość. Kiedyś widziałem w tobie tę radość i cieszyłem się, że los dał ci odpowiedniego mężczyznę. Ale to się zmieniło, prawda? Już nie masz tej pewności, że chcesz z Markiem spędzić resztę życia - powiedział leśniczy z przekonaniem.

- Sądziś, że taka pewność w ogóle jest możliwa? - spytała Olga, nie patrząc mu w oczy.

- Możliwa. Ja ją miałem - odparł ojciec spokojnie.

Teraz Olga spojrzała na niego uważnie. Siwe skronie, bruzdy na czole, nadające jego twarzy wyraz surowości i powagi, i jasne, pogodzone oczy jak zawsze pełne ciepła i życzliwości dla świata i ludzi. Takim pamiętała go od najmłodszych lat, choć włosy były kiedyś czarne.

- Wiem, tato. Ale wtedy było inaczej. Wątpię, żebym miała szansę przeżyć coś takiego.

Po twarzy leśniczego przebiegł cień. Nie skomentował od razu wypowiedzi córki. Zamyślił się głęboko i coś w sobie ważył. W gąszczu gałęzi śpiewały ptaki. Z dala dobiegał słaby odgłos pił mechanicznych, uderzeń siekier, wyciszone przez filtr lasu ludzkie nawoływania. Wreszcie ojciec odezwał się tym samym tonem, którym niegdyś snuł swoje leśne opowieści:

- Wam młodym wydaje się, że macie na wszystko patent. Że nikt przed wami nie kochał, nie cierpiał, nie zaznał prawdziwego smutku ani radości. Że kiedyś było inaczej, nie wiem - spokojniej, nudniej, a może tylko bezpieczniej. Nieprawda. Świat się może zmieniać, ale ludzie są tacy sami. Przeżywają te same uczucia, dokonują tych samych wyborów, tak samo szukają bliskości i zrozumienia. I pokusy są takie same. I ludzkie słabości również. Nikt nigdy nie uczy się na cudzych błędach, tylko na własnych. - Przerwał na chwilę i popatrzył na córkę z czułością. - Idealizujesz mnie i matkę, patrzysz na nasze małżeństwo jak na wzór do naśladowania, ale widzisz tylko to miejsce, do którego doszliśmy. A stąd nie widać już całej drogi - czasem trudnej, kamienistej, pełnej zakrętów. Nie wiesz, czy znaleźliśmy się tam, gdzie chcieliśmy, ani jacy byliśmy na początku. Nie mówię, że twoja wizja jest fałszywa, mówię tylko, że jest niepełna.

- Tato, co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć? - spytała Olga niespokojnie.

- Próbuję ci powiedzieć, że łatwo jest dać się zwieść pozorom. Musisz być wobec siebie szczerą, a wtedy znajdziesz właściwą drogę. Każdy błąd da się naprawić. Poza tym zawsze można zacząć wszystko od początku. No, prawie zawsze.

- Ale co to ma wspólnego z mamą i z tobą?

- Widzisz, córko, twoja mama miała zupełnie inne plany i marzenia. Nie było mnie w nich, niestety. Lecz jak to często bywa, życie dość brutalnie się z nimi rozprawiło. Nie chcę wchodzić w szczegóły, może sama kiedyś ci o tym opowie. W każdym razie miała za sobą wielką niespełnioną miłość, a ja wystąpiłem w bardzo niewdzięcznej roli pocieszyciela. Nigdy nie byłem pewien, dlaczego właściwie za mnie wyszła. Czy tylko z zemsty, czy też miała dla mnie jakieś cieplejsze uczucia, coś więcej niż zwykłą sympatię i może wdzięczność za to, że byłem dla niej oparciem w najtrudniejszym momencie. A może po prostu widziała, ile dla mnie znaczy, jak bardzo ją kocham. Nie wyobrażałem sobie życia bez niej. Tak czy inaczej, przyjęła moje oświadczenia i zaczęliśmy wspólne życie - ja, pijany radością, pełen optymizmu i najlepszych chęci, i ona, cała wewnętrznie poraniona, zbuntowana, zamknięta w sobie. Na początku traktowałem ją jak chore dziecko. Delikatnie, cierpliwie walczyłem o każdy jej uśmiech, dobre słowo, czuły gest. Zarozumiale wierzyłem, że potrafię dać jej szczęście, ale chciałem też szczęścia dla siebie. Walczyłem o jej miłość, wiedząc, że nigdy nie pokocha mnie tak jak tamtego mężczyznę. Chciałem zatrzeć w jej pamięci jego wspomnienie. Sądziłem, że czas jest moim sprzymierzeńcem. Nie był. W zasadzie nie mogłem jej nic zarzucić, bardzo starała się być dobrą żoną. I właśnie to staranie najbardziej mnie bolało, bo znaczyło, że nie działa z potrzeby serca, ale z poczucia obowiązku. Czasem budziłem się w nocy i słyszałem jej cichy płacz. To były najgorsze chwile w moim życiu. Byłem dość młody, by sądzić, że odwzajemniona miłość stanowi o szczęściu, o życiu i właśnie tego los mi odmówił. Miałem chwile zwątpienia, chciałem odejść i nie potrafiłem. - Przerwał opowieść i zapatrzył się w gęstwinę lasu niczym w otwartą księgę swojego życia. - A potem urodził się Rafał - powiedział. - Pojawiła się między nami nowa, bardziej intymna, niepowtarzalna więź. Byliśmy rodzicami tej małej kruszynki i tego nic nie mogło zmienić, żadne wspomnienia, żadne upiory przeszłości. Uwierzyłem, że wszystko się ułoży. Sabina oszalała na jego punkcie, przelała na niego całą miłość i czułość, do jakiej była zdolna. Wstyd się przyznać, ale czasami bywałem zazdrosny o własne dziecko, widząc, ile tkliwości moja chłodna i opanowana żona wkłada w każdy gest, każdy dotyk.

Wszyscy wokół uważali nas za niezwykle zgodne małżeństwo. Nie kłóciliśmy się, nie miewaliśmy cichych dni, okazywaliśmy sobie szacunek, sympatię, wyrozumiałość. Prawie się pogodziłem z tym, że tak już będzie zawsze, że tylko na to mogę liczyć. Rozsądek podpowiadał, że to bardzo dużo, ale serce płakało z żalu, że nie dość, że chce więcej. Przyjście na świat Michała niczego między nami nie zmieniło. Nie wiem, jak potoczyłyby się dalej nasze losy, gdyby na mojej drodze nie stanęła pewna kobieta.

Olga wstrzymała oddech. Wpatrywała się w ojca szeroko otwartymi oczami i słuchała całą sobą.

- Była dostatecznie młoda i piękna, aby wzbudzić zainteresowanie. I dostatecznie zakochana, aby obudzić nie tylko zmysły, lecz także emocje. Pragnienie bycia kochanym, podziwianym, pożądanym jest w każdym człowieku. We mnie było tym silniejsze, że przez długi czas spychane w podświadomość. Dałem się uwieść tym wszystkim pięknym słowom, których nie dane mi było usłyszeć z ust jedynej kobiety, jaką kochałem.

Ojciec znowu przerwał opowieść i zamyślił się. Olga nie potrafiła zdobyć się na żaden komentarz, na żadne pytanie. Siedziała przerażona, bo właśnie rozpadał się cały świat jej dzieciństwa, bezpieczny, zrozumiały, taki znany, bliski i pewny.

Chciała uciec, ukryć się przed słowami, które trafiały prosto w serce. Ale teraz nie było już od nich odwrotu. Postanowiła wytrwać, nie pokazać po sobie, co czuje, nie oceniać. I nie rozpląkać się.

- To trwało bardzo krótko - podjął znowu opowiadanie leśniczy. - Zbyt krótko, by nakarmić głodne serce, ale dostatecznie długo, by mną wstrząsnąć. Pewnego dnia obudziłem się u boku obcej kobiety i byłem przerażony. Dotarło do mnie, jakie podjąłem ryzyko, co mam do stracenia. Chyba właśnie wtedy uświadomiłem sobie, ile dla mnie znaczy to wszystko, co mam. Zrozumiałem, jakim byłem głupcem. Wracalem do domu gnany wstydem, pogardą dla siebie, strachem przed utratą tego, co stanowiło o sensie mojego istnienia. Ale także radością, bo oto odnalazłem coś najcenniejszego - zgodę na własny los i poczucie, że jest on dokładnie taki, jak być powinien. Wpadłem do domu nieoczekiwanie - miałem wówczas mnóstwo pracy i Sabina była przekonana, że spędzę w terenie kilka następnych dni. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i powiedziała: „Cieszę się, że wróciłeś”. Te słowa były odpowiedzią na wszystkie moje lęki. Nie pamiętam, co robiliśmy tamtego dnia, ale było nam razem tak dobrze. Zapomniałem o moich pretensjach, oczekiwaniach. Zrozumiałem, że więcej szczęścia jest w dawaniu niż w braniu. Kilka dni później po raz pierwszy powiedziała, że mnie kocha. Tak rozpoczął się nowy rozdział naszego wspólnego życia. - Uśmiechnął się i spojrzał na Olę. - Jesteś jedną z pierwszych i najważniejszych stron tego rozdziału, córeczko.

- A tamta kobieta? - spytała Olga cicho. Ojciec spoważniał.

- Nigdy więcej jej nie spotkałem. Wiem, że nie byłem wobec niej w porządku. Być może ją także skrzywdziłem. I fakt, że tego nie chciałem, nie stanowi tu usprawiedliwienia. W życiu nigdy nie ma nic za darmo. Pocięsam się tylko, że może byłem dla niej przygodą, że szybko o mnie zapomniiała i poukładała sobie życie. Nic więcej zrobić nie mogę.

- A mama?

- Co mama?

- Czy ona wie?

- Nie. - Zawahał się. - Choć czasami zdaje mi się, że dzięki jakiejś magii wie o mnie wszystko. Nie mogłem tego zrzucić na jej barki tylko po to, żeby ulżyć własnemu sumieniu.

- Ale przecież zdradziłeś ją, tato...

- Tak - powiedział ponuro. - I Bóg jeden wie, jak cierpiałem z tego powodu. Uważasz, że powinienem być wszystko jej wyznać, żeby uzyskać przebaczenie? I sprawić, by ona też cierpiała? Widzisz, kochana, prawda nie zawsze jest wartością bezwzględną... - Spojrzał na córkę niepewnie, spodziewając się w jej oczach potępienia. Ale ona wyciągnęła do niego rękę, nic nie mówiąc. - Jak widzisz, nie jestem wzorem idealnego męża.

Wokół szumiał las, a oni siedzieli pogrążeni we własnych myślach i niepokojach.

- A co dla mnie wynika z tej lekcji? - spytała Olga, wstając. Ojciec też się podniósł.

- Że w życiu nie ma nic pewnego, ale warto walczyć o swoje szczęście. Możesz słuchać rozsądku i iść prostą drogą. Ale jeśli chcesz przeżyć coś prawdziwego, jeśli nie boisz się bólu i rozczarowania, słuchaj serca. W gruncie rzeczy człowiek zawsze wie, co jest dla niego dobre, nie zawsze jednak ma odwagę wykorzystać tę wiedzę.

- W porządku, tato, przemyślę to. - Olga podeszła do ojca i przytuliła się lekko. - Dziękuję - dodała szeptem.

Zastanawiała się, dlaczego ta spontaniczna wizyta u rodziców stała się nieoczekiwanie tak brzemienna w wydarzenia, przemyślenia i emocje. Wróciła w myślach do rozmowy z ojcem. Wciąż była zbyt oszołomiona, by określić własne stanowisko. Cieszyło ją zaufanie, jakie jej okazał, ale nie wiedziała, jak powinna się zachować - potępić go, skrytykować, okazać współczucie, zrozumienie... a może przejść nad tym do porządku dziennego? Nagle doznała olśnienia - muszę porozmawiać z mamą. Historia wymagała uzupełnienia.

Jeszcze tego samego dnia okazało się, że Olga wcale nie musi czynić wielkich starań, żeby znaleźć chwilę i pretekst do rozmowy. Podobne zabiegi czyniła bowiem równolegle matka, najwyraźniej nie do końca przekonana o skuteczności działań własnego męża w tak delikatnej materii.

Późnym popołudniem siedziały razem z Luizą w ogrodzie, pijąc mrożoną herbatę i zajadając szarlotkę. Wokół panowała cisza wypełniona jednostajnym brzęczeniem pszczoł, uwijających się niestrudzenie wśród owocowych drzew. Aż tutaj niósł się z sadu ciężki i słodki zapach dojrzałych gruszek. Olga doskonale pamiętała ich wyrazisty smak - jeden z ukochanych smaków dzieciństwa, obok duszonych w śmietanie grzybów i malinowych konfitur babci Anny.

- A pamiętasz Klaudie? - zagadnęła ją nagle matka. - Wnuczkę siostry starego Hajduczka? Miesiąc temu urodziła bliźniaki. A ma już dwójkę starszych. Jeśli dobrze pamiętam, chodziłyście do jednej klasy.

- Nie, mamo, Klaudia była rok młodsza - powiedziała Olga i zaczęła się zastanawiać, czy ta informacja była przypadkowa, czy też matka przygotowuje grunt do tak zwanej poważnej rozmowy.

Luiza spojrzała na siostrę, uśmiechnęła się niewinnie i przysła w sukurs Oldze:

- No widzisz, jak to różnie w życiu się układa... - mruknęła. - A taka Ela Kasperek raczej nie urodzi bliźniaków, przynajmniej w najbliższym czasie... W zeszłym miesiącu uciekła sprzed ołtarza.

- Żartujesz? - Olga doskonale pamiętała Elę, która była od niej tylko o trzy lata młodsza. - Naprawdę? Uciekła sprzed ołtarza? Jak Julia Roberts w „Uciekającej pannie młodej”? W białej sukni i welonie? - Olga od razu plastycznie wyobraziła sobie tę intrygującą scenę.

- No, niezupełnie sprzed ołtarza, bo nie weszła do kościoła. Ale faktycznie suknię miała piękną - z trenem, z koronkami, cudo - westchnęła Luiza. - Goście już byli w środku, a ona odciągnęła tego swojego niedoszłego męża na bok, coś mu przez chwilę tłumaczyła, a potem odwróciła się i sobie poszła. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś miał tak głupią minę jak on wtedy.

- Moja droga - wtrąciła Sabina karcąco - nie należy się śmiać z cudzego nieszczęścia.

- Ależ ja się wcale nie śmieję - broniła się Luiza. - Przyznaj jednak, że scena była zabawna. Poszliśmy oczywiście, jak wszyscy, zobaczyć, jakie widowisko zrobi ze ślubu jedynaczki nasz szanowny pan naczelnik. Ale aż takich atrakcji chyba nikt się nie spodziewał.

- Ale właściwie dlaczego uciekła? - przeszła do sedna Olga.

- A kto to może wiedzieć... - Sabina zamyśliła się na chwilę. - Różnie mówią. Ponoć rodzice mocno namawiali ją na ten ślub - bo niedoszły mąż to też oczywiście dobra partia. No, a poza tym dwadzieścia siedem lat to w Kalinowej Górze wciąż dużo dla panny. Tak czy inaczej, starego Kasperka mało apopleksja nie ubiła na miejscu. Ale przyjęcie się odbyło, bo przecież wszystko było przygotowane. Impreza na dwieście osób, tyle że bez głównych bohaterów. W końcu jednak pan naczelnik doszedł do siebie i zaczął agitację, gdyż niedługo wybory. Jakieś korzyści z tej chybionej inwestycji musiał wyciągnąć.

- A wiesz, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze? - zachichotała Luiza. - Pan młody. A właściwie jego nazwisko.

- Ciotka zrobiła efektowną pauzę i wyrecytowała z patosem:

- Jan Nepomucen... Nowożeniec... - Roześmiała się swobodnie, a Sabina i Olga natychmiast jej zawtórowały.

Słońce zaróżowiło już niebo i zaczęło szybko zbliżać się do czarnej linii lasu. Brzęczenie pszczoł powoli cichło. Niepostrzeżenie na bujną, lekko zrudziałą trawę zaczęła padać rosa, zapowiadając piękną pogodę na kolejny dzień. Sabina spojrzała niepewnie na córkę i zmieniła temat:

- Może zajrzysz ze mną do szklarni? Pokażę ci piękne żółte róże. Mają naprawdę wyjątkowy kolor i pachną nawet mocniej niż czerwone.

Luiza posłała siostrzenicy znaczące spojrzenie, a Olga wykazała się refleksem, nie okazując zdziwienia niecodzienną propozycją matki.

Róże były rzeczywiście piękne - płatki, u nasady jasnożółte, stopniowo nabierały całej mocy koloru, by na samych krańcach przejść nagle w przedziwną rdzawą czerwień. Powietrze w szklarni, ciepłe i wilgotne, przepojone było słodyczą zapachu unoszącego się nad ciasno zwiniętymi pąkami. Oldze imponowała determinacja matki, przekładająca się zresztą na konkretne osiągnięcia.

- Widzisz, życie wciąż niesie nam jakieś niespodzianki - powiedziała Sabina. - Nigdy bym nie przypuszczała, że dopiero na emeryturze odkryję w sobie taką pasję i tak bardzo zakocham się w zwykłych kwiatach.

- No, jeśli idzie o zakochanie, to wiek chyba nie ma tu znaczenia - uśmiechnęła się Olga.

- Tak sądzisz? Może masz rację. Nigdy nie wiadomo, która z naszych miłości okaże się ostatnia, prawdziwa czy najważniejsza... - Popatrzyła na Olę w zamyśleniu. - Pomyśl tylko, ja w twoim wieku miałam już dwóch synów i byłam od dawna szczęśliwą mężatką.

Olga doszła do wniosku, że to idealna okazja, żeby nawiązać do przeszłości. Nie miała poza tym ochoty na kolejną rozmowę o jej uczuciowych perypetiach.

- Mogę cię o coś spytać, mam? Naprawdę byłaś wtedy szczęśliwa?

Sabina posłała córce szybkie spojrzenie. Coś ją zaniepokoiło w tym rzuconym niby mimochodem pytaniu.

- Nie wiem, co masz na myśli, kochanie. Oczywiście, że byłam.

Olga trochę się zmieszła pod spojrzeniem uważnych, szarych oczu matki. Uznała jednak, że żadne podchody nie mają tu sensu.

- Rozmawiałam z ojcem. Wspominał swoją młodość, początki waszego małżeństwa... Wspominał też, że byłaś wcześniej zakochana w kimś innym. Dlatego...

- Ach, rozumiem... - przerwała jej matka. - I co, chcesz pewnie poznać moją wersję wydarzeń?

Olga pokiwała energicznie głową.

- Ech ty, zawsze byłaś okropnie ciekawska. A ojciec od początku cię rozpuścił, odpowiadając na wszystkie, nawet najbardziej absurdalne pytania. Ale jak widać, jemu też to zostało. Zresztą może i ma rację, jest wiele spraw, o których matki powinny opowiadać córkom ku przestrodze...

Na końcu alejki stała drewniana ławeczka. Matka podeszła do niej i usiadła. Wygładziła kolorową spódnicę i spojrzała poważnie na Olę.

- Cóż, historia jest prosta i trywialna. Jak większość historii miłosnych, niestety. Ja byłam bardzo młoda i naiwna, on był dziesięć lat starszy i wydawał mi się nie tylko nadzwyczaj przystojnym mężczyzną, ale również genialnym malarzem. Miałam dziewiętnaście lat, zaczynałam studia, też chciałam malować i marzyłam o wielkiej karierze. Gdy stanął na mojej drodze, w naturalny sposób uznałam w nim mistrza. Nauczył mnie nie tylko miłości, ale też sposobu patrzenia na świat, tworzenia własnych wizji i przenoszenia ich na płótno. Byłam jego modelką, jego muzą, jego kochanką... Wydawało mi się, że tak będzie zawsze, i o niczym innym nie marzyłam. Zapomniałam nawet o własnych ambicjach artystycznych. Liczył się tylko on, jego talent, jego kariera. Nie wiedziałam jeszcze, że muzy w jego życiu szybko się zmieniają. I kochanki również. - Sabina zmarszczyła czoło, patrzyła na żółtopurpurowe pąki, ale myślami błędziła gdzieś w przeszłości. - Powiedział mi, że nie może się wiązać, że jest artystą i w jego życiu nie ma miejsca dla rodziny. Że potrzebuje wolności, przestrzeni, że to jest silniejsze niż jego miłość do mnie. Że wielka sztuka wymaga poświęceń, ale nigdy mnie nie zapomni... Same romantyczne frazesy A ja uwierzyłam w

każde słowo. Pewnie dlatego, że chciałam uwierzyć. Cierpiałam, ale udawałam, że rozumiem jego decyzję, choć podświadomie broniłam się przed upokorzeniem. Kilka miesięcy później dowiedziałam się o jego ślubie. Wzniósł się w solidną, bogatą, mieszczańską rodzinę. Dopiero wtedy dotarło do mnie, jaka byłam głupia i naiwna. Mogłam uznać godną rywalkę w sztuce, ale nie w innej kobiecie. Zaczęłam wreszcie słyszeć różne plotki, które wcześniej do mnie nie docierały. Zrozumiałam też, że nie rzucił mnie dla wielkiej miłości, że być może w ogóle nie jest do niej zdolny. Luiza doszła do tego wniosku znacznie wcześniej. Cóż, była starsza, mądrzejsza, umiała wybierać, decydować o sobie. - Matka uśmiechnęła się gorzko, widząc zdumioną minę Olgi. - Tak, moja droga. Luiza spotkała go wcześniej i też dała się nabrać na ten artystyczny urok.

- A tata? - spytała Olga. - Kiedy pojawił się w twoim życiu?

- O, znacznie wcześniej - odparła mama z uśmiechem. - Miałam piętnaście, może szesnaście lat, gdy pojechałam z ojcem do kuźni w Roztoku. Kowalem był tam Teofil Jaskólski, twój dziadek. Tam spotkałam ojca po raz pierwszy - studiował już wówczas leśnictwo. Od początku okazywał mi zainteresowanie i sympatię, ale nie przywiązywałam do tego wielkiej wagi. Odnowiliśmy starą znajomość, gdy znalazłam się w Krakowie, ale na dobre wszedł w moje życie, gdy opłakiwałam utraconą miłość. Przypuszczam, że nie były to dla niego zbyt szczęśliwe chwile. Byłam wtedy okropna. Dla niego i dla Luizy. Ale czas wszystko zmienia, moje dziecko. Wypłakałam całą rozpacz, a życie toczyło się dalej. Byłam młoda i chciałam żyć, zaznać jeszcze radości, szczęścia, mieć dom, rodzinę...

A Kazimierz trwał przy mnie wiernie, taki dobry, cierpliwy, taki kochający. Luiza bardzo się ucieszyła, gdy przyjął jego oświadczenia. On już pracował, miał służbowe mieszkanie, ja kończyłam studia, czas był dobry na życiowe decyzje.

- Kochałaś go wtedy, mamó? - spytała Olga nieśmiało. Trochę bała się odpowiedzi, ale zaszła już tak daleko w odkrywaniu rodzinnych tajemnic, że nie mogła się teraz cofnąć.

Sabina nie odpowiedziała od razu. Czy dziś postąpiłaby inaczej? Nigdy nie żałowała swej decyzji...

- Myślę, że tak, chociaż wtedy nie do końca zdawałam sobie z tego sprawę. Miałam złamane serce i nie wierzyłam, że mogę po raz drugi pokochać kogoś równie mocno. Twój ojciec był... był najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się wówczas przytrafić. Naprawdę mnie kochał. A ja... cóż, bardzo tego potrzebowałam. Jak każdy. Zaufałam mu całkowicie, dałam mu oparcie i poczucie bezpieczeństwa, wiedziałam, że będzie dobrym mężem i ojcem. Postanowiłam, że ja także będę dobrą żoną. Wiem, że na początku nie było mu ze mną łatwo, ale starałam się, naprawdę się starałam. I sądziłam, że potrafię sprawić, by był szczęśliwy, by nigdy nie pożałował swojej decyzji... - Uśmiechnęła się gorzko. - Nie udało mi się. Widzisz, córeczko, w każdym z nas jest dużo egoizmu. Mimo postanowień długo żyłam wspomnieniami, zamiast zamknąć definitywnie przeszłość, zaczęłam ją idealizować. Tak, dziwne to były czasy... - Mama zamilkła i znów spojrzała na swoje ukochane kwiaty, jakby to im opowiadała historię swego życia.

Olga stwierdziła, że relacje rodziców właściwie nie różnią się jakoś wyraźnie. Punkt widzenia był oczywiście inny, lecz sens tego rodzinnego dramatu dla obu stron był jasny. Wbrew temu, co mówił ojciec, czas okazał się jego sprzymierzeńcem.

Sabina spojrzała na córkę z wyraźną troską.

- Jesteś już dojrzałą kobietą, Oluniu, choć czasem zachowujesz się jak dziecko, a dla mnie zawsze pozostaniesz dzieckiem. - Uśmiechnęła się czule. - Z tego, co widzę, też przeżywasz trudne chwile i nie jesteś pewna swoich wyborów. Taka pewność to rzadki luksus. Liczy się tylko to, czego naprawdę pragniesz. Chcę ci tylko powiedzieć, że wszystkie teorie pryskają niczym bańka mydlana w zetknięciu z rzeczywistością. Tak jak teoria, że nie można wybaczyć zdrady, że zdrada niszczy związek. Czasami jest wręcz odwrotnie...

Olga wstrzymała oddech. Nagle zyskała pewność. Więc matka o wszystkim wiedziała! Dlaczego zatem została z ojcem? Czyżby mimo wszystko tak go kochała? Nic już z tego nie rozumiem, pomyślała. Jak to jest? Ten, kto kocha, zdradza, a ten, kto nie kocha, potrafi wszystko wybaczyć?

- Posłuchaj mnie, kochanie, ale niech ta rozmowa zostanie między nami. W końcu ujawniam nie tylko własne sekrety... Wiem, że dawałam twemu ojcu zbyt mało, i wiem, że próbował sobie ten brak zrekompensować. Chyba go nawet rozumiem, choć trzydzieści lat temu to był dla mnie cios. Cios, który otworzył mi oczy. Kazio przyzwyczaił mnie do tego, że jestem najważniejsza, że stanowią centrum jego świata. Brałam jego miłość jak coś, co mi się należy, jakby życie miało obowiązek odpłacić mi za tamten zawód i cierpienie. Nagle jednak okazało się, że mój zakochany mąż jest też mężczyzną, w dodatku atrakcyjnym, a wokół są inne kobiety gotowe dać mu to, czego nie dostał od własnej żony. To był szok. I policzek dla mojej miłości własnej. Czułam gniew, żal, upokorzenie, miałam pretensje do losu, dlaczego znów mnie to spotyka. Chciałam odejść. Choćby tylko po to, by go ukarać. Ale potem przeanalizowałam całe swoje życie. I wiesz... Wnioski zaskoczyły nawet mnie. Wreszcie postawiłam sobie jasne pytania i dałam jasne odpowiedzi. Na pytanie, „Czy Kocham męża?“, odpowiedź była twierdząca. Wtedy już wiedziałam to na pewno. Na pytanie, „Czy mogłabym bez niego żyć?“ - również. Owszem, mogłam, tyle że już nie chciałam. Chciałam, żeby wszystko było jak dawniej, chciałam spędzić z nim resztę życia i wiedziałam, że będzie ono dobre i szczęśliwe. A kiedy nieoczekiwanie wpadł do domu jak burza następnego dnia, wystarczyło mi jedno spojrzenie, by zrozumieć, że chce tego samego i że też ma za sobą życiowy rachunek sumienia... Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Nasze wspólne życie znalazło wreszcie właściwy tor i tak jest do dzisiaj. - Sabina spojrzała na córkę. - Bardzo jesteś zbulwersowana?

- Nie, chyba nie... Tylko trochę namieszaliście mi w głowie.

- Aha, zapewne. Okazało się, że rodzice są nie tylko rodzicami, że mają jakieś własne życie, a nawet - o zgrozo! - tak zwaną przeszłość. Prawie każdy ma, córeczko... No, ale przecież nie o mnie miałyśmy rozmawiać, tylko o tobie...

Słońce już zaszło i w szklarni panował półmrok, a one wciąż jeszcze siedziały ukryte przed światem wśród pachnących pąków róż i rozmawiały. O życiu, o mężczyznach, o miłości i zdradzie, o własnych planach i marzeniach. Rozmawiały jak nigdy dotąd. Liczyło się nie tylko to, że Sabina zobaczyła w swej córce partnerkę, lecz przede wszystkim to, że Olga zobaczyła w matce także kobietę, która gubiła się we własnych uczuciach, ale szukała i odnajdywała swą drogę. Opowiadała jej więc po raz pierwszy bez wahań i autocenzury o swoim życiu z Markiem, o swoich wątpliwościach i niepokojach.

Gdy wracały przez podwórze do domu, wilgotny chłód przenikał ciemność nocy, a na niebie świeciły miliony gwiazd. W oknach leśniczówki paliły się światła, obiecując ciepło, bezpieczeństwo, czyjaś obecność i... kolację. Już na ganku snuł się słaby zapach duszonych grzybów, widomy znak, że pan domu wrócił wcześniej z pracy i przygotowuje dla swoich kobiet popisowe danie własnego pomysłu - grzyby duszone w śmietanie z odrobiną białego wina, leśnego miodu, jałowca i czegoś jeszcze.

Wchodząc do rozświetlonej kuchni, Olga pomyślała, że to był jednak dobry dzień. Wszystko wokół było takie bliskie i znajome, a przecież od teraz zupełnie inne.

Wolne dni płynęły szybko i dzień wyjazdu zbliżał się nieubłaganie. Leśniczówka stanowiła idealną scenerię do rozważań i Olga nabierała dystansu, ze spokojem analizowała swoje krakowskie, perfekcyjnie poukładane życie, które na nią czekało. Tego ranka przez godzinę błąkała się po leśnych manowcach i gdy w końcu weszła do kuchni, zastała Luizę samotnie kończącą śniadanie.

- Gdzie wszyscy? - zdziwiła się.



- Kazik został pilnie wezwany przez szefostwo, a Sabina przegryzła byle co i pognęła do swoich kwiatków. Coś jej się tam znowu wykuło. To znaczy chyba zakwitło. Siadaj. Tobie się przyda śniadanie, a mnie towarzystwo.

Oldze nie trzeba było dwa razy powtarzać. Po porannym rozruchu czuła pustkę zarówno w głowie, jak i żołądka. Pół godziny później sprzątnęła resztki ze stołu, pozmywała naczynia i zwróciła się do Luizy:

- Co byś powiedziała na mały spacer, ciociu? Na przykład w stronę Białej Polany?

- O, a co to za dzień dobroci dla starych, niedołączonych rezydentek? - Luiza uśmiechnęła się ironicznie. - Wiem, sumienie cię gryzie. Przywiozłaś mi książki i myślałaś, że masz kłopot z głowy, a już pogadać to nie masz czasu...

- Ależ ciociu! Od tygodnia nic innego nie robię, tylko z wami gadam. I to niestety najczęściej przy stole... - Olga ostentacyjnie pogładziła rękami swoje zupełnie smukłe biodra.

- Nie wyjdzie mi to na dobre, oj nie...

- Rozmowy też nie zawsze wychodzą na dobre. A zwłaszcza o przeszłości... - Luiza spojrzała przenikliwie na siostrzenicę.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała niepewnie Olga.

- Wiesz doskonale, słonko. To co z tym spacerem? Idziemy, to znaczy jedziemy?

- Oczywiście. Gdzie chcesz?

- Wiem, ty byś mnie najchętniej wywiozła do lasu, ale las to ja mam na co dzień. Kurs na Kalinową Górę, kotku. Chcę sobie trochę popatrzeć na ludzi.

Olga chwyciła rączki wózka i wprawnie skierowała go w stronę furtki, za którą skręciły na drogę prowadzącą do wsi. Las zostawiły za sobą, a przed sobą widziały wstęgę zwartej zabudowy, z czarno - żółtą szachownicą pół po obu stronach. Miejscami zieleniły się wąskie paski buraków lub ziemniaków. Gorzki zapach ziemi i dymu mieszał się ze słodką wonią płynącą z niedalekich sadów, gdzie dojrzewały już jabłka, renklody, mirabelki i wczesne gruszki. Luiza zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Wiesz, moja droga, całe dorosłe życie spędziłam w dużym mieście, a na starość wróciłam na wieś, jak się wraca do korzeni, do domu. Jakbym wróciła do siebie samej z czasów dzieciństwa... I wiesz co? Strasznie mi z tym dobrze.

Olga uśmiechnęła się, patrząc na siwą głowę ciotki. Kiedyś podziwiała ją za niezależność, obojętność na opinię świata, optymizm i energię. A teraz? Teraz to była stara kobieta, chora, przykuta do wózka, zależna od innych - i mimo to wcale się nie zmieniła. Miała dar akceptowania wszystkiego, co niosło życie, czego Olga czasami nawet jej zazdrościła.

- Czy ten twój niepoprawny optymizm jest wrodzony, wyuczony, czy też przychodzi sam w pewnym wieku? - spytała mało delikatnie, wypominając ciotce starość.

- Oczywiście, że przychodzi w pewnym wieku! - roześmiała się Luiza. - Pod warunkiem że się na niego pracuje całe życie i dostało się odgórnie spory przydział. A ja dostałam, bo zmartwienia i pesymizm wzięła sobie Sabina. - Zerknęła kpiąco przez ramię na Olę. - Tobie też by się przydało trochę optymizmu, bo wyglądasz ostatnio jak siedem nieszczęść. Chcesz mojej rady? Potrzebna ci nowa miłość.

- Po co mi nowa, skoro nawet ze starą nie umiem sobie poradzić? - rzuciła Olga impulsywnie.

- Właśnie - stwierdziła Luiza triumfalnie. - Skoro to wiesz, to już nie jest najgorzej. Wszystko dlatego, że pomieszały ci się pojęcia - mylisz miłość z zakochaniem.

- A to taka straszna różnica? - zaśmiała się Olga. - Ja myślałam, że raczej różne fazy tego samego uczucia.

- A gdzie tam! - zaoponowała ciotka. - Pewnie, że czasem zakochanie przechodzi w miłość, ale to się zdarza znacznie rzadziej, niż się powszechnie uważa. Wiem, co mówię, bo miłość przeżyłam tylko raz, a zakochana byłam... sama nie wiem, ile razy. Czasami całkiem

platonicznie, a czasem nie... - zaśmiała się w sposób, który najzupełniej kłócił się z całą jej postacią: z jej zmarszczkami, siwymi włosami upiętymi w koczek i stopami w wełnianych pantoflach.

- Oj, ciociu...

- Ależ Oluniu, chyba nie zamierzasz mnie strofować jak Sabina. A jeśli o ciebie chodzi, słonko, to nie gniewaj się, ale całe to twoje długie narzeczeństwo - bo trudno coś tak nudnego nazwać romanssem - to typowy przykład uczuciowej pomyłki. Nie zarzucam ci obłądy, nie. Myślę, że byłaś w tym swoim Marku naprawdę zakochana, ale to już minęło bezpowrotnie, bo zakochanie ma to do siebie, że z założenia jest krótkotrwałe. Chyba oboje przegapiliście odpowiedni moment. Więc zamiast teraz rzucać się jak ryba w sieci, powinnaś sprawę szybko i w miarę kulturalnie zakończyć.

- Łatwo powiedzieć... - mruknęła Olga.

Nie próbowała się nawet oburzać, przyzwyczajona do bezpośredniości i soczystych określeń Luizy.

- Widzisz, dziecko - zaczęła ciotka poważnie - miłość jest trochę jak duch, wszyscy o niej mówią, ale niewielu ją widziało. Ja widziałam. I tego nikt i nic mi nie odbierze. Ani starość, ani nawet śmierć. Pytałaś o źródło mojego optymizmu. - Uśmiechnęła się. - Widzisz, łatwo się pogodzić ze światem i ze sobą, gdy się nosi w sercu taką tajemnicę.

- Czy to się zdarza tylko raz? - spytała Olga z ciekawością - Skąd wiadomo, że to już, teraz? A inni? Sama mówiłaś, że zakochiwałaś się wiele razy... A ten malarz...? - zająknęła się, ale nie cofnęła. - Ten, którego mama też później spotkała? Luiza spojrzała na nią z kpiącą przenikliwością.

- Ach, o to ci chodzi... Chcesz usłyszeć barwną, romantyczną opowieść? Czemu nie? Skoro Sabina już cię wtajemniczyła w nasze babskie sprawy... Zjedź tam - wyciągnęła rękę, wskazując łąkę porośniętą nieskoszoną trawą, poprzątaną gęsto rumiankiem i dziurawcem. - Zrobimy sobie postój, bo to dłuższa historia.

Olga ustawiła wózek tak, by słońce nie raziło ciotki, i z przyjemnością wyciągnęła się w pachnącej, suchej trawie. Luiza chwilę milczała, jakby przywołując ukryte gdzieś głęboko wspomnienia, a gdy zaczęła mówić, znikły gdzieś jej zwykła ironia i niefrasobliwość.

- To ja ich poznałam ze sobą. Zawsze tego żałowałam. Nie ze względu na siebie, ze względu na Sabinę. Widzisz, na początku byliśmy parą. Gdy go poznałam, byłam jeszcze studentką, a on dopiero zaczynał błyskotliwą karierę. To był krótki, burzliwy romans. Szybko się zorientowałam, że mnie wykorzystuje, że próbuje mną manipulować. Miał temperament egocentryka i despoty, a ja nie byłam tak naiwna i uległa, jak mogło mu się na początku wydawać. Odeszłam bez wielkiego żalu i poczułam się wolna. Chyba go to trochę... ubodło.

Gdy Sabina przyjechała do Krakowa studiować, zamieszkała u mnie. Pracowałam już wówczas i byłam niezależna. Zabrałam ją na jakąś wystawę, gdzie go spotkała i niestety zakochała się od pierwszego wejrzenia - naiwną, idealistyczną, niedojrzałą miłością. Był dla niej mentorem i chyba podobała mu się ta rola. Sabinka była bardzo młoda, śliczna i zapatrzona w niego jak w obraz. Widzisz, moja droga, nie wiem tak naprawdę, czy był w niej zakochany. Nie pochlebiam sobie ani też nie mam o nim aż tak złego zdania, by myśleć, że zrobił to z zemsty. Dość, że zdobył miłość Sabiny nawet bez większych starań. A potem... potem nastąpiła katastrofa, której chyba podświadomie się spodziewałam. Porzucił ją, zasłaniając się swoją sztuką. Zresztą, wiesz. I te wszystkie bzdury, jakich jej naopowiadał, rozgniewały mnie najbardziej, zwłaszcza że ona w nie wierzyła. Kilka miesięcy później dotarła do nas jednak wiadomość o jego ślubie. Anielka była córką dyrektora największej w tamtych czasach krakowskiej galerii, człowieka o wielkich możliwościach i rozległych kontaktach. Bez wątpienia otwierało mu to nowe drogi i ułatwiało karierę. Nie minęło wiele czasu i dzięki teściowi wyjechał na stypendium do Paryża. Oczywiście bez żony. Tak czy inaczej, Sabina była w rozpacz. Jedyne, co mogłam zrobić, to być przy niej. Nie umiałam jej

wytłumaczyć, że może dobrze się stało, że lepsze krótkie cierpienie teraz niż złamane życie później. Że to nie był mężczyzna, z którym można budować wspólną przyszłość.

Kiedy poznałam twego ojca - ciągnęła ciotka - utwierdziłam się w przekonaniu, że wszystko to miało jakiś sens i że teraz już będzie dobrze. Wiedziałam, że Kazimierz może jej dać szczęśliwe, spokojne i bezpieczne życie. I nie pomyliłam się, choć wiem, że przechodzili trudne momenty.

Olga próbowała wyobrazić sobie tego mężczyznę, który tak zamieszał w życiu jej matki i o mały włos nie poróżnił jej z siostrą. Ciotka też widocznie o tym pomyślała.

- Początkowo Sabina o wszystko obwiniała mnie - powiedziała cicho. - Wiedziała o naszym romansie. Nie umiem powiedzieć, czy była zazdrosna, ale uważała chyba, że odegrałam jakąś rolę w jego odejściu.

- Była przekonana, że to ciebie kochał naprawdę, ale ponieważ go odrzuciłaś, zwrócił się ku niej. Że była zamiast. Właśnie tego długo nie mogła ci wybaczyć - wyjaśniła Olga bez wahania. Uznała, że czas już skończyć z niedomówieniami i przegonić cienie przeszłości, by wyprostować wszystkie domowe relacje.

- Ach, mój Boże... Więc aż tak... Szkoda, że nigdy nie powiedziała mi tego wprost, wszystko bym jej wyjaśniła.

- Postanowiła sama uporać się ze swoimi demonami, tak jak ją uczyłaś.

- No tak, powinnam się była domyślić... - westchnęła Luiza i zamilkła, ale po chwili wróciła do przerwanej wątku: - Po ich rozstaniu nasze stosunki były bardzo napięte, stopniowo jednak wszystko wróciło do normy. A potem każda poszła swoją drogą. Sabinka wyszła za Kazia, a ja odetchnęłam z ulgą i przestałam się o nią martwić. Wyjechałam do Łodzi, zachęcona przez Emilkę, która świetnie sobie radziła, projektując tkaniny. Nie zabawiłam tam długo. Tęskniłam za Krakowem, a gdy wróciłam, poznałam Daniela.

- A co się stało z tamtym mężczyzną?

- Nigdy więcej go nie spotkałam - powiedziała Luiza. - I z tego, co wiem, Sabina również. Oczywiście docierały do mnie strzępy informacji - o jego spektakularnych sukcesach i równie spektakularnych porażkach, o jego romansach, jakichś skandalach. Nie wiem, jak potoczyły się jego losy, nie wiem nawet, czy żyje... Oto cała historia. Wcale nie taka romantyczna, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka. Moje zakochanie było krótkie i szybko się wyleczyłam. Sądzę, że Sabina też by się wyleczyła, gdyby to trwało dłużej. Chociaż kto wie... Ważne, kochanie, żebyś ty też żyła tak, jak chcesz. Nie tak, jak wypada, nie tak, jak chcą inni, nie, żeby komuś sprawić przyjemność.

- To wcale nie jest łatwe...

- Pewnie, że nie jest - odparła z prostotą ciotka. - Ale warto. Wiem, bo tak właśnie żyłam. Ludzie patrzą na mnie z litością i myślą: „Ot, niedołączna staruszka, która wiele przeszła”. A ja przecież dostałam od życia bardzo dużo. Może zbyt dużo. Tuliłam w ramionach ukochanego mężczyznę, zaznałam słodczy bycia matką. Umiałam zdobyć uznanie i szacunek, a nawet pieniądze. To prawda, że niemal wszystko to straciłam. Ale miałam. A większość ludzi całe życie o tym tylko marzy. Może więc muszę zapłacić teraz za wszystko samotnością, cierpieniem, no i tym! - uderzyła otwartymi dłońmi o poręczkę swego nowoczesnego wózka.

Olga patrzyła na ciotkę z podziwem i uwagą.

- Spróbuj tak żyć, dziecko, żebyś też nie musiała niczego żałować - dodała Luiza na zakończenie.

Dwa dni później Olga znów siedziała w autobusie. Wracła do Krakowa odmieniona, z nową siłą do zmagania z życiem. Nie wiedziała jeszcze, jak postąpi, ale była bliska rozstrzygających decyzji. Skoro matka i ciotka miały dość siły, by podążać własną drogą, to może ja też sobie poradzę, myślała teraz, z nosem przyklejonym prawie do szyby. Jak to

powiedział Igor? Że talenty dziedziczy się w naszej rodzinie po kądzieli... Może siłę i niezależność również.

Późnym wieczorem Sabina bez pukania weszła do pokoju siostry i bez żadnych wstępów spytała:

- Jak myślisz, co ona zrobi? Znasz ją chyba lepiej niż ja...

- Wiesz, że to nieprawda - odparła Luiza spokojnie. - Cóż, myślę, że jest dość silna, żeby odejść. Żeby zacząć wszystko od początku. Wydaje mi się, że teraz najbardziej potrzebuje wolności...

- Myślisz, że to dobrze? Wydawało się, że poukładała sobie życie. Przez krótką chwilę byłam nawet o nią spokojna.

- Przestań, Sabinko, nie układa się życia z pierwszym facetem, który zawrócił nam w głowie. Dobrze o tym wiesz... - dodała twardo.

Sabina spojrzała na siostrę z wahaniem.

- Wszystko jej opowiedziałam. O naszej młodości, o naszych błędach, miłościach i rozstaniach... - powiedziała.

- Wiem. - Luiza się uśmiechnęła. - Dorzuciłam do tego swoje trzy grosze.

- Ach tak. Może to i dobrze. Niby każdy uczy się tylko na własnych błędach, ale ona ma taki analityczny umysł, że może wyciągnie z tego jakieś wnioski.

- Nie martw się, moja droga. Olga jest mądrą dziewczyną. Da sobie radę.

Sabina podeszła już do drzwi, ale odwróciła się w progu na dźwięk swego imienia. Luiza patrzyła na nią poważnie.

- Posłuchaj... wtedy... To nie była moja wina, że odszedł, nie miałam z tym nic wspólnego, Sabinko. On nie kochał nigdy żadnej z nas.

W ciszy, jaka zapadła, siostry patrzyły na siebie bez słowa, jakby spojrzeniem można było wymazać żale i niedomówienia sprzed lat.

- Wiem - odparła spokojnie Sabina i uśmiechnęła się lekko do siostry. - Śpij dobrze.

Odwróciła się i zamknęła za sobą drzwi. Poszła w stronę otwartych drzwi kuchni, która wabiła światłem i ciepłem, gdzie przy stole siedział Kazimierz z filiżanką herbaty, czekając na wspólne podsumowanie dnia.

## V

Kraków przywitał Olę zgaszoną zielenią i prawdziwie letnim upałem. Z żalem patrzyła na ukochane kasztanowce, które powoli poddawały się chorobie. Ich liście koloru rdzy zwijały się niczym kartki papieru nad płomieniem świecy. Owoce tylko z rzadka ozdabiały żałośnie obnażone gałęzie.

Do domu dotarła późnym popołudniem. Przejrzała zaległą pocztę, którą Marek odkładał dla niej na kuchennym stole - nic ważnego, poza listem od Marty. Olga zrobiła sobie mocną kawę z wanilią i zasiadła do lektury.

Marek wrócił wcześniej niż zwykle i w świetnym humorze. Miał w pracy dobry dzień, wszystko układało się po jego myśli, więc postanowił miło spędzić również wieczór. Rozejrzał się po mieszkaniu w poszukiwaniu Olgi, po czym skierował się do pracowni. Pochylała się nad stołem pokrytym stertą szkiców. Zmarszczył brwi, widząc, że znów poprawia rysunek Piety Podszedł i pocałował ją w kark.

- Witaj, skarbie. Jak było u rodziców?

- W porządku. Jak zwykle sympatycznie. Dopytywali się o ciebie - powiedziała. - Odpoczęłam, rozleniwiałam się, ale wracam do pracy.

- Masz na myśli to? - ruchem głowy wskazał kartony leżące na stole.

- Nie. Mam na myśli projekty dla Syriusza. To nie jest praca, to moje marzenie - zauważyła chłodno.

- Mniejsza o nazwę. - Marek machnął niedbale ręką. - Co byś powiedziała na dobrą kolację przy winku, a wcześniej może kino i jakaś knajpka?

- Masz wolny wieczór? - zdziwiła się. - OK. Sprawdź, co grają w Kijowie.

Wieczór był rzeczywiście udany, jak według przepisu dla aktywnych zawodowo i towarzysko trzydziestolatków. Kino, kolacja, na zakończenie klimatyczna kawiarnia Ariel na ulicy Szerokiej. Przedzwoniła też Weronika.

- Znajdziesz dla mnie trochę czasu jutro? Mam sprawę - zapytała lekko konspiracyjnym tonem.

- Jasne. Może być po południu? Rano muszę być w wydawnictwie.

Umówiły się na siedemnastą w ogródku przy Rynku, chcąc wykorzystać jeszcze ostatnie uroki lata. Olga wracała do domu nieco zaintrygowana - Weronika rzadko miewała sprawy do obgadania. Chętnie doradzała innym, ale rzadko prosiła o coś dla siebie.

Zatrzymali taksówkę na Karmelickiej, żeby trochę się przespacerować. Minęli wejście do parku i skręcili przy kinie Mikro. W czasach studenckich Olga bywała tu co najmniej raz w tygodniu, teraz nie miała już na to czasu. Spojrzała na Marka i wsunęła mu rękę pod ramię. Kiedyś taki nocny powrót do domu to było samo szczęście, pomyślała, wsłuchując się w szum ukochanego miasta. Kiedyś.

Rano wzięła szybki prysznic, wypila mocną kawę na dobry początek dnia i pobiegła do wydawnictwa. Dochodziła siedemnasta, gdy wyszła z ulicy Mikołajskiej, szybkim krokiem minęła kościół Mariacki i skręciła w stronę uzgodnionego ogródka. Już z daleka dostrzegła seledynowy kostium Weroniki. Zbliżyła się do stolika, rejestrując po drodze wszystkie męskie spojrzenia, biegnące w stronę przyjaciółki.

- Jak zwykle robisz furorę - powiedziała zamiast powitania.

- Ja? - zdziwiła się Weronika i posłała jej niewinny, wystudiowany uśmiech. Tylko w jej oczach czaiły się iskierki humoru. - Nie wiem, o czym mówisz, moja droga.

- Aha, na pewno. Nie patrz na mnie w ten sposób, nie jestem facetem, żeby się na to nabrać.

Olga przestawiła nieco wiklinowy fotel, żeby mieć widok na cały Rynek. Przywołała kelnera, zamówiła kawę, lampkę czerwonego wina i ciastko z bitą śmietaną. Weronika uniosła brwi i spojrzała krytycznie, ale nie skomentowała tego wyboru.

- No dobrze, chciałaś się ze mną zobaczyć, żeby porozmawiać - zaczęła Olga. - Ale proszę cię, o nic mnie nie pytaj. A przede wszystkim nie pytaj mnie o Marka, o moje życie uczuciowe i osobiste plany. Ostatnio wszyscy jakby się sprzysięgli, żeby drażyć ten temat.

- Może dlatego, że twoje życie emocjonalne się sypie - zauważyła Weronika spokojnie, zupełnie niezrażona przemową przyjaciółki.

Olga zakrztusiła się łykiem wina, wytarła usta serwetką i posłała jej spojrzenie pełne wyrzutu.

- Cholera. Jak ty coś spuentujesz, to jakbyś przywaliała w szczękę. Nie chcę o tym rozmawiać.

- W porządku. To twoje sprawy. Jak będziesz chciała pogadać, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Wiem.

Zapadła cisza. Weronika patrzyła na przyjaciółkę i czekała. Sprawa jest zamknięta, pomyślała. Ja to wiem, wszyscy to wiedzą, ale ona jeszcze walczy. Cóż, brak wprawy. Zakochać się potrafi każdy. Umiejętnie i we właściwym czasie rozstać się - to już trzeba umieć. Z Olgi tymczasem spłynęła cała wojowniczość.

- Widzisz, Nika - powiedziała - pogubiłam się. Nie chodzi mi tylko o Marka, o to, co się między nami dzieje. Ostatnio wszystko, co wydawało mi się pewne, trwałe i bezpieczne, okazuje się złudzeniem. Czy to moja wina? Jestem zbyt naiwna, nierozgarnięta albo skupiona na sobie, że nie potrafię rozpoznać, co jest prawdziwe, a co nie? Nic nie jest takie, jak myślałam. Wszyscy próbują mnie oszukiwać. Rodzice, Marek...

- Nie pochlebiaj sobie. Wątpię, by specjalnie starali się wprowadzić cię w błąd. Po prostu każdy żyje po swojemu. Każdy dokonuje własnych wyborów, dla siebie, a nie po to, by spełniać cudze oczekiwania.

- Ale zrozum! To najbliżsi mi ludzie... A okazuje się, że nic o nich nie wiem.

- To nie ich wina. Może widziałaś tylko to, co chciałaś widzieć. - Weronika jak zwykle nie owijała w bawełnę. - Może sądziłaś po pozorach, wyrobiłaś sobie błędne opinie, a potem kurczowo się ich trzymałaś.

Olga nie miała zamiaru się poddać.

- Ale to by znaczyło, że wszyscy stwarzamy pozory, że wszyscy coś udają.

- To tylko twoje wyobrażenia. - Weronika była konsekwentna. - To tak jak... - chwilę szukała porównania - jak z konfekcją. Poznajesz kogoś ubranego akurat w płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz. Tworzysz sobie jego obraz i rejestrujesz go. Spotykasz go kilka dni później w kolorowej koszuli i džinsach i jesteś oburzona. Dlaczego on się przebrał za kogoś? Dlaczego coś udaje? A to przecież ciągle ten sam człowiek. Nie jesteśmy w stanie poznać do końca innych ludzi, czasem nawet siebie. Dlatego tworzymy schematy, żeby mieć coś, na czym można się oprzeć. A życie jest nieprzewidywalne. Tak samo ludzie. I to jest jedyna pewność.

- Może masz rację - westchnęła Olga. - Ale niełatwo to zaakceptować.

- Pewnie, że niełatwo. Świat jednak nie zapyta cię o zgodę. Jest, jaki jest.

Zamilkły. Każda myślała o czymś innym, bo obie nosiły w sercu rozczarowania i wątpliwości. Pierwsza zreflektowała się Olga:

- Dajmy spokój tym ponurym rozważaniom. Przepraszam cię. Gadam tylko o sobie, a przecież spotkałyśmy się w twojej sprawie.

- Właściwie to niezupełnie moja sprawa. Chodzi o Cyryla.

- O Cyryla? - zdziwiła się Olga. - Co z nim? Coś się stało?

- Owszem, stało się. Ten jego wymuskany stylistą, z którym układał sobie życie, rzucił go dla jakiegoś małolata. No i Cyryl jest w rozpacz. Jesteście ze sobą bliżej... Może z nim porozmawiasz?

- Daj spokój, przecież to nie pierwszy raz. Uczuciowe zawirowania w życiu Cyryla to zjawisko permanentne. Porozpacza, napisze kolejne mroczne opowiadanie i poszuka sobie nowej fascynacji.

- Tym razem było chyba inaczej. Sprawa była poważna. - Weronika zrobiła pauzę. - Myślałam, że wiesz...

Olga się zmieszała. Cyryl był przecież jej przyjacielem, mimo to wiedziała o nim zdumiewająco mało. Traktowała ten układ bardzo egoistycznie i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Nigdy nie pytała o jego życie, nie wnikała w sprawy osobiste. Sądziła, że to przez delikatność, ale czy rzeczywiście? Zrobiło jej się przykro. Może on też potrzebował rady i pociechy? Nigdy nie wyciągnęła do niego pomocnej dłoni, bo uważała, że jest silny i taki jakiś samowystarczalny. Przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Weronika była jednak pewna swego. Zaczęła liczyć w myślach. No tak, ta ostatnia fascynacja trwała podejrzanie długo, prawie dwa lata. Cyryl sporo mówił o Krzysztofie i był dumny z jego sukcesów. Mieli przecież wspólnie kupować mieszkanie... A teraz wszystko się rozpadło.

- Opowiedz mi, co się właściwie stało - poprosiła.

- W sumie niewiele wiem - odparła Weronika. - Kris jest znany w kręgach towarzyskich, imprezowych, więc dość szybko rozeszła się wieść o jego romansie z jakimś niezidentyfikowanym maturzystą. Wiesz, jak smakowite są takie skandalizujące ploteczki, nawet jeśli są nieprawdziwe, a co dopiero, gdy okazują się faktem. Dzwoniłam do Cyryla, żeby go trochę wybadać, ale był nieuchwytny. Kilka dni później Karolek powiedział mi, że ostro pił u niego przez trzy wieczory, czego przecież nigdy nie robi, a na koniec sprowokował awanturę. Karolek załagodził sytuację, ale ponoć było dość nieprzyjemnie. Znów zadzwoniłam. Tym razem odebrał. Początkowo miałam wrażenie, że zupełnie nie dociera do niego, co mówię, lecz w końcu chyba dotarło, bo w sposób bardzo mało kulturalny kazał mi się zająć własnymi sprawami. To wszystko - przerwała na chwilę i dodała nieoczekiwanie: - Lubię go.

Olga spojrzała na przyjaciółkę ze zdumieniem. Taka deklaracja była u niej czymś niecodziennym.

- Dzięki, że o mnie pomyślałaś - powiedziała. - Porozmawiam z nim. I zrobię, co będę mogła.

Jeszcze tego samego wieczoru Olga zadzwoniła do Cyryla. Nie odebrał, ale próbowała kilkakrotnie, wierząc w słuszość zasady: „pukajcie, a otworzą wam”. Wreszcie stracił cierpliwość, a może zaimponowała mu jej determinacja.

- Uparta jesteś - zaczął bez powitania i Olga usłyszała w jego głosie cień uśmiechu.

Doszła do wniosku, że może jej zadanie nie będzie tak trudne i beznadziejne, jak sądziła.

- Pewnie, że tak. Nie wiedziałeś? To czasem pomaga w życiu - odparła i zapytała wprost: - Porozmawiasz ze mną?

- Nie. Nie chcę rozmawiać. Z nikim - powiedział twardo, lecz po chwili dodał łagodniejszym tonem: - Nie teraz, jaskółeczko. Jest zbyt wcześnie.

- Życie uczy, że nigdy nie jest zbyt wcześnie. Najczęściej jest za późno. Będę u ciebie jutro. I nie próbuj się ukrywać. Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i westchnęła ciężko. Świetnie, tylko co ja mu powiem? - pomyślała. Nieraz pocieszała koleżanki przeżywające miłosne zawody, ale mimo wszystko było to coś innego. A może nie? Może porzuceni i zdradzeni kochankowie cierpią tak samo niezależnie od płci? Nie miała zbyt wielkiego doświadczenia w tej dziedzinie. Jej flirty i związki przed Markiem były mniej lub bardziej burzliwe, ale rozstania zwykle następowały „za porozumieniem stron” i najczęściej z jej inicjatywy. Hanka powiedziała kiedyś o niej, że nie jest typem kobiety, którą się porzuca. Rzeczywiście, jak dotąd los oszczędził jej tego typu przeżyć. Hanka! Właśnie, Hanka! Powinna do niej zadzwonić. Albo lepiej ją odwiedzić. Co

znaczą te problemy w porównaniu z tym, co ją spotkało? A przecież zasługuje na szczęście jak mało kto...

Hanka sprawdziła wszystkie sypialnie, zgasiła światło w jadalni i szła oświetlonym korytarzem w stronę swojego pokoju. Jej kroki odbijały się echem wśród pustych ścian. Nagle, powodowana jakimś wewnętrznym impulsem, usiadła na ławce stojącej pod ścianą z dziecięcymi rysunkami i pochyliła głowę. Zaczęła płakać. Tak po prostu. Za dnia nie pozwalała sobie na to - trzymała ją zajęcia z dziećmi, praca w ośrodku, nawet zwyczajne, prozaiczne czynności, które trzeba było wykonać. Teraz, w bezmiernej nocnej ciszy, poczuła się wolna - i łzy wreszcie popłynęły. Płakała nad Baśką, nad Amelką, a przede wszystkim nad sobą. Płakała z bezsilności, poczucia krzywdy, gniewu, tęsknoty i samotności - dopiero teraz uświadomionej, dotkliwej i bolesnej jak świeża rana. Nie wiedziała, jak będzie dalej żyć, gdy zabrakło nagle najważniejszych punktów orientacyjnych na jej drodze. W którą stronę pójść? Co robić? Czy warto w ogóle coś robić? Po co? I dla kogo?

Baśka była nie tylko jej siostrą, ale i przyjaciółką. Dawała jej wsparcie i pomoc w najtrudniejszych momentach, chociaż wydawało się jej, że Hanka coś dla niej poświęca, zwłaszcza w tych najtrudniejszych chwilach, po odejściu męża, gdy razem tworzyły dla Amelki dom. A teraz nie ma Baśki, nie ma Amelki, nie ma żadnego powodu, żeby się starać, żeby o coś zabiegać, żeby zмагаć się z losem...

Przycisnęła mocno dłonie do twarzy, wypuszczone na wolność łzy popłynęły między palcami, przynosząc chwilową ulgę. Gdzieś w korytarzu skrzypnęły drzwi, a potem cichy odgłos kroków obudził noc. Hanka przetarła szybko oczy i uniosła głowę, całą siłą woli próbując się uśmiechnąć. Przed nią stał mały, może ośmioletni chłopiec w piżamie w niebieskie słonie, z rozczochraną czupryną i zaspanymi oczami - Jacuś, jeden z jej ulubieńców. Chwilę patrzył na nią z prawie dorosłą powagą, a potem wyciągnął przed siebie rączki i zapytał, migając drobnymi palcami:

- Dlaczego płaczesz?

Hanka wzięła się już w garść. Pamiętała słowa starego profesora pedagogiki, że jednym z największych grzechów rodziców i nauczycieli jest pozostawienie dziecka bez odpowiedzi na jego pytanie. Bo to pytanie może być bardzo ważne, choć na takie nie wygląda, a brak odpowiedzi to brak miłości, brak szacunku to wyraźny sygnał lekceważenia, mówiący dziecku, że dorośli się z nim nie liczą, że jego potrzeby nie są istotne. Hanka starała się w swojej pracy nigdy tego grzechu nie popełniać.

- Widzisz, Jacusiu, czasami człowiekowi jest smutno i wtedy płacze. - Uśmiechnęła się do niego. - Chłopcy są dzielniejsi, ale wiesz, dziewczyny często płaczą.

- Wiem - odparł poważnie. - A dlaczego jest ci smutno? - Jacek nie zamierzał dać się zbyć ogólnikami.

Wpatrywał się w swoją opiekunkę i czekał na odpowiedź. Hanka przez chwilę się wahała, lecz ostatecznie zrezygnowała z wymyślania bezsensownych kłamstw. Dzieci, zwłaszcza te dzieci, doskonale wyczuwały wszelki fałsz.

- Masz siostrę, Jacusiu, prawda? - spytała łagodnie. - Lubisz ją?

- Czasami tak, ale nie zawsze. Nie lubię, jak zabiera moje samochody... - odparł.

- No widzisz. Ja też miałam siostrę Basię. I też ją czasami lubiłam - powiedziała. - Ale niedawno miała wypadek samochodowy. I już jej nie ma. Dlatego mi smutno - dokończyła.

Nie doceniła jednak wszechstronnej wiedzy Jacusia.

- Umarła? - zapytał przejęty.

Kiwnęła tylko głową, powstrzymując łzy.

- Nie martw się. Siostra Konstancja mówi, że kiedy dobrzy ludzie umierają, to idą do nieba i zostają aniołami. Czy twoja siostra była dobra?

I tym razem Hanka zdobyła się tylko na kiwnięcie głową. Coś podeszło jej do gardła, dławiąc oddech. Zacisnęła powieki i odwróciła głowę, ale łzy i tak popłynęły. Po chwili



poczuła na włosach ciepłą dłoń - Jacuś głaskał ją pocieszająco, jakby była jego ulubionym pluszakiem, lecz już za moment położył rękę na jej ramieniu, domagając się uwagi. Odetchnęła, wytarła oczy i spojrzała na ruchliwe rączki.

- Nie płacz. Anioły mają fajnie - powiedział. - Chciałbym być aniołem. Miałbym wtedy takie wielkie skrzydła i mógłbym wszędzie latać. I nie musiałbym jadać tej okropnej surówki z kapusty ani szpinaku, tylko frytki i lody, i rurki z kremem...

Hanka patrzyła w jego błękitne, ciekawe światła oczy i powoli spływało z niej całe napięcie, w którym żyła przez kilka ostatnich tygodni. Odwzajemniła uśmiech.

- Jesteś aniołem, Jacusiu - szepnęła. - Chociaż nie masz skrzydeł.

Pochyliła się i pocałowała dziecko w czoło, czując jednocześnie, jak drobne ramiona oplatają jej szyję. Po chwili chłopiec odsunął się, zamigał szybkie dobranoc i odmaszerował spokojnie do swojej sypialni. Hanka pozostała ze swoim smutkiem, który wciąż bolał, ale w ciemności, jaka wypełniała jej duszę, błysnęła na chwilę nadzieja świtu.

I pewnie ta nadzieja nie przetrwałaby, gdy nie to, że nazajutrz stała się bardziej realna. Hanka wzięła poranny prysznic i suszyła właśnie włosy, gdy dotarł do niej słaby dźwięk telefonu. Serce jej się ścisnęło, kiedy zobaczyła na wyświetlaczu poznański numer kierunkowy, ale pewnym, szybkim ruchem podniosła słuchawkę.

- Hanna Skawińska przy telefonie - powiedziała, gdyż w słuchawce odezwał się obcy kobiecy głos.

Minęła dłuższa chwila, zanim zorientowała się, kim jest ta kobieta i co próbuje jej wytłumaczyć. Mówiła szybko, niespokojnie i chaotycznie, a Hanna aż usiadła z wrażenia, gdy dotarło do niej, o co chodzi.

- Tak. Oczywiście. Rozumiem... - powiedziała, zwilżając językiem spierzchnięte nagłe usta.

Potok stów po drugiej stronie nie ustawał.

- Tak, ale proszę mi powiedzieć - to chwilowy kryzys, czy Sławek naprawdę podjął już decyzję? Oczywiście, wspólnie... Tak, to zrozumiałe. Nie, wręcz przeciwnie. Zgadzam się, najlepiej będzie, jeśli przyjadę. Tak. Zadzwoń wieczorem, wszystko ustalimy. Chciałabym z nim porozmawiać. Tak, dziękuję pani... Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę. Chwilę siedziała bez ruchu, próbując powstrzymać natłok pytań, myśli, nagłych pomysłów i planów, z których utajonego istnienia dotąd nie zdawała sobie sprawy.

- Jasny gwint! - powiedziała głośno.

Wsunęła palce w wilgotne jeszcze włosy i mocno pociągnęła, rozczesując gęste, jasne pasma. Tylko spokojnie, pomyślała, to wszystko może się okazać złudzeniem, wszystko się może jeszcze zmienić. Przecież mogła coś pomylić albo wziąć swoje pobożne życzenia za fakt. Ale może to prawda? Boże, spraw, żeby to była prawda...

Zerwała się z krzesła i zaczęła pospiesznie ubierać, jakby już teraz musiała gdzieś biec i coś robić, by nie pozwolić umknąć temu wcielonemu marzeniu. Gdy stanęła, gotowa do wyjścia, uświadomiła sobie, że dyżur zaczyna dopiero w południe. Ale nie mogła usiedzieć w pokoju. Muszę z kimś porozmawiać, pomyślała. Weronika? Nie, jest teraz zbyt zaabsorbowana tym swoim Maksem. Olga? Chyba już jest w Krakowie. Chwyła za telefon. Było dopiero kilka minut po dziewiątej, a Olga rzadko wychodziła do wydawnictwa przed dziesiątą...

Olga od rana planowała rozmowę z Cyrylem, więc kiedy zadzwonił telefon i usłyszała w słuchawce głos Hanki, trochę się zmieszła - odezwały się wyrzuty sumienia. Już po chwili jednak zrozumiała, że coś się musiało wydarzyć. W głosie przyjaciółki kipiały energia i optymizm.

- Wszystko w porządku? - spytała Olga podejrzliwie.

- Tak, to znaczy... Słuchaj, mogę do ciebie wpaść na poranną kawę? O której musisz być w pracy?

- Dzisiaj w ogóle nie muszę. Mam zaległe projekty do wykonania, więc zamierzam tyrać w domu...

- Super. Będę za pół godzinki - powiedziała Hanka pośpiesznie i wyłączyła się.

Minęło trochę więcej niż pół godziny, gdy Hanka pojawiła się na ulicy Lea. Olga już w drzwiach przyjrzała się jej badawczo: błyszczące oczy, energiczne ruchy i jakieś wewnętrzne napięcie przejawiające się w nadmiernej ruchliwości spokojnej zazwyczaj i opanowanej przyjaciółki. Poprowadziła ją prosto do kuchni, posadziła przy stole, podała kubek gorącej kawy, usiadła naprzeciwko i zapytała spokojnie:

- Mów, co się stało, Haniu. Wygrałeś w totka?

- Jadę jutro do Poznania po Amelkę... - powiedziała Hanka, a oczy jej się śmiały.

- Jak to? Przecież miała zostać z ojcem.

- No tak... Ale Sławek zrezygnował ze swoich ojcowskich ambicji. Po namyśle uznał, że lepiej będzie dla małej, jeśli zostanie w znanym środowisku, a on ją będzie tylko odwiedzał, zabierał czasem na weekend czy na wspólne wakacje - wyrecytowała jednym tchem i zrobiła pauzę. - Wiesz, myślę, że trochę się przeliczył, nie wziął pod uwagę wielu rzeczy, choćby opinii swojej żony, a tym bardziej córki. Zrobił to, co należało, co uznał za swój obowiązek, a nie to, czego naprawdę pragnął. Chciał dobrze, ale nie wiedział, na co się decyduje. I nagle w jego poukładane życie wkroczyło dziecko - niby własne, ale przecież trochę obce, nie noworodek, do którego można się stopniowo przyzwyczaić, ale duża dziewczynka z emocjami, poglądami, potrzebami. Po prostu mały człowiek, z którym nagle trzeba się liczyć, który ma swoje pomysły, kaprysy, smutki i który nie chce zaakceptować nowej sytuacji. Myślę, że to go przerosło...

- I co? Składa reklamację i oddaje dziecko? - zapytała Olga trochę zbyt ostro. - Przepraszam, to nie moja sprawa, ale wydaje mi się, że to trochę nie w porządku... A ty go jeszcze tłumaczysz.

- Pewnie tak... - przyznała Hanka niezrażona. - Ale ja się nie mogę oburzać. Zbyt wielką czuję ulgę, radość i wdzięczność, że Amelka do mnie wróci. Zresztą łatwo ocenia się tylko cudze decyzje...

Olga się zmieszała. Niepotrzebnie się wyrwała z tą krytyką. Przecież to naprawdę najlepsze rozwiązanie. Oburzyło ją tylko traktowanie dziecka jak zabawki.

- Masz rację - powiedziała ciepło. - Cieszę się, że będziecie razem.

- Wiesz... - wyznała Hanka po namyśle. - Ja go rozumiem. Przestraszył się. To normalne. Strach jest ludzki. Chociaż czasem... czasem płaci się za to bardzo wysoką cenę. Ja swoją zapłaciłam...

Olga spojrzała na nią ze zdziwieniem. Znów dostrzegła w jej oczach coś, co jej się nie podobało, jakąś obcość, twardość.

- Nie rozumiem, Haniu. Co ty mi właściwie chcesz powiedzieć?

Przyjaciółka nagle posmutniała. Wahala się przez chwilę, a potem podjęła decyzję.

- Pamiętasz? Powiedziałam ci kiedyś, że każdy ma taką ciemną stronę, do której niechętnie się przyznaje. Ja również...

- Powiesz mi?

- Tak. Chyba tak. Chyba wreszcie dojrzałam do tego, by komuś to opowiedzieć. Ostatnio w ogóle bardzo dojrzałam, choć niespecjalnie mi się to podoba - uśmiechnęła się gorzko.

- Chodź do pracowni. Co wolisz? Piwo czy wino? - spytała Olga. - Wiem, wiem, jest dziesiąta rano. Ale co z tego?

- Och, nie potrzebuję chyba wspomagania... chociaż kieliszek wina nie zaszkodzi.

Olga wyjęła butelkę czerwonego Carlo Rossi i poprowadziła przyjaciółkę krętymi schodami do pracowni.

Wnętrze wypełniało łagodne światło - wszystkie okna były odsłonięte. Hanka spojrzała na wciąż niedokończony obraz stojący na sztalugach, który Olga zapomniała zakryć. Na chwilę jej oczy znowu straciły blask.

- Więc to jest to... - powiedziała cicho do siebie.

Odwróciła się powoli i usiadła w fotelu. Była spokojna, poważna i skupiona. Olga naalała do kieliszków wina, usiadła na podłodze, podciągając kolana, i spojrzała wyczekująco na przyjaciółkę. Po chwili w jasnym, uporządkowanym wnętrzu pracowni popłynęła opowieść. Prosta. Prosta i banalna, ale słowa Hanki spadały w duszę Olgi jak kamienie, jak wyrzut, że nie umiała pomóc, pocieszyć, doradzić, że nie wiedziała...

Wszystkie dziewczyny z klubu z zaciekawieniem obserwowały rozwój wypadków, gdy gdzieś w połowie drugiego roku Hanka zakochała się w jednym ze swoich profesorów, żonatym i starszym od niej o dobre dwadzieścia pięć lat. Spotykali się dość często na gruncie towarzysko - naukowym. Ich wzajemna fascynacja trwała ponad rok, a potem umarła śmiercią naturalną - tak przynajmniej sądziła Olga. Kolejnej wiosny Hanka po prostu przestała o nim mówić, zaczytywać się jego wierszami, biegać na jego wykłady. Niedługo potem zachorowała, a lekarz stwierdził ostrą anemię. Przyjaciółki nie połączyły jednak ze sobą tych faktów. Zdała tylko jeden egzamin, resztę przełożyła na wrzesień i pojechała kurować się do ciotki, która mieszkała gdzieś na wybrzeżu. Po wakacjach wróciła w pełni sił.

Wydarzenia, o których Hanka opowiadała teraz Oldze, wypełniały ten schemat żywą treścią i zmieniały go w historię bardziej tragiczną. Okazało się, że związek z profesorem miał jak najbardziej przyziemne konsekwencje - tuż przed sesją Hanka dowiedziała się, że jest w ciąży.

- Jak to w ciąży?! - wykrzyknęła Olga, zanim zdążyła pomyśleć. - I co? Co się stało? Co zrobiłaś?

Hanka spojrzała na nią z goryczą.

- A jak myślisz? Miałam dwadzieścia dwa lata, studiowałam i utrzymywałam się ze stypendium, nie miałam męża, a ojciec dziecka... cóż, był moim mistrzem, moją miłością, ale także mężem innej kobiety i ojcem dorastających dzieci. Ani dla mnie, ani dla kolejnego potomka nie było miejsca w jego życiu...

Olga wpatrywała się w przyjaciółkę okrągłymi oczami, ze zdumieniem i lękiem, i coraz silniejszym współczuciem.

- Haniu, czy to znaczy, że ty...? - bała się słów, które miała wypowiedzieć.

Hanka przyszła jej z pomocą. Pewnie sobie też.

- Tak. Nie miałam wyboru. I tak strasznie się bałam - przerwała na chwilę i dokończyła cicho: - Ty nie wiesz, nie możesz wiedzieć, jaki to strach, gdy nagle całe życie się wali, gdy wszystko staje pod znakiem zapytania, gdy nie widać znikąd pomocy i nadziei... - Zacisnęła kurczowo dłonie, przywołując emocje sprzed lat. - A potem czuje się ulgę. Ale tylko przez chwilę, bo szybko przychodzą ból i pogarda dla siebie, i poczucie nieodwracalności tego, co się stało, i piętno winy, a przede wszystkim świadomość, że wszystkie te straszne uczucia nie przeminą i jeśli nawet czas je złagodzi, to i tak trzeba będzie z nimi walczyć przez resztę życia.

Olga milczała. Co mogła powiedzieć? Że jej przykro? Ani słowa pociechy, ani wyrazy współczucia czy zrozumienia nie były tu na miejscu. Wszyscy, pomyślała, wszyscy noszą w sobie jakieś mniej lub bardziej dramatyczne tajemnice. Nic nie jest takie, jak się wydaje.

- Gdybym wówczas odważyła się urodzić, moje dziecko miałoby dzisiaj tyle lat co Amelka - powiedziała Hanka głucho. - Baśka była silniejsza, mądrzejsza, była też starsza i miała Sławka... Widzisz, jakie to niesprawiedliwe, że zginęła? Z nas dwóch to ona była lepszym człowiekiem.

- Nie możesz tak mówić - sprzeciwiła się Olga. - Nie można ludzi porównywać w ten sposób: lepszy, gorszy. Każdy jest inny i każdy ma swoje zadanie. Ty także.

Patrzyła na przyjaciółkę, jakby widziała ją po raz pierwszy, i zastanawiała się, jak to możliwe, że mimo tych przeżyć zachowała taką radość życia, taki optymizm i życzliwość wobec świata. Może taka po prostu jest i nawet ta blizna na sercu nie mogła pokonać jej prawdziwej natury. Chyba że... no tak. Miewała przecież kilkudniowe chandry, gdy znikwała, zamykała się w domu, nie odbierała telefonów, z nikim nie rozmawiała. Przyjaciele wiedzieli o tym, ale nikt jakoś w to nie wnikał.

- A on? - spytała Olga cicho. - Czy on wiedział? Czy to on sprawił, że...

- Nie - przerwała jej Hanka stanowczo. - Do niczego mnie nie namawiał. Nie wiedział o dziecku. Sama podjęłam decyzję. Nie chciałam rujnować mu życia...

Oczywiście wzięła wszystko na siebie. Żeby go nie obarczać, żeby nie komplikować mu życia, żeby nie musiał niczego brać na swoje sumienie. A może bała się odrzucenia, upokorzenia, może chciała ocalić chociaż wspomnienie swojej miłości...?

Hanka spojrzała na zegarek. Dochodziło południe.

- Muszę się zbierać - powiedziała. - Za chwilę zaczynam dyżur. Trzymaj za mnie kciuki jutro.

- Jasne. Będzie dobrze, zobaczysz.

Stojąc już w drzwiach, Hanka odwróciła się i powiedziała cicho:

- Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

- A od czegoś są przyjaciele? - spytała retorycznie Olga i dodała: - Powodzenia jutro.

Gdy za Hanką zamknęły się drzwi, usiadła i zamyśliła się głęboko. Jej czoło przecięła pionowa zmarszczka. Nic nie wiem o ludziach, na których mi zależy, stwierdziła w duchu. Zapewne o Cyrylu również...

Wyszła z domu tuż po osiemnastej, chciała po drodze zrobić małe zakupy. Marek jeszcze nie wrócił z pracy, więc zostawiła mu kartkę z wyjaśnieniem, że będzie późno, żeby na nią nie czekał, chociaż pewnie i tak by nie czekał. Kupiła czerwone winogrona i butelkę hiszpańskiego Cava Lavit, które niedawno odkryła. Potem poszła na przystanek na Karmelickiej, bo Cyryl już w lipcu przeprowadził się do nowego mieszkania na Woli Duchackiej, kupionego wraz z Krisem. Ciekawe, jak podzieli ten świeży nabytek, pomyślała niewesoło.

Wciąż nie wiedziała, co właściwie chce mu powiedzieć czy co powiedzieć powinna. Wszystko wydawało się mało stosowne, niezbyt mądre i niepotrzebne. Ale przecież coś musi zrobić, by pomóc mu wyjść z tego letargu. Może wystarczy, że go wysłucham? Akurat to umiała robić całkiem nieźle...

Wysiadła z autobusu i ciekawie rozejrzała się wokół. Zadbane nowoczesne osiedle, najwyraźniej modne i drogie, ale na szczęście jeszcze bez ogrodzenia, krat, strażników i monitoringu. Odszukała właściwy numer i weszła na klatkę. Kiedy po trzecim dzwonku drzwi pozostały zamknięte, zaczęła tracić pewność siebie. Może pomyliła adres? Wprawdzie na drzwiach był numer, ale nie było jeszcze nazwiska. A może Cyryl mimo wszystko nie chce jej widzieć? Tego nie wzięła pod uwagę. Przycisnęła dzwonek jeszcze raz, długo i z determinacją. Po chwili drzwi się otworzyły.

- Naprawdę nie mogłaś zostawić mnie w spokoju? - spytał Cyryl z krzywym uśmiechem. - Chcesz się bawić w siostrę miłosierdzia? Spełniać uczynki co do duszy - nawiedzać chorych, pocieszać strapionych? OK. Tylko że ja jestem zupełnie zdrow i nie potrzebuję żadnej pociechy - wygłosił tę deklarację w progu, jakby nie zamierzał jej wcale wpuścić do środka.

Olga spojrzała na zmęczoną twarz przyjaciela, podkrążone oczy i cyniczny grymas. Nagle wszystko stało się proste. Wybrała taktykę, która sama się narzucała - żadnego

rozczulania się, żadnych ckliwych pociech, żadnych smętnych deklaracji przyjacielskiej pomocy. Nie tego mu trzeba, stwierdziła, raczej porządnego kopniaka.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze, mój drogi - powiedziała i nie czekając na zaproszenie, zręcznie go wyminęła. Znalazła się w słabo oświetlonym przestronnym holu.

- Dobrze, że pracujesz w radiu, a nie w telewizji. Zwolniliby cię chyba lub wysłali na urlop w celu poratowania zdrowia... czy raczej urody.

- I ty, Brutusie... - mruknął Cyryl, zamykając drzwi. - Myślałem, że przysłaś mnie pocieszać.

- Przecież ty nie potrzebujesz żadnej pociechy... - przypomniała z niewinną miną.

- Żmija.

- Ooo, nieładnie!

Olga zaczęła już wyjmować z torby zakupy: butelkę wina, koszyk winogron, a także świeże francuskie pieczywo, które Cyryl tak lubił, i żółty wędzony ser.

- Widzę, że robisz dzisiaj za dobrą wróżkę, jaskółeczko. Ale to nie zmienia faktu, że masz obrzydliwie cięty język.

- Czy w tym nadzwyczaj nowoczesnym apartamencie zaplanowano coś tak tradycyjnego jak kuchnia? - zapytała, ignorując jego ostatnią uwagę.

Cyryl wskazał ręką kierunek i nie odzywając się, przyjął pozę pobłażliwej rezygnacji. Olga wstawiła koszyk z winogronami do zlewu. Odkręciła kran, wypłukała owoce i przełożyła na tackę. Potem rozkroiła bagietki i ser, ułożyła wszystko na, z trudem znalezionym, czystym talerzu. Rozejrzała się bez skrupowania, rejestrując wszystkie wyraźne oznaki depresji Cyryla: resztki pizzy sprzed kilku dni, puste puszki po piwie, brudne naczynia.

- Powinieneś zatrudnić sprzątaczkę. Na etat - powiedziała. - Chodźmy gdzieś, gdzie jest przyjemniej - dodała i ruszyła w kierunku drzwi.

- Pomyślę o tym - mruknął Cyryl i posłusznie poczłapał za nią.

Rozsiedli się na poduszkach leżących na podłodze w salonie. Mieszkanie nie było jeszcze w pełni urządzone, wszędzie stały kartony, pod ścianami ułożono sterty książek, a w kącie pokoju straszyl niedbale zasłany materac. Po krótkich poszukiwaniach Cyryl przyniósł dwie szklanki i otworzył wino.

- Nie wiem, gdzie są kieliszki - powiedział przeprasząco. Olga wzięła z jego ręki szklankę i powoli upiła łyk musującego płynu - wino miało lekko czerwony kolor, mocny aromat i owocowy smak truskawki i porzeczki, z lekką nutą granatu.

- Mmm, niezłe - pochwalił Cyryl, a ona uznała, że to dobry znak.

Spojrzała na niego uważnie.

- Jak sobie radzisz? - spytała.

- Jak widać - odparł, nie patrząc jej w oczy.

Ogarnęła wzrokiem otaczający ich nieład, wyraźnie sugerujący niedawną przeprowadzkę, ale również całkowitą apatię. W normalnych okolicznościach Cyryl wykazywał daleko idącą pedanterię. Ale mimo całego tego bałaganu mieszkanie sprawiało miłe wrażenie - przestronne wnętrza o bardzo funkcjonalnym układzie, duże okna na południowej i zachodniej ścianie, taras. Gdyby zainwestować w nie trochę - pieniędzy i uczucia - mogłoby się stać bardzo przyjemnym miejscem do życia.

- Co się z tobą dzieje? - spytała po chwili bez ogródek, patrząc na przyjaciela. - Można by sądzić, że przy twoim doświadczeniu i nonszalancji zamkniesz całą sprawę jakąś błyskotliwą filozoficzną puentą, a przy okazji zyskasz wenę.

Cyryl pociągnął łyk wina i spojrzał na nią w taki sposób, że umilkła, zbita z tropu. Mimowolnie porzuciła przyjętą taktykę.

- Cholera, Cyryl, nie sądziłam, że tak się przejmiesz. Że Kris był... że to miało dla ciebie aż takie znaczenie.

- Bo co? Bo geje nie mają prawa do miłości? Mogą iść ze sobą do łóżka, byle dyskretnie, nie rażąc nikogo...? Bo są zboczeni, niezdolni do tak zwanych uczuć wyższych...?

- Przestań!

- Dlaczego? Przecież wszyscy tak myślą. Ty też tak myślisz! Dziwisz się, że się przejmuję, że czuję ból, że czuję cokolwiek, bo przecież co to dla mnie za różnica, z kim sypiam! Jestem tylko pedałem, więc byle to był facet z jędrnymi pośladkami...

- Przestań, proszę! Atakujesz świat, bo czujesz się zraniony, ale to przecież nie świat cię zranił, tylko jeden człowiek. To się mogło zdarzyć każdemu. Zdarza się codziennie i dotyczy tak samo kobiet, jak i mężczyzn.

- To prawda, zranił mnie jeden człowiek, ale ten świat nie daje mi nawet prawa do cierpienia, do mówienia o moich uczuciach ani do przeżywania szczęścia, stworzenia stabilnego związku. Bo to takie niestosowne, niemoralne, oburzające. - Spojrzał na Olę z determinacją i smutkiem. - Nie jestem ekshibicjonistą. Chciałbym tylko, by uznano, że tak jak każdy potrafię kochać i mam do tego prawo. - Umilkł, odwrócił głowę i patrzył teraz w okno.

- Cała ta twoja złość jest dosyć bezosobowa... Nie powiedziałeś ani jednego złego słowa na temat Krisa - zauważyła z namysłem. - Wciąż ci na nim zależy? Chciałbyś, żeby do ciebie wrócił? Mimo wszystko...

Z Cyryla spłynęło już całe zacierzewienie. Skulił ramiona i dalej patrzył tępo w okno, zaciskając dłonie na pustej szklance.

- Ale on nie wróci - odparł wreszcie cicho i Olga usłyszała w tym krótkim stwierdzeniu prawdziwy ból.

Nie mogę mu pomóc, pomyślała i zrobiło jej się przykro. Wzięła butelkę i nalała wina do obu szklanek. Potem usiadła obok Cyryla i objęła go, kołysząc lekko, jakby uspokajała dziecko. W pierwszej chwili poczuła opór, który jednak szybko minął - nieoczekiwany gest czułości został przyjęty z ulgą i wdzięcznością. Przez długą chwilę oboje milczeli. Wreszcie Olga postanowiła spojrzeć na sprawę praktycznie.

- Może powinienes wziąć urlop. Gdzieś wyjechać, zmienić środowisko, odpocząć. Może do rodziny...

- Do rodziny... - Cyryl uśmiechnął się gorzko. - Rodziców nie widziałem od dwunastu lat.

- Ależ... Jak to? Dlaczego? To znaczy... - Olga zająknęła się, zdając sobie nagle sprawę, że zamiast słów pociechy podsunęła mu niechcący kolejny bolesny temat.

- Dlaczego? To przecież proste. Syn homoseksualista raczej nie jest powodem do dumy.

- I dlatego z tobą zerwali?

- To ja z nimi zerwałem. Nie miałem siły znosić nieustannych łez matki i przekleństw ojca. Zburzyłem rodzinną sielankę, pokrzyżowałem wszystkie ich plany, jedyne, co mogłem zrobić, to zejść im z oczu.

- Nie szukali cię? Nie próbowali...

- Nie - przerwał jej szorstko. - Chyba też uznali, że to najlepsze rozwiązanie. I dla nich, i dla mnie. Ja mogłem robić, co chciałem, a oni nie musieli się wstydzic. Widzisz, jaskółeczko, gdy mnie poznałaś, byłem już uzbrojony, znalazłem własną drogę, uodporniłem się na ludzką złośliwość i agresję. Nabrałem dystansu i nauczyłem się traktować świat i ludzi tak, jak na to zasługują. Ale przecież nie zawsze tak było. Od czasu, gdy na początku liceum odkryłem swoją inność, przeszedłem długą drogę i nie zawsze było mi łatwo. - Umilkł, a na jego twarzy pojawił się bolesny grymas. - Teraz nie ma we mnie już nic z tego przestraszonego chłopca... - dodał po chwili, lecz Olga miała wątpliwości, czy ta deklaracja odpowiada prawdzie.

Wkrótce rozmowa zupełnie zmieniła kierunek. Olga dolewała wina i wypytywała Cyryla o dzieciństwo, rodzinę, życie w małym miasteczku na Mazurach. Jeśli nawet zdawał

sobie sprawę z tej drobnej manipulacji, zgodził się na nią i widać było, że przynosi mu to ulgę.

Nigdy wcześniej nie rozmawiali w taki sposób. Nigdy Cyryl nie mówił tyle o sobie. Wbrew wszelkim przewidywaniom mijające wieczorne godziny nie były wcale całkiem złe.

Wczesnym rankiem Olga zadzwoniła do Weroniki i zdała relację ze spotkania z Cyrylem. Nie można go poganiać. Przeżywa trudne chwile i potrzebuje czasu, by uporządkować swoje życie, uczucia, a także mieszkanie. Ostatnia konkluzja rozbawiła Weronikę, ale też nastawiła optymistycznie do całej sprawy. Na koniec Olga przypomniała sobie rozmowę z Hanką i opowiedziała o jej wyjeździe i planach.

- Nareszcie jakaś naprawdę dobra wiadomość - ucieszyła się Weronika. - W sam raz na nasze klubowe spotkanie. Chociaż... - zawahała się. - Chyba w tym miesiącu darujemy sobie wypad do Karolka...

- Chyba tak. Też o tym pomyślałam - przytaknęła Olga. - Ani Cyryl, ani Hanka nie przyjdą. Ja również nie mam w zanadru chwilowo żadnych dobrych wiadomości.

- To może trochę się postaraj, tak dla równowagi... - powiedziała Weronika wprost.

- Sama się postaraj - zniecierpliwiła się Olga, ale pożegnała przyjaciółkę serdecznie.

Ostatni tydzień sierpnia był bardzo pracowity. Olga kończyła Borgemunda i kartki zaręczynowo - ślubne, zaczynając jednocześnie dwa projekty graficzne książek. Nieświadomie czekała na coś, co miało się wydarzyć, ale sama nie wiedziała, co by to miało być. Hanka się nie odzywała, a jej krakowski telefon milczał. Najwyraźniej została w Poznaniu, ale czy to był dobry, czy zły znak, tego Olga też nie potrafiła rozstrzygnąć.

Kończący wakacje weekend spędzała samotnie, bo Marek wyjechał do Warszawy w sprawach służbowych. Zadzwoniła więc do Rafała i zaprosiła go do siebie na kolację.

- Możesz przyprowadzić Agnieszkę - dodała zachęcająco.

- Raczej nie - odparł Rafał po chwili. - Będę po ósmej. Muszę jeszcze napisać beznadziejnie nudny raport.

Rozłączył się, pozostawiając Olgę w stanie lekkiej dezorientacji. Zastanawiała się, co takiego mogło się wydarzyć. Czyżby się pokłócili? A może zwyczajnie Agnieszka była zajęta? Ruszyła do kuchni, zostawiając domysły za sobą. Musiała się przygotować na wieczór. Sprawdziła więc zawartość lodówki i szafek - rano była na targu, więc miała dość produktów, by przygotować sałatkę ze świeżych warzyw i spaghetti w sosie pomidorowym, które Rafał pochłaniał zwykle w zabójczych ilościach.

Wrzuciła długie nitki makaronu do osolonej wody i właśnie zaczęła kroić pomidory, gdy zadzwonił telefon.

- Cześć. Czego słuchasz? - zapytała Weronika bez wstępu.

- Niczego. Jestem właśnie w kuchni i robię... - zaczęła Olga, ale nie dane jej było pochwalić się swoją inwencją kulinarną.

- Nieważne, co robisz. Włącz sobie Radio Klio - zażądała Weronika kategorycznie.

- Bo co?

- Bo Cyryl opowiada jakieś głupoty. Nic nie rozumiem, ale nie podoba mi się to. Zresztą sama zobaczysz. Na razie - wyłączyła się bez ostrzeżenia i pożegnania.

Olga szybko umyła ręce, wyłączyła gaz i poszła do pracowni. Nastawiła radio i podkręciła głośność. Właśnie cichła końcówka jakiejś piosenki Nirwany i po chwili rozległ się znajomy, niski głos Cyryla.

- Tak, moi drodzy, jak powiada Franz Kafka, świat jest zły, a my jeszcze mu to ułatwiamy... Czasami nawet bardzo. A słowa to tylko słowa. Nawet najpiękniejsze służą jedynie fałszowaniu rzeczywistości. Marna to waluta... Można za nią kupić chwilę spokoju, radości albo i szczęścia. Ale to wszystko kłamstwo. „Nasze sieci są puste...”.

Cholera, zaniepokoiła się Olga. Co to ma być?

- Nie oszukujmy się. Jesteśmy aktorami w teatrze świata. A może nawet i to nie, bo aktor ma choć trochę wolności, a my jak lalki pociągane za sznurki wykonujemy śmieszne, bezładne ruchy.

Chwila ciszy. Olga w napięciu czekała na ciąg dalszy ale zamiast tego rozbrzmiały pierwsze takty muzyki, znajomej, choć zupełnie niezgodnej z konwencją stacji rozrywkowej. Mocne dźwięki orkiestry, płaczące tony skrzypiec, a potem pełen dramatyzmu głos: „Śmieję się, pajacu, śmieję się, pajacu...” - jedna z ulubionych arii Cyryła z opery Pajace.

Nie jest dobrze, pomyślała Olga. Chociaż jeśli Cyryl wyrzuci z siebie wszystko w tak spektakularny sposób, to może wreszcie odczuje ulgę. Muzyka wybrzmiała i głos Cyryła był teraz spokojny, wyważony, może tylko odrobinę zbyt patetyczny.

- Żegnajcie zatem, przyjaciele. „Dziś. was rzucam i dalej idę w cień z duchami, a jak gdyby tu szczęście było - idę smętny...”. Jak powiedział Baltazar: „Jedna przede mną droga, wstanę i pójdę, to nic, że boli, otrząsnę ze stóp moich pył i nie odwrócę głowy, by mnie łyzy nie zakłęły w bryłę soli...”. Żegnajcie, przyjaciele.

Teraz Olga naprawdę się zaniepokoiła. I to nie tyle z powodu starego przeboju Perfektu Żegnam was, kończącego audycję, ale jakiejś twardej, ponurej nuty, dźwięczącej fałszywie w ostatnich słowach Cyryła. Co on wymyślił? Co zamierza? Nie doszła jeszcze do żadnych wniosków, gdy znów zadzwieczał telefon. Weronika.

- I co? - spytała.

- Co znaczy „i co”? - zniecierpliwiała się Olga.

- Rozumiesz coś z tego? O czym on mówił? I dlaczego się tak dziwnie żegnał?

- Wiesz, doradzałam mu, żeby wziął parę dni wolnego i gdzieś wyjechał, więc może postanowił...

- No tak. To by było całkiem rozsądne. A o co chodziło z tym Baltazarem?

- Nie mam pojęcia - przyznała Olga szczerze.

- Może to jakiś pisarz albo bohater literacki? - zastanawiała się Weronika. - Trzeba by spytać Hankę - dodała.

W tym momencie Olga wpadła na pewien pomysł.

- Wiem - powiedziała. - To chyba jego bohater. To znaczy z jego opowiadania. Poszukam.

- Dobra. A Hanka odzywała się do ciebie? - zmieniła gładko temat Weronika.

- Nie.

- Do mnie też nie. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Cóż, będziemy w kontakcie. Na razie.

Odkładając słuchawkę, Olga myślała intensywnie. Imię Baltazar wywołało w niej jakieś niezbyt miłe skojarzenia, ale nie pamiętała, jakie paskudne przygody go spotkały. Spojrzała na zegarek, minęła już siódma. Odłożyła poszukiwania Baltazara na później, bo przecież za godzinę spodziewała się Rafała, a kolacja była dopiero na etapie planowania.

Wróciła do kuchni i zabrała się do przyrządzania sałatki, ale weekendowy nastrój uciekł bezpowrotnie.

Rafał zjawił się kilka minut po ósmej. Opowiedział krótko o zaległej papierkowej robocie, którą musiał dzisiaj wykonać, i zasiedli we dwójkę do stołu.

- Masz pozdrowienia od Igora - powiedział na zakończenie relacji z niedawnej eskapady z Igorem i Januszem w Tatry Bielskie.

- To miło, że o mnie pamięta. Podziękuj mu - odparła i szybko zmieniła temat: - A co słychać u Agnieszki? Dawno jej nie widziałam. Wciąż taka zapracowana? - spytała.

Rafał westchnął ciężko. Wiedział, że ten temat prędzej czy później wypłynie. Sięgnął po kieliszek i powiedział spokojnie:

- To już zamknięty rozdział, Oluś.

Nie zdziwiło jej to zbyt, jakby mimo wszystko się tego spodziewała.



- Rozumiem. Ale dlaczego? Wydawało się, że doskonale do siebie pasujecie, wspólna praca, wspólne zainteresowania... Zdążyłam ją polubić.

- Ja też. Ale to wszystko. Nie wiem, siostrzyczko. Po prostu... nie wyszło.

Zapadło milczenie, lecz to im nie przeszkadzało. Znali się na tyle dobrze, że umieli ze sobą milczeć.

- Powiedz, mój drogi, dlaczego nam się nie udaje? - zapytała po chwili Olga.

- Nam? - Spojrzał na nią badawczo.

Wytrzymała jego wzrok.

- Nam - potwierdziła. - Co jest z nami nie tak? Jesteśmy zbyt samolubni, skoncentrowani na karierze, a może zbyt samowystarczalni? To, że świat się zmienił, niczego nie tłumaczy. Przecież dzisiaj, tak samo jak dawniej, każdy chce być kochany.

- Nie wiem - powtórzył Rafał. - Może nasze związki stały się zbyt łatwe, zbyt przypadkowe. Nie umiemy się wzajemnie odnaleźć.

Było już bardzo późno, gdy Rafał zęgnął się z siostrą. Po jego wyjściu Olga stała chwilę w przedpokoju, zastanawiając się, co takiego pilnego miała zrobić. Ach, prawda, opowiadanie o Baltazarze, pomyślała. Do jutra nie ucieknie. Była zbyt zmęczona, marzyła tylko o gorącej kąpieli i miękkiej poduszce.

Niedzielnny poranek wstał szary i mglisty, jakby naznaczony smutkiem i pożegnaniem wakacji. Olga obudziła się późno i zamierzała trochę poleniuchować, ale dzwonek telefonu przywołał ją do porządku. Tym razem to był Eryk Szwajcowski, obiecała, że wpadnie koło południa, i wróciła do łóżka z kubkiem kawy.

Wracając z Jesiennej Przystani, wstąpiła do chińskiej knajpki na obiad. Dopiero wieczorem przypomniała sobie, że powinna odszukać opowiadanie Cyryla. Sięgnęła do szafy, gdzie stały opasłe segregatory i teczki pełne najróżniejszych dokumentów. Nim minęło pół godziny, miała w ręku stary numer czasopisma „Persona”, w którym ukazało się opowiadanie Cyryla „Droga Baltazara”.

Usiadła wygodnie w fotelu i zagłębiła się w lekturze.

- Cholera - powiedziała głośno, zatraskując z impetem leżące na kolanach pismo. - Co ja mam zrobić? - spojrzała bezradnie na porzuconą gazetę, a potem na telefon. Wstała i wykręciła numer Weroniki. - Znalazłam Baltazara - oznajmiła.

- I co?

- Źle. Wiem już, jaką drogę wybiera. Nie będę opisywać szczegółów, w każdym razie bezwzględnie zdradzony, upokorzony i porzucony przez ukochaną postanawia popełnić samobójstwo.

- I?

- I wykonuje swój zamiar.

W telefonie zapadła cisza. Weronika widocznie oswajała się z wiadomościami.

- Olga, nie myślisz chyba, że... - nie dokończyła.

- Nie. Oczywiście, że nie - powiedziała szybko Olga. - Ale nie wiem, co robić - dodała.

- Może powinniśmy do niego pojechać?

- Nie zechce z nami rozmawiać. Albo nas wyśmieje.

Nie doszły do żadnych konkretnych wniosków i pożegnały się w ponurych nastrojach. Olga próbowała się czymś zająć, ale nie mogła znaleźć sobie miejsca. Kilkakrotnie próbowała zadzwonić się do Cyryla - bez skutku, domowy telefon nie odpowiadał, komórkę miał wyłączoną. Wreszcie odnalazła notatnik z adresami i wyszukała numer do radia. Udało jej się złapać realizatora, z którym Cyryl był w dość bliskich relacjach. Przedstawiła się i zapytała o przyjaciela.

- Nie wiesz, co się z nim dzieje? Nie mogę się do niego zadzwonić.

- No jasne. Od dzisiaj jest na urlopie. Nie będzie go co najmniej tydzień.

- Ale w domu też go nie ma. Myślisz, że gdzieś wyjechał?

- Na sto procent nie mam pewności, ale wspominał coś o Tatrach...

Olga wstrzymała na chwilę oddech. Poczowała biegnący wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz.

- Halo, jesteś tam?

- Tak. Dzięki za informacje. Spróbuję go jeszcze złapać. Na razie. - Odłożyła słuchawkę. - Niech to szlag! - mruknęła do siebie.

Usiadła, zastanawiając się nad czymś bardzo głęboko. Szybko podjęła decyzję. Zresztą nie było czasu na długie rozważania, miała już prawie dobę spóźnienia, jeśli liczyć czas od radiowego pożegnania Cyryla.

Sięgnęła do szuflady po rozkład jazdy autobusów. Dzisiaj było już za późno, a pierwszy poranny odjeżdżał do Zakopanego o szóstej trzydziści. Zadzwoiła do dyrektora Brzóska, usprawiedliwiając się z jutrzejszej nieobecności. Potem pomyślała o Weronice, ale po chwili doszła do wniosku, że sama musi się uporać z tą sprawą, zresztą niewykluczone, że się myli. Chociaż... Wykręciła numer Rafała. W kilku prostych słowach opowiedziała mu o wszystkim. W końcu znał Cyryla, a przy tym miał doświadczenie, którego jej brakowało. Na szczęście nie zbagatelizował jej obaw.

- Rozumiem. Ale co właściwie chcesz zrobić? - spytał z troską.

- Jeszcze nie wiem. Może to wszystko moje urojenia... W każdym razie jadę jutro do Zakopanego. Muszę go znaleźć. Nie darowałabym sobie, gdyby...

- Rozumiem - powtórzył Rafał. - Przykro mi, Oluś, ale nie mogę z tobą jechać. Muszę być jutro w Katowicach w sprawie nowego dochodzenia.

- W porządku. Dam sobie radę. Po prostu musiałam z kimś pogadać.

- Wiesz co...? - zawahał się, lecz tylko na moment. - Igor mógłby ci pomóc. Zadzwoń do niego...

- Tak. Pomyślałam o tym - przyznała Olga. - Dzięki, braciszku.

Siedząc już w autobusie, Olga zastanawiała się, czy przypadkiem nie robi z siebie kompletnej idiotki. Wszystko było takie ulotne. Właściwie nie miała pewności, tylko irracjonalny niepokój i opowiadanie Cyryla, którego finałową sceną był skok Baltazara w przepaść.

Olga czytała ten tekst kilka razy, próbując znaleźć w nim jakąś wskazówkę. Postanowiła skontaktować się z Igorem - zdawała sobie sprawę, że sama niewiele zdziała. Tylko co ja mu powiem? - myślała teraz, obawiając się, że zlekceważy lub wyśmieje jej obawy. Sama nie była przecież niczego pewna. Mimo tych wszystkich niepokojów jechała do Zakopanego z jakimś dziwnym uczuciem bliskim radości i była z sobą na tyle szczerą, by przyznać, że cieszy ją perspektywa spotkania z Igorem. Nawet w takich okolicznościach.

Gdy tylko wysiadła na zakopiańskim dworcu, porwała ją czarno - biała fala młodzieży. No tak, pomyślała, pierwszy dzień roku szkolnego - jestem już za stara, żeby o tym pamiętać. Po chwili wydostała się na ulicę prowadzącą do centrum miasta. Dochodziła dziewiąta. Wyjęła z torebki telefon i zadzwoniła do Igora. Zrobiło jej się raźniej, gdy usłyszała jego radosny głos. Krótko opisała sytuację i zakończyła, mówiąc po prostu:

- Potrzebuję twojej pomocy. Jeśli oczywiście znajdziesz trochę czasu... - dodała.

- Gdzie jesteś? - zapytał rzeczowo.

- Dopiero wyszłam z dworca. Przed chwilą przyjechałam...

- Czekaj na mnie. Będę tam za dziesięć minut.

Nie zdążyła mu nawet podziękować, tak szybko się rozłączył. Nie minęło obiecane dziesięć minut, gdy do zatoczki przy dworcu podjechała znajoma zielona łada.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział Igor, witając ją szerokim uśmiechem.

Spojrzała na niego i pomyślała, że teraz wszystko już będzie dobrze.

- Jadłaś coś dzisiaj? - spytał. Pokręciła głową.

- W takim razie jedziemy do mnie na śniadanie. Wszystko mi spokojnie opowiesz, a potem zdecydujemy, co robić.

Pół godziny później Olga z przyjemnością zjadała gorące grzanki z żółtym serem i pomidorami. Igor był mistrzem w przyrządzaniu również prostych potraw. Opowiedziała mu o uczuciowych perypetiach Cyryla, nie wdając się w szczegóły i unikając niedyskrecji.

- No dobrze, rozumiem, że trzepnęło nim porządnie - powiedział, dolewając jej kawy. - To się zdarza i każdy przeżywa takie rzeczy na swój sposób. Ale dlaczego miałby przyjechać do Zakopanego? I co cię tak naprawdę niepokoi?

Zamiast odpowiedzi wyjęła z plecaka stary numer „Persony” i podała mu otwarty na odpowiedniej stronie.

- Przeczytaj - powiedziała. - Żegnając się ze słuchaczami, Cyryl powołał się na tego bohatera, powiedział, że idą tą samą drogą. Nie muszę dodawać, że sporo szczegółów biograficznych mają wspólnych...

Igor zajął się lekturą, a ona swoim zwyczajem objęła kubek dłońmi i zapatrzyła się w okno, za którym majaczył masyw Giewontu.

- Tak, to wiele wyjaśnia - odezwał się Igor po chwili. - Ale... - zawahał się na moment - jesteś pewna, że to nie jest z jego strony gra? Jakiś okrutny żart? Albo próba teatralizacji własnego życia? Rozumiesz, pies, który dużo szczeka, raczej nie gryzie...

Olga spojrzała na niego bezradnie.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Nie wiem nawet, czy on tu jest... Może ścigam jakiś fantom, ale widzisz, muszę się przekonać. Telefon milczy. Mieszkanie jest zamknięte na cztery spusty. Boję się o niego. Nigdy nie wiedziałam, gdzie kończy się jego poza, a zaczyna prawdziwe życie. Dlatego nie wiem, co może zrobić. Jak daleko gotów się posunąć...

- Rozumiem. Cóż, to za mało - potrząsnął gazetą - żeby rozpocząć akcję. Musimy działać na własną rękę. Zdajesz się na mnie?

- Bezwzględnie - odparła bez wahania.

- Dobrze. Musimy najpierw sprawdzić, czy on tu w ogóle jest.

- Baltazar zatrzymał się w najdroższym hotelu, ale nie pada żadna nazwa - wtrąciła Olga.

- Dobra, zaczniemy od Kasprowego.

Igor podszedł do telefonu i wykręcił numer. Olga nie zdążyła się rozczarować, bo już przy drugim podejściu uzyskali potwierdzenie pobytu Cyryla w Zakopanem.

- To co, jedziemy? - spytał i chwilę później mknęli zakopiańskimi ulicami w stronę Belwederu.

Kiedy samochód zatrzymał się przed hotelem, odwróciła głowę i spojrzała niepewnie na swego towarzysza.

- Chcę ci podziękować...

- Nic jeszcze nie zrobiłem - uśmiechnął się. - Poza tym... nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy to, że zwróciłaś się do mnie o pomoc. - Popatrzył na nią tak, że szybko odwróciła wzrok.

Szczęście im sprzyjało. W normalnych warunkach mieliby pewnie duże trudności z uzyskaniem informacji, ale okazało się, że dyżur w recepcji ma znajomy Igora. Po krótkich wyjaśnieniach dowiedzieli się, że Cyryl zarezerwował pokój na tydzień, a przyjechał wczoraj w południe. Rozlokował się w apartamencie, lecz już po obiedzie wyruszył w góry, zostawiając wiadomość, że dwie najbliższe noce spędzi w schronisku. Gdy wyszli na zewnątrz, Igor powiedział:

- Nie będzie łatwo. Twój przyjaciel może być wszędzie.

- Niezupełnie - sprostowała Olga. - Baltazar poszedł na Czerwone Wierchy.

- No tak, ale... Słuchaj, czy ten twój Cyryl dobrze zna Tatry?

- Prawie wcale. Dlaczego pytasz?

- Bo Czerwone Wierchy to nie najlepsze miejsce na taką akcję. Chociaż oczywiście z Krzesanicy w kilku miejscach otwiera się piękna przepaść. Przepraszam, gadam bzdury - dodał szybko, widząc przestrach w jej oczach. Wciąż nie wierzył w realne zagrożenie. Ludzie nie zabijają się ot tak, z powodu miłosnego zawodu.

- To moja jedyna wskazówka - powiedziała Olga cicho. - Wiem.

Wrócili do domu po małe zaopatrzenie i tuż przed pierwszą wyruszyli w drogę. Długo szli w milczeniu, zajęci własnymi myślami. A potem rozmowa potoczyła się sama, o najprostszych rzeczach. Olga wspominała swój pobyt w leśniczówce, opowiadała o związkach rodzinnych, o Luizie, Kalinowej Górze, potem o Hance i jej planach, a wreszcie o swoim marzeniu, które właśnie zaczęło się spełniać. Igor także opowiadał trochę o sobie, o swojej rodzinie, planach indywidualnej wystawy górskich fotografii, o swych wyprawach. Olga po raz pierwszy była z Igorem sam na sam i zwyczajnie sprawiało jej to taką przyjemność, że prawie zapominała o celu tej miłej wycieczki. Wróciła do rzeczywistości, gdy jej przewodnik nagle się zatrzymał.

- Tutaj zaczynają się Czerwone Wierchy. - Wskazał ręką kolejne szczyty. - Ciemniak, Krzesanica, Małołączniak. Koniec zabawy, zaczynamy poszukiwania.

Zwolnili, zeszli z głównego szlaku i zaczęli sprawdzać różne zakamarki - zagłębienia terenu czy głązy, za którymi ludzka sylwetka mogła być niewidoczna. Ciemniak nie był pod tym względem zbyt urozmaicony. Trochę więcej czasu zajęło im spenetrowanie Krzesanicy. Olga z drżeniem serca pochylała się nad przepaścią, nie wiedząc, czy nie zobaczy gdzieś znajomej postaci.

Gdy schodzili już w stronę Małołączniaka, zaczęła odczuwać ulgę. Jestem idiotką, egzaltowaną i pozbawioną krztyny zdrowego rozsądku idiotką, myślała. Ja tu biegam przerażona po górach z powodu jakiegoś opowiadania, a Cyryl pewnie siedzi sobie w przytulnym schronisku, popija góralską herbatkę i próbuje po męsku poskładać swoje życie z kawałków. Co zresztą sama mu doradzałam.

Szła przodem coraz pewniej, z każdą chwilą bardziej przekonana o własnej głupocie, gdy nagle usłyszała gdzieś z boku wołanie Igora. Niepokój, dopiero co przegnany, natychmiast powrócił. Ruszyła biegiem po lekkiej pochyłości. Igor, nic nie mówiąc, wskazał ręką niewielką skalną półkę, na której widać było z daleka ciemny kształt, częściowo ukryty za głazem. Bez żadnych konsultacji ruszyli szybko w tym kierunku. Już po kilku krokach zorientowali się, że ta ciemna plama to skulona sylwetka człowieka opartego plecami o skalną ścianę.

- A jednak... - szepnęła Olga bezwiednie, gdy byli już całkiem blisko.

Igor pozostał w tyle i pozwolił jej przejąć inicjatywę. Zbliżyła się szybko do siedzącej postaci i uknęła.

- Cyryl... - szepnęła z ulgą. - Ależ mnie wystraszyłeś. Odwrócił głowę i spojrzał na nią nieobecny wzrokiem. Był

bardzo blady, mimo pięknej pogody zmarznięty i wycieńczony. Jeden rzut oka wystarczył, by zrozumieć, że spędził w górach noc.

- Cyryl, to ja, Olga. - Chwyliła go za ramiona i potrząsnęła. - Obudź się, już wszystko dobrze. Jestem tutaj, jestem przy tobie. Cyryl...

Chwilę przyglądał jej się intensywnie, a potem na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. I coś jeszcze. Może ulga, a może coś w rodzaju wdzięczności...

- Miałś rację, jaskółeczko... - powiedział słabym, lecz zupełnie przytomnym głosem. - Lubię życie. Chociaż bez powodu i bez wzajemności. Lubię za bardzo, żeby z niego zrezygnować... - Chciał się roześmiać, ale z gardła wydobył mu się raczej szloch. Spojrzał jej w oczy. - Powiedziałaś kiedyś, że przybieram pozy. I to była prawda. Zbyt wiele w moim życiu udawania. Zobacz, nawet umrzeć nie potrafię prawdziwie. Ale wierz mi, chciałem, naprawdę chciałem... - dokończył cicho.

- Posłuchaj, czasem tworzymy sobie fałszywy obraz siebie i świata - stwierdziła Olga - ale uczucia są prawdziwe. Miłość jest prawdziwa. I ból. I smutek. I nadzieja. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Inaczej nie byłoby cię tutaj, Zbyszku. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie wiedziałem, że ktoś... nie sądziłem, że pamiętasz moje imię.

- Pamiętam - odparta krótko. Dopiero po chwili spytała: - To co, wracamy?

- Wracamy.

Igor nie zamierzał wchodzić z butami w cudze życie. Widząc, że Olga daje sobie radę, odszedł kilka kroków, by mogli spokojnie porozmawiać. Słyszał ich głosy, ale nie rozróżniał słów. Co jakiś czas spoglądał w ich kierunku, by zorientować się w sytuacji. Wciąż nie wiedział, co się wydarzyło. I co jeszcze może się wydarzyć. Dlatego był gotów do interwencji, gdyby zaszła taka potrzeba. W końcu Olga wstała z kolan i podała rękę przyjacielowi. Podniósł się całkiem sprawnie. Igor ruszył w ich stronę, nie czekając na wezwanie.

- Wszystko w porządku? - spytał, przyglądając się badawczo Cyrylowi. - Możesz iść?

- Tak. Chyba tak.

Igor sięgnął do plecaka, wyjął termos i nalał do kubka kawy. Potem wyciągnął z bocznej kieszeni tabliczkę czekolady.

- To powinno pomóc - powiedział. - No, zbierajmy się. Musimy się mocno starać, jeśli chcemy zejść przed nocą.

Po chwili ruszyli gęsiego kamienistym szlakiem. Igor prowadził. Szybko, bez wahań, jakby znał tę trasę na pamięć. Chwilami tylko spoglądał za siebie. Może nieco częściej niż zwykle, może częściej, niż wymagałaby tego opieka nad osłabionym Cyrylem.

Wieczorem Cyryl po długiej gorącej kąpieli zapakował się do łóżka w przytulnym pokoiku wyłożonym drewnem. Olga doszła do wniosku, że domowa atmosfera będzie dla niego korzystniejsza niż hotelowy luksus, i z wdzięcznością przyjęła od Igora propozycję gościny. Dopilnowała wszystkiego i poczekała, aż Cyryl zaśnie. Kaprysił jak rozpuszczony dzieciak i teraz, gdy najgorsze już minęło, zaczynał znów wchodzić w dawną rolę i bawić się całym tym zamieszaniem wokół jego osoby. Potem zeszła cicho do kuchni, by porozmawiać z gospodarzem. Gdy realne zagrożenie minęło, opadły z niej wszystkie emocje, znikło napięcie, które dodawało energii - teraz chętnie wtuliłaby głowę w silne męskie ramiona i solidnie się wypłakała. Miała jednak dość rozsądku, by wiedzieć, że nie może sobie na to pozwolić.

- I jak? - spytał Igor na powitanie.

- W porządku. Trochę się już zregenerował. Prześnił się kilka godzin i jutro będzie jak nowy.

- Ja pytam o ciebie... Jak się czujesz? - Spojrzał na nią z troską.

Uśmiechnęła się blado.

- Dobrze. Zresztą ja jestem nie do zdarcia - powiedziała, ale zaraz się zarumieniła.

- Olga, przede mną nie musisz niczego udawać - stwierdził spokojnie i wziął w obie ręce jej dłoń. - Ja przecież rozumiem. Widziałem twój lęk, a teraz widzę zmęczenie i ulgę. Byłaś bardzo dzielna. Teraz mogę się przyznać, że nie do końca wierzyłem twoim przecuciom. Ale miałaś rację. Jesteś dobrym przyjacielem. Nie każdy zdobyłby się na coś takiego.

Spojrzała w te jego spokojne i pełne zrozumienia oczy i znów poczuła nieodpartą ochotę, by wtulić się w jego ramiona, przyznać do słabości, zdać na jego opiekę. I ponownie oparła się pokusie.

- Właściwie nie wiem, czy nie powinnam zostać przy nim... - powiedziała niepewnie, cofając dłoń. - Może...

- Nie - powiedział Igor stanowczo. - Teraz już cię nie potrzebuje. Wiem, co ci chodzi po głowie, ale on już swoje przeszedł. Drugi raz nie spróbuje. Możesz być pewna.

- Nie wiem nawet, jak ci dziękować. Przyjąłeś nas do swego domu, poświęciłeś cały dzień - tyle czasu, tyle energii - dla zupełnie obcego człowieka.

- Nie przeceniaj mnie. Zrobiłem to dla ciebie. Zresztą - uśmiechnął się trochę kpiąco - jestem przecież ratownikiem, pomaganie innym to mój zawód.

- Tak czy inaczej, dziękuję. Za siebie i za Cyryla. Jestem twoją dłużniczką.

- O, uważaj, co mówisz - roześmiał się. - Mogę to wykorzystać. Jakie macie plany? - spytał już poważnie.

- Jutro wracamy do Krakowa. A potem zamierzam wysłać go do Kalinowej Góry. Wydaje mi się, że takie życziwe, rodzinne otoczenie dobrze mu zrobi. Mama i ciotka Luiza zapewne nie dadzą mu czasu na smętne rozmyślenia.

- Masz rację - zgodził się Igor.

Olga zajrzała później do pokoju Cyryla, ale spał spokojnie. Uśmiechnęła się i otworzyła sąsiednie drzwi. Pierwszy raz spędzała noc w tym domu i czuła się trochę dziwnie.

Rankiem obudziła się w pokoju na poddaszu, czując łaskoczące promienie słońca na twarzy. Leżała chwilę bez ruchu, delektując się widokiem gór. Gdy zeszła do kuchni, Igor był już w swoim żywiole - przygotowywał śniadanie, a wokół snuł się aromat świeżo zmielonej kawy.

- Dzień dobry - przywitał ją z uśmiechem. - Byłem przed chwilą u twojego przyjaciela, ale śpi jak niemowlę, więc chyba zaczniemy bez niego.

- Z przyjemnością - odparła, patrząc, jak sprawnie wybija jajka na ogromną patelnię pełną cienkich plasterków boczku, cebuli i grzybów.

Zaledwie jednak zasiedli do stołu, w drzwiach ukazał się ziewający i rozczochrany Cyryl. Pociągnął teatralnie nosem.

- Takie zapachy wyrwałyby niedźwiedzia ze snu zimowego. Zdażyłem w porę, czy już wszystko spałaszowaliście beze mnie?

- No, witaj, Łazarzu - rzuciła w jego stronę Olga z kpiącym uśmiechem. - Siadaj, może coś się dla ciebie znajdzie.

Gdy kończyli śniadanie i niespiesznie dopijali kawę, zadzwonił telefon Olgi.

- Witaj. Mam dobre wieści - zaczęła Weronika z entuzjazmem. - Hanka wróciła do domu z Amelką. Jest strasznie szczęśliwa. Nie mówiąc o małej. A ty co robisz? Dowiedziałaś się czegoś o Cyrylu?

- Owszem. Siedzi obok mnie, najedzony jak stary kocur, i mruczy z zadowolenia, popijając kawę ze śmietanką. - Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie minę Weroniki, bo w telefonie zapadła wymowna cisza.

- Olga? Czy nie powinnam o czymś wiedzieć? Gdzie jesteś i co się właściwie dzieje?

- Jesteśmy w Zakopanem. Wszystko w porządku. Opowiem ci po powrocie - rozłączyła się z cichą satysfakcją i przekonaniem, że wreszcie odpłaciła przyjaciółce za te wszystkie krótkie połączenia.

Igor zniknął gdzieś na kilka godzin, a jego goście spędzili dzień na leniwych rozmowach i niezbyt forsownych spacerach. Spotkali się wczesnym popołudniem w mieście i wspólnie zjedli obiad. Zaraz potem pojechali na dworzec PKS. Pożegnali się krótko i serdecznie. Widać było, że Cyryl czuje się trochę niepewnie w towarzystwie Igora, ale nić porozumienia i sympatii została nawiązana. Olga zadzwoniła rano do rodziców i w leśniczówce wszystko już przygotowano na przyjęcie niespodziewanego gościa. Cyryl miał ze sobą podręczny bagaż, więc wspólnie postanowili, że wcale nie będzie wracał do swojego mieszkania. Przesiądzie się tylko w inny autobus i wieczorem będzie już w Kalinowej Górze.

Było już po dziesiątej wieczorem, gdy Olga odebrała telefon od mamy. Poinformowała ją, że Cyryl dotarł bez problemu, został gościnnie przyjęty, nakarmiony i zainstalowany w dawnym pokoju Michała.

- Jak można się było spodziewać, Luiza jest zachwycona - dodała na zakończenie. - Cyryl już ją zauroczył.

Olga uśmiechnęła się na myśl, jakie rozmowy będą toczyć ci dwoje.

- Pozajmujcie się nim troszkę, ale bez przesady. Tak, żeby czuł waszą życzliwość, lecz miał także dość swobody. - Zawahała się. - Wiesz, mam, Cyryl miał ostatnio sporo trudnych przeżyć. Potrzebuje odpoczynku - dodała.

- Rozumiem. - Matka była niezawodna w kwestii aluzji i niedomówień.

Odkładając słuchawkę, Olga usłyszała ciche skrzypnięcie drzwi wejściowych. Marek przywitał ją chłodno, zakomunikował, że jest bardzo zmęczony i strasznie boli go głowa, po czym szybko zniknął w sypialni, nie dając jej czasu na wyjaśnienia. Zamiast więc podejmować trudne rozmowy, sięgnęła po telefon i wykrciła zakopiański numer, by jeszcze raz podziękować Igorowi. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić - powiedział ciepło.

Podziękowania trochę się przeciągnęły, ale gdyby po półgodzinnej rozmowie ktoś zapytał Olgę, czego ona dotyczyła, nie potrafiłaby odpowiedzieć.

Marek przystąpił do walnej rozprawy przy porannej kawie. Olga przedstawiła ocenioną relację z kłopotów Cyryla i związanego z nimi jej nagłego wyjazdu, a potem nastąpiła krótka wymiana zdań na temat życiowych priorytetów. Monolog Marka zakończyło głośne trzaśnięcie drzwi, po którym zapadła cisza. Olga siedziała bez ruchu nad nietkniętym kubkiem zimnej już kawy i myślała intensywnie. Nie była ani zaskoczona, ani nawet zła - w końcu nie spodziewała się zrozumienia. Ale było jej smutno. Patrzyła na kołyszące się za oknem topole i podejmowała jedną z najtrudniejszych decyzji w swoim życiu.

W piątkowy wieczór Olga znów wysiadała z autobusu na przystanku w Kalinowej Górze. Samochód ojca stał już na poboczu.

- I co słysać w domu? - spytała z lekkim niepokojem po przywitaniu.

Ojciec uśmiechnął się szeroko.

- Samo dobre - stwierdził. - Ten twój znajomy jest niezwykle sympatyczny i, muszę przyznać, bardzo użyteczny. Rozruszał moje panie tak, że chyba powinienem być zazdrosny.

Olga uśmiechnęła się z ulgą, resztki tłących się w głębi serca obaw przysły całkowicie. Cyryl na jej widok się rozpromienił, ale zauważyła, że coś go gnębi. Sprawa wyjaśniła się jeszcze tego samego wieczoru. Po kolacji poszli na krótki spacer.

- Muszę cię przeprosić, jaskółeczko - powiedział z wahaniem. - Tak mi strasznie głupio. Zachowałem się idiotycznie i... sprawiłem ci tyle kłopotów. Przepraszam.

Uśmiechnęła się do niego.

- Ważne, że już po wszystkim. I że wyszedłeś z tego życiowego zakrętu bez szwanku.

- No, może niezupełnie bez szwanku... - odparł. - Ale rzeczywiście zakręt został w tyle, a przede mną nowa droga. Wszedłem na nią z twoją pomocą. Dzięki - dodał poważnym tonem.

Zbliżali się już do leśniczówki. Z okien na parterze padała na podwórze żółta poświata. W oddali słyszał był przyciszony śmiech kobiet, którym wtórował basowy głos leśniczego.

- Wiesz, moja droga - odezwał się Cyryl - już nigdy nie napiszę opowiadania o samobójcach. Niby ich rozumiem, ale mimo wszystko to głupcy. Jest na świecie tyle rzeczy, dla których warto żyć. Miękką, pachnącą pościel po męczącym i pracowitym dniu, gorąca herbata malinowa, duszone grzyby w wykonaniu twojego ojca. - Uśmiechnął się i wyciągnął rękę w kierunku leśniczówki. - Miejsca takie jak to... Zrozumiałem to dopiero teraz. - Przystanął, rozejrzał się wokół, zaczerpnął głęboko powietrza pachnącego wilgotną ziemią, rosą i pierwszym podmuchem jesieni. Odwrócił się, spojrzął jej w oczy i dokończył: - Miło jest ogrzać się w ciepłe szczęścia. Choćby cudzego...

Wyjeżdżali w poniedziałkowe przedpołudnie, żegnani wylewnie przez wszystkich domowników, włącznie ze starym kotem Barnabą, w którego łaski Cyryl zdołał się wkraść

jakimś magicznym sposobem. Luiza wymogła na nim przyrzeczenie, że wkrótce znów odwiedzi leśniczówkę. Olga czuła, że oboje zakończyli jakiś etap w życiu, podjęli ważne decyzje i wracali do swych domów ze świadomością, że oto zaczyna się coś nowego. Byli pełni obaw, ale także nadziei.



## VI

Wrzesień rozgościł się w Krakowie na dobre, gasząc soczystość zieleni, posypując drzewa w parku Jordana złotem, żółcią i różnymi odcieniami brązu. Pierwsze spadające liście szeleściły pod stopami, czubki klonów płonęły czerwienią, a słońce zniżało swój codzienny tor i słało ziemi coraz delikatniejsze promienie.

Hanka wróciła do domu i do pracy w ośrodku pełna energii i nowych pomysłów, jakby odzyskanie Amelki obudziło w niej jakieś głęboko ukryte pokłady siły, witalności i pasji. Za zgodą Sławka i przy pomocy Rafała, który skierował ją do znajomego prawnika specjalizującego się w tego typu sprawach, wystąpiła do sądu z prośbą o przyznanie jej prawnej opieki nad siostrzenicą. Amelka poszła do pierwszej klasy szkoły artystycznej, którą Baśka wybrała dla niej wiele miesięcy temu. Rok szkolny rozpoczęła tylko z dwudniowym opóźnieniem.

Weronika znów wyjechała na jakąś ważną konferencję, tym razem do Genewy. Cyryl... Cyryl wrócił do nocnych audycji i pisania. Po umiarkowanym sukcesie tomu opowiadań zamierzał podjąć większe wyzwanie - nie mógł się tylko zdecydować, czy ma to być powieść, czy raczej sztuka teatralna. Jego własne przeżycia miały odgrywać w tym utworze niebagatelną rolę, lecz sposób ich ujęcia miał być bliższy farsie i społecznej satyrze niż ckliwemu melodramatowi.

Wydawało się, że wszystkim wokół jesień otwiera nowe drogi i przynosi życiowe zmiany. Olga doszła więc do wniosku, że i ona powinna przystąpić do działania. Bo koniec to przecież również jakiś początek.

Po powrocie z Kalinowej Góry przez kilka dni przygotowywała się do decydującej rozmowy z Markiem. Wiedziała, że nie będzie łatwo. W sobotę przygotowała kolację, kupiła czerwone wino, które lubił, i czekała. Marek trochę się zdziwił, widząc tę całą oprawę - do ich rocznicy brakowało jeszcze dwóch tygodni - lecz bez protestów zasiadł przy stole i wyraził swą pełną gotowość do rozmowy. Przez chwilę Olga pomyślała, że świetnie wie, czego się spodziewać, i jest równie dobrze przygotowany jak ona, a może nawet pogodzony z sytuacją. Tym razem nie bawiła się już w żadne podchody, postanowiła grać w otwarte karty, bez aluzji, których nigdy nie rozumiał, niedomówień i sugestii. Decyzja już w niej dojrzała. Chowanie głowy w piasek i gra na zwłokę nie miały sensu.

Po kolacji, która upłynęła w dość napiętej atmosferze, zatrzymała Marka przy stole i spokojnie wypowiedziała przygotowaną wcześniej kwestię. Kiedy wreszcie padło słowo „rozstanie”, poczuła ulgę, jakby dopiero teraz odnalazła właściwą drogę i zrobiła na niej pierwszy krok. Marek był bardziej zdziwiony niż oburzony lub zasmucony.

- Żartujesz, prawda? - uśmiechnął się niepewnie. - Nie mówisz poważnie.

- Ależ jak najbardziej poważnie. Oboje dobrze wiemy, że nasze drogi dawno się rozeszły, że to, co nas łączyło kiedyś, po prostu wygasło. Tak bywa...

- Nic podobnego. Przecież spędziliśmy razem kilka dobrych lat. Może rzeczywiście nie jest już tak jak dawniej, na początku, ale ile można grać zakochaną parę?

- Właśnie, ile? - wtrąciła ironicznie.

- Och, nie zaczynaj znowu. Nie zachowuj się jak pensjonarka! Czego ci brakuje? Co jest nie tak? Potrzebujesz takiego książkowego romantyzmu? Kolacji przy świecach, wyznań, komplementów i tym podobnych bzdur? A może potrzebna ci większa pewność, obrączka na palcu? Proszę bardzo. Możemy w każdej chwili wziąć ślub, skoro tak ci na tym zależy...

- Dlaczego myślisz, że mi zależy? - spytała sucho.

- A nie jest tak? - zdziwił się, autentycznie zbity z tropu. Przez chwilę patrzyła mu w oczy, ale szybko odwrócił wzrok. Nie zapytała, dlaczego składa jej tę propozycję dopiero teraz. I do tego w taki sposób. Woląla nie znać odpowiedzi.

- Owszem, zależało mi. Kiedyś. Ale to było dawno temu, Marku.

Jeśli nawet dotknęły go te słowa, nie dał tego po sobie poznać. Chyba dotarło do niego, że sytuacja jest poważna. Przystąpił więc do ataku w sposób bardziej przemyślany. W końcu był prawnikiem i sztukę negocjacji miał doskonale opanowaną.

- Olga, posłuchaj mnie. Spędziliśmy razem sześć lat i było nam przecież dobrze. Chcesz to wszystko przekreślić, tak po prostu?

- Nie, nie po prostu. To wszystko prawda. Dałeś mi wiele dobrych chwil, przez pewien czas byłam przy tobie szczęśliwa i jestem ci za to wdzięczna. Ale to już minęło. Nie ma sensu na siłę utrzymywać związku, w którym nie ma już radości czy choćby zwykłego ciepła.

- Ale o co tobie właściwie chodzi? - zdenerwował się. - Co masz mi do zarzucenia? Czego ci brakuje?

- Czego? Takich nieistotnych twoim zdaniem rzeczy, jak szacunek, zrozumienie, akceptacja, czułość, poczucie bezpieczeństwa, zaufanie... Mam dalej wymieniać?

- Jak zwykle wymyślasz! - machnął lekceważąco ręką. - Naczytałaś się głupich książek i myślisz, że życie tak wygląda...

- Myślę, że życie jest takie, jakim je uczynimy. A ja chcę, żeby moje było dobre, ciekawe i spełnione. Mam dość twoich pretensji o wszystko, niesprawiedliwych zarzutów, krytyki, lekceważenia, bezpodstawnych wybuchów złości, chłodu i nieliczenia się z moimi potrzebami. Po prostu jestem już tym zmęczona. Chcę odpocząć...

- Takim jestem czarnym charakterem? - mruknął z przekąsem. - Jakoś kiedyś to wszystko ci nie przeszkadzało.

- Kiedyś cię kochałam. I wydawało mi się, że dla miłości warto wiele poświęcić, z czegoś zrezygnować. Dziś już wiem, że to był błąd.

- Rozumiem. Powiedziałaś „kiedyś” - to znaczy, że już mnie nie kochasz... - podsumował sucho.

Olga spojrzała mu w oczy. Przygotowywała się do tej rozmowy długo. Już się nie bała, że jej nie sprostą, że ulegnie namowom Marka, jego tłumaczeniom, emocjonalnym manipulacjom. Albo że się rozplacze.

- Tylko miłość matki jest bezwarunkowa, Marku - powiedziała spokojnie. - Każda inna wymaga starań, zabiegów, nieustannej troski. Wtedy się rozwija i pogłębia. Ognisko, do którego nie dorzucasz drewna, prędzej czy później zgaśnie - przerwała na chwilę i spojrzała uważnie na niego. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. - Inwestowałam w nasz związek, walczyłam o niego od początku, przez sześć lat. Staralam się bardzo, bo mi zależało. Było mi łatwiej, gdy widziałam w tobie współnika w tych staraniach, ale to trwało tylko chwilę. Potem zostałam sama. A dzisiaj jestem zwyczajnie zmęczona. I nie chcę się dłużej starać za nas oboje.

Patrzył na nią w milczeniu, jakby wciąż nie wierząc, że mówi serio. Nie była nawet pewna, czy rozumie jej argumenty.

- Ależ kochanie - odezwał się - przecież wszystko można jeszcze naprawić. Przecież tyle nas łączy, mamy takie dobre, wygodne życie. Naprawdę mogłabyś z tego zrezygnować?

- Naprawiać można, gdy coś się zaczyna psuć, gdy widać pierwsze rysy, a nie wtedy, gdy budowla już runęła. Wtedy można tylko odżalować to, co było, i zacząć budować na nowo.

- Ach, rozumiem - powiedział przeciągle. - Czyli że chodzi o innego faceta. Kto to jest? - zapytał ostro.

Olga westchnęła ciężko. Nic do niego nie dotarło z całej tej przemowy.

- Nie chodzi o żadnego mężczyznę. Chodzi o to, że potrzebuję wolności i chcę zacząć nowe życie. Bez ciebie, Marku. Przykro mi. Muszę odnaleźć własną drogę, zgubioną radość. Nie mam już siły ani ochoty walczyć z wiatrakami. Mamy wspólne wspomnienia, wspólne sześć lat, z których duża część była dobra, i to zostanie w nas na zawsze. Nie mamy na

szczęście wielkiego majątku do podziału ani ślubu, ani dzieci... Rozstanie może być szybkie i proste, to zależy tylko od nas. Sądzę, że gdy wszystko przemyślisz, przyznasz mi rację.

Widać było, że walczy z sobą, aby nie wybuchnąć. Po chwili opanował się i powiedział, patrząc na nią twardo:

- A zatem podjęłaś już decyzję. Po tylu latach rzucasz mnie po prostu jak zużyty przedmiot...

Olga poczuła ucisk w gardle.

- Nie, Marku, to nie tak. Chciałabym, żeby to była nasza wspólna decyzja. Gdy trochę ochłoniesz i zastanowisz się nad wszystkim, też uznasz, że to najlepsze rozwiązanie. Nie mów, że nie brałeś go pod uwagę - dodała pod wpływem impulsu.

- Oczywiście, że brałem - przyznał bez zastanowienia. - Ale jeszcze nigdy żadna kobieta nie puściła mnie kantem!

- Ach, rozumiem... - Olga natychmiast odzyskała siły i przestała się nad nim litować. - Możesz powiedzieć swoim kolegom w pracy, że miałaś już dość nawiedzonej artystki w domu i nareszcie ją rzuciłeś - stwierdziła, starając się, by nie wyczuł w jej głosie ironii, a tym bardziej ulgi. - Mnie to nie zaszkodzi, a tobie pozwoli zachować image...

Rzucił jej złe spojrzenie, lecz nie była pewna, czy bardziej dotknęło go podejrzenie o taką egoistyczną postawę, czy raczej jej zdemaskowanie.

- Dziękuję ci za wspaniałomyślność - odparł ironicznie. Olga podejrzewała, że i tak skorzysta z jej propozycji, lecz rozbawiło ją to, zamiast oburzyć. To chyba znak, że naprawdę mi już na nim nie zależy, pomyślała. Jest mi wszystko jedno, co zrobi i powie na mój temat. Jestem wolna, jestem naprawdę wolna - uśmiechnęła się do siebie.

Marek wciąż był zdenerwowany, lecz powoli odzyskiwał swój zwykły dystans do rzeczywistości. Może też zaczął dostrzegać plusy tej sytuacji. Wbrew wszystkiemu zakończyli ten wieczór jak dobrze wychowani ludzie - siedząc przy stole, pijąc wino i omawiając praktyczne szczegóły tej, było nie było, rewolucji w ich poukładanym życiu.

Olga urządziła sobie prowizoryczną sypialnię w pracowni. Właściwie nie raziło jej spędzenie nocy we wspólnej sypialni z Markiem, ale chciała w jakiś praktyczny sposób zaakcentować tę ważną decyzję, zanim w pełni wprowadzą ją w życie. Zaskoczyła ją trochę własna reakcja. Z uśmiechem rozkładała pościel na wąskiej kanapie i czuła się jak swawolna dziewczynka w pierwszy dzień wakacji, gdy otwiera się przed nią świat pełen niespodzianek i przygód.

Nazajutrz Marek zniknął zaraz po śniadaniu. Mimo niedzieli zamierzał rozmówić się ze znajomym, któremu wynajął swoją kawalerkę. Teraz, gdy klamka już zapadła, postanowił wyprowadzić się jak najszybciej. Olga natomiast zadzwoniła do Rafała i streściła mu finał wczorajszej rozmowy.

- Cóż mam powiedzieć... - zawahał się. - Chyba nie wypada składać ci gratulacji?

- No, raczej nie... - odparła. - W każdym razie dziękuję ci, że miałeś dla mnie tyle cierpliwości i nie poganiałeś mnie. - Przerwała na chwilę i zapytała niepewnie: - Powiedz mi, wiedziałeś, że to się tak skończy?

- Nie do końca. Ale według mnie od początku nie pasowaliście do siebie. Sądziłem, że i ty w końcu to zauważysz... I tak długo wytrwałaś. Zawsze byłaś uparta..

- To co, może zjesz ze mną dzisiaj obiad, na dobry początek nowego życia? - spytała.

- Przepraszam, siostrzyczko, ale... jestem już umówiony. Usłyszała w jego głosie wyraźne zmieszanie i pomyślała, że pewnie chodzi o jakąś dziewczynę. Pożegnała go ciepło i odłożyła słuchawkę. Spojrzała w okno - niskie wrzesniowe słońce złociło gałęzie topoli, których liście także nabierały już złotego blasku. Postanowiła gdzieś wyjść, poszukać słońca, spotkać się z kimś, porozmawiać. Zadzwoniła do Hanki, lecz okazało się, że i ona ma jakieś tajemnicze plany. Weronika jeszcze nie wróciła z Genewy, pozostawał więc Cyryl. Zaproszenie na obiad i plotki bardzo go ucieszyły. Przestał się już ukrywać, dzielnie stawiął

czoło świata i wracał do życia, pracy, spotkań towarzyskich. Krótką wymianę zdań Olga zakończyła nieoczekiwanym wyznaniem:

- Rozstajemy się z Markiem. Możesz powiedzieć wszystko z wyjątkiem „a nie mówiłem...”.

Cyryl nie zastanawiał się długo.

- Alleluja! Rozłączył się, nie czekając na jej reakcję.

Cały tydzień w mieszkaniu przy ulicy Lea panował niezwykle rozgardiasz - Marek pakował swoje rzeczy, a Olga pomagała mu w dokonaniu sprawiedliwego podziału ich ruchomego dobytku. Okazało się, że przez cztery lata wspólnego mieszkania nabierali trochę przedmiotów i obrosli rzeczami, niekoniecznie pierwszej potrzeby. Choć czasami podział wcale nie był łatwy. Zwłaszcza gdy dotarli do półek z płytami kompaktowymi...

Znajomy Marka, który okazał się nadzwyczaj spolegliwy, obiecał wyprowadzić się w ciągu tygodnia. Część rzeczy więc, zwłaszcza większych, już w piątek Marek wyekspediował do przyjaciół, którzy mieli pod Krakowem duży dom - nie sposób było upchnąć wszystkiego w trzydziestometrowym mieszkanku, które w dodatku znajdowało się na ósmym piętrze.

W niedzielny wieczór, tydzień po decydującej rozmowie, usiedli razem w pracowni, by dokonać komisyjnego przeglądu zawartości segregatorów, albumów, teczek z dokumentami. Najszybciej rosła sterta przeznaczona na śmietnik - stare rachunki, kwity, paragony, jakieś nie wiadomo po co zatrzymane foldery, reklamy, informatory, a także nieudane zdjęcia. Dwa pozostałe stosy także rosły, trochę więcej było tego różnego dobra po stronie Olgi. Zawsze była nieco sentymentalna, przywiązywała się do drobiazgów, otaczała rzeczami, które nie były może potrzebne, lecz budziły jakieś emocje i wspomnienia. Tak było ze zdjęciami, książkami, listami i pocztówkami z dziwnych miejsc. Lubiała je przeglądać, gdy była w złym humorze... Marek zaś zawsze śmiał się z jej skrzynki skarbów - drewnianego pudełka, w którym kłębiły się pozornie zapomniane muszle, kamyki, szyszki, zasuszone gałuszki i inne śmieci przywiezione z różnych stron świata.

Kupka przynależna Markowi, żałośnie mała w porównaniu z pozostałymi, zawierała przede wszystkim jakieś wciąż przydatne dokumenty i parę zdjęć, niekoniecznie wspólnych.

Olga po raz pierwszy od tygodnia poczuła prawdziwy smutek. Dotarła do niej gorycz osobistej klęski i żal, że mimo wszystko ich wspólna droga nie wyglądała inaczej. Kilka razy zerknęła ukradkiem na Marka, ale wydawał się zupełnie uodporniony na romantyczny klimat tego wieczoru. Może to i lepiej, pomyślała. Wzięła się w garść i przestała szukać śladów przeszłości w każdej niepotrzebnej kartce.

Ponieważ oboje byli dość pedantyczni, dokumentacja zachowała się w idealnym porządku, dzięki czemu przegląd jej odbył się sprawnie i stosunkowo szybko. Swoją działkę Marek zapakował w jedną niewielką torbę. W poniedziałek rano miał jeszcze przyjechać większym samochodem, żeby zabrać kilka kartonowych pudeł z książkami, obrazy, które Olga podarowała mu w ciągu tych kilku lat, i trochę osobistych drobiazgów. Rozejrzał się ostatni raz po całym mieszkaniu, po czym oboje zeszli do kuchni.

Olga zrobiła lekką kolację, otworzyła wino. Rozmawiali swobodnie, bez rozdrażnienia i napięcia, jakie towarzyszyło im w ostatnich miesiącach. Jakby teraz już nic ich nie dzieliło. I może dlatego, że nic ich już nie łączyło... Olga zapytała Marka o najbliższe plany.

- Cóż, wracam do siebie - odparł. - Oczywiście jest to rozwiązanie tymczasowe, nie jestem już początkującym prawnikiem sprzed kilku lat. Poszukam sobie czegoś większego, o odpowiednim standardzie. Może w tych nowych apartamentowcach na Kurdwanowie. Chyba że... - zawahał się.

- Chyba że? - powtórzyła pytająco.

- Wspominałem ci chyba o planach fuzji z Alt - Starem. Jeśli to wypali, będę miał możliwość przejścia do centrali w Warszawie. Teraz już nic mnie tu nie trzyma - dodał, nie patrząc jej w oczy.

Olga pomyślała, że chyba powinna się zmartwić, ale nic takiego nie czuła. Perspektywa wyjazdu Marka w żaden sposób jej nie dotknęła. Zresztą zawsze marzył o Warszawie. Twierdził, że tylko tam można naprawdę zaistnieć.

Rozmowa zesłała na tematy zawodowe. Dopili wino, powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się do swoich pokojów. To miała być ostatnia ich noc pod jednym dachem.

Nazajutrz Marek w ramach pożegnania przygotował poranną kawę. Żadne z nich nie wiedziało, jak się należy zachować w takiej sytuacji - nie byli sobie już bliscy, ale przecież nie byli też obcy - więc pożegnanie wypadło dość sztucznie.

Po śniadaniu Olga pobiegła do wydawnictwa. Wracała teraz do pracy z nowym zapałem, z nowymi siłami i pomysłami. Skończyła już Borgemunda, zamknęła większość projektów i była gotowa na nowe wyzwania. W sobotę miało się odbyć spotkanie klubu, pierwsze po dwumiesięcznej przerwie. Nawet Hanka obiecała, że wpadnie na chwilę. Olga zamierzała oficjalnie ogłosić, że zaczyna nowe życie, bez Marka, co jej znajomi już dawno uznali za dobrą wiadomość.

Wydawało się, że wszyscy mają już za sobą najtrudniejsze chwile, życiowe zakręty i niełatwe decyzje. Żadne znaki na niebie i ziemi nie zapowiadały kolejnej katastrofy. Nic, zupełnie nic nie wzbudziło jej czujności, nie pozwoliło się przygotować.

W czwartkowy poranek jesienne słońce słabiej niż zwykle rozświetliło witraż w sypialni. Olga przeciągnęła się leniwie, wypoczęta i zadowolona z życia. Poprzedniego wieczoru postawiła kropkę nad „i” - skończyła malować Pietę. Odczuwała teraz satysfakcję i ulgę, lecz wiedziała, że ten stan nie potrwa długo, a potem obudzą się wątpliwości. Zawsze tak było. Dlatego projekty dla Syriusza starała się dostarczać dyrektorowi jak najszybciej po ich ukończeniu. Jeśli przegapiła odpowiedni moment, zaczynała poprawiać. I nigdy już kolejne wersje nie były tak dobre jak pierwsza, do którego nie umiała już wrócić.

Dzisiaj mogła trochę poleniuchować, poczytać w łóżku, przyrządzić jakieś skomplikowane wegetariańskie śniadanie - nie musiała biec na Mikołajską, miała do ukończenia ważną pracę domową, a po południu wybierała się na spotkanie z wydawcą w sprawie ilustracji do kolejnej książki, tym razem z klasyki dziecięcej. Patrzyła na kolorowe cienie na ścianie i przypominała sobie, jak można się cieszyć takimi zwykłymi drobiazgami. Bez trudu zaprzyjaźniała się z samotnością i witała w drzwiach domu tę dawną, zapomnianą i porzuconą dziewczynę, którą była kilka lat temu.

Dochodziło południe, gdy zadzwonił telefon. Olga siedziała skupiona w pracowni i robiła pierwsze szkice baśniowych postaci.

- Adam? - zdziwiła się, słysząc znajomy głos. - Przykro mi, Marka nie ma. Sądziłam... - zawahała się, ale uznała, że sprawa i tak prędzej czy później się wyda, a przecież Adam był przyjacielem i należały mu się wyjaśnienia. - Sądziłam, że Marek poinformował cię o zmianach, jakie zaszły w naszym życiu. Wyprowadził się kilka dni temu. Wrócił do dawnego mieszkania. I powinien być pod komórką albo w pracy...

W tym momencie uświadomiła sobie, że jest zwykły dzień roboczy i Adam dzwoni najprawdopodobniej właśnie z pracy.

- Tak, wiem - powiedział Adam jakoś ponuro. - Nie o niego mi chodzi. To znaczy o niego... - poprawił się. - Słuchaj, Olga, Marek jest w szpitalu...

- W szpitalu? Dlaczego? Co się stało?

- Sam jeszcze nie wiem. Przyszedł do pracy, ale od rana skarżył się na ból głowy. A potem nagle przewrócił się w swoim biurze i stracił przytomność. Pół godziny temu zabralo go pogotowie. Jadę właśnie do szpitala na Wrocławską. Pomyślałem... pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. Mimo wszystko. Przepraszam, jeśli...

- Dobrze zrobiłeś - przerwała mu szybko. - Zaraz tam będę. Ręce jej drżały, gdy przebierała się do wyjścia. W głowie miała absolutny chaos. Chłodne powietrze i szybki marsz sprawiły, że trochę ochłoneła, ale pytania nie chciały ucichnąć. Co się stało? Dlaczego?

Już z daleka widziała Adama, krążącego po korytarzu tam i z powrotem.

- Mów, co się dzieje! - zawołała bez powitania.

- Nie wiem. Marek jest teraz operowany. To jedyna informacja, jaką udało mi się uzyskać.

- Operowany? - przestraszyła się. - To znaczy, że to coś poważnego. Co się właściwie stało?

- Nie było mnie przy tym. Z tego, co wiem, po prostu nagle zemdleł. Próbowano go cucić, ale bez skutku. Ktoś wezwał pogotowie. Gdy tam dotarłem, właśnie go zabierali.

Olga nie wiedziała, o co jeszcze może zapytać. Zacisnęła kurczowo dłoń. Boże, miej litość, pomyślała. Adam dotknął jej ramienia.

- Będzie dobrze - powiedział.

Automatycznie kiwnęła głową. Siedzieli w milczeniu na korytarzu, z nadzieją patrząc na każdą pielęgniarkę pojawiającą się w drzwiach. Nie wiedzieli, ile czasu minęło, chociaż czuli jego upływ aż nadto dotkliwie. Wreszcie podszedł do nich młody lekarz i zapytał, czy są krewnymi Marka Rymkiewicza. Spojrzeli po sobie niepewnie.

- Jestem jego narzeczoną - odparła Olga zdecydowanie i przedstawiła Adama jako przyjaciela i współpracownika. - Marek nie ma w Krakowie bliskiej rodziny, a jego siostra mieszka we Francji. Próbujemy się z nią skontaktować - dodała bez zająknięcia.

Lekarz wyraźnie się wahał, ale w końcu wprowadził ich do gabinetu.

- Nie będę przed państwem ukrywał, że stan pacjenta jest ciężki - zaczął profesjonalnym tonem.

- Zaraz, ale co mu właściwie dolega? To przecież zdrowy, wysportowany trzydziestolatek. Jest za młody na zawał... - nie wytrzymał Adam, a lekarz spojrzał na niego z pobłażliwą naganą.

- Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Ani nawet kondycja. Pański przyjaciel miał w mózgu tętniaka - powiedział, a jego słowa zabrzmiały jak wyrok. - Czy pani narzeczonemu nie skarżył się ostatnio na bóle głowy, zaburzenia wzroku albo jakieś inne dolegliwości? - spytał.

- Nie. To znaczy tak... właściwie tak... - Olga przypomniała sobie rozdrażnienie Marka, jego częste migreny, zmęczenie. Nie tak dawno kupowała w aptece krople do oczu i żel ze świetlika, bo skarżył się, że nie może wieczorami pracować przy komputerze, gdyż bołą go oczy i widzi jak przez mgłę. Kładła to wszystko na karb przepracowania, doradzała, żeby trochę zwolnił tempo, próbowała nawet namówić na wizytę u okulisty, ale ciągle brakowało mu czasu. Zresztą sam nie traktował tych dolegliwości poważnie. - Tak, ma pan rację - zwróciła się do lekarza i opowiedziała o wszystkich swoich obserwacjach.

- No właśnie, to by się zgadzało. Tętniak był umiejscowiony w płacie czołowym, prawdopodobnie uciskał nerwy wzrokowe, powodując bóle głowy i zaburzenia widzenia. Trudno określić w tej chwili, od jak dawna pacjent funkcjonował w tym stanie. Wykrycie guza możliwe jest nawet w bardzo wczesnej fazie dzięki specjalistycznym badaniom, przede wszystkim tomografii komputerowej, no ale oczywiście dobrze jest wiedzieć, czego się szuka, a pacjent musi się do nas zgłosić.

Lekarz mówił suchym, obojętnym tonem, jakby czytał medyczny podręcznik. Olga wpatrywała się w niego intensywnie, próbując przewidzieć ciąg dalszy i z nadzieją czekając, aż rozwieje podejrzenia, które mimowolnie zrodziły się w sercu.

- Wczesne wykrycie tętniaka znacznie zwiększa szanse pacjenta...

- Przepraszam, szanse na co? - przerwał mu Adam ostrym tonem.

Lekarz spojrzał na niego zdumiony.

- Na przeżycie oczywiście. Tętniak jest śmiertelnym zagrożeniem. To coś w rodzaju bomby zegarowej umieszczonej w głowie. Jeżeli pęknie... cóż, szanse na przeżycie są minimalne.

- Czy próbuje nam pan powiedzieć, że Marek...? - zaczęła Olga, lecz nie zdołała dokończyć zdania.

- Nie - odparł lekarz spokojnie. - Mówiąc obrazowo, tętniak rośnie i dojrzewa. Może to przebiegać bezobjawowo, ale często wywołuje różne dolegliwości, zależnie od tego, jakie nerwy uciska guz. W przypadku pani narzeczonego to dzisiejsze omdlenie było szczęściem w nieszczęściu, bo tętniak mógł pęknąć w każdej chwili. Interwencja chirurgiczna nastąpiła tuż przed katastrofą, co oczywiście zwiększa szanse, ale tak jak powiedziałem, jego stan jest ciężki. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Jeśli wybudzi się w ciągu doby, będziemy mogli mówić o wielkim sukcesie.

- A jeśli nie? - zapytała Olga stłumionym głosem.

- Cóż... trudno wszystko przewidzieć. Statystycznie...

- Nie obchodzi mnie statystyka - przerwała szorstko. - Chcę wiedzieć, co mu grozi.

- Wszystko, proszę pani. To jest ciężki uraz mózgu, więc... Rozległo się gwałtowne pukanie i drzwi uchyliły się lekko.

Na sekundę mignęła w nich głowa pielęgniarki.

- Doktorze, jest pan natychmiast proszony na salę operacyjną.

Młody lekarz wstał szybko i przeprosił swoich rozmówców.

- Proszę zgłosić się do doktora Szostaka, powinien być niedługo wolny. To on operował, jest świetnym neurochirurgiem. Ja tylko asystowałem.

Po chwili znaleźli się znów na korytarzu, zdezorientowani, przestraszeni, nie wiedząc, co mogą ani co powinni zrobić.

- Co teraz? - spytała Olga bezradnie.

Adam spojrzał na jej pobladłą twarz i natychmiast przejął inicjatywę.

- Usiądź tutaj. Pójdę się czegoś dowiedzieć.

Chwilę później zniknął za zakrętem korytarza. Olga usiadła ciężko na drewnianej ławie i oparła głowę na dłoniach, lecz wytrwała w tej pozycji niezbyt długo. Wiedzioną instynktem, wypatrzyła automat z napojami. Adam długo nie wracał, więc wypila oba kubki kawy i poszła po następne. Gdy chwilę później pojawił się na korytarzu, podała mu gorącą kawę, nic nie mówiąc. Wszystkie pytania i niepozwalający ich wypowiedzieć strach zobaczył w jej oczach.

- Niewiele się dowiedziałem. - Upił łyk kawy. - Operacja się udała, lekarze byli zadowoleni. Marek jest już w sali pooperacyjnej, ale w tej chwili nie można do niego w ogóle wchodzić. Możemy go odwiedzić dopiero jutro, jeśli... jeśli wszystko pójdzie dobrze.

- To znaczy - jeśli się wybudzi. A jeśli nie?

- Rozmawiałem z tym całym doktorem Szostakiem. Jest dobrej myśli. Mówi, że Marek miał naprawdę dużo szczęścia. Musimy czekać - podsumował Adam.

Olga wpatrywała się w niego z napięciem, jakby przeczuwając, że nie powiedział jej wszystkiego. Rzeczywiście. Nie powiedział, że pacjenci w takim stanie mają dziesięć, góra dwadzieścia procent szans na przeżycie. Że nawet jeśli Marek się wybudzi, może nie być w pełni sprawny.

- To jest mózg - Szostak powtórzył wiernie słowa młodego lekarza. - Pacjent może pozostać w stanie śpiączki, może nie odzyskać świadomości, a jeśli ją odzyska, może nie widzieć, nie słyszeć, może być częściowo lub całkowicie sparaliżowany. Właściwie wszystko się może zdarzyć. Całkowity powrót do zdrowia również, nawet jutro. Widziałem takie rzeczy.

Adam ograniczył swoją relację do spraw najważniejszych i najbardziej optymistycznych. Nie chciał niepotrzebnie martwić Olgi. I tak była przerażona.

- Będzie dobrze - powtórzył z przekonaniem. - Chodź, odwiozę cię do domu. Wpadnę tu jutro prosto z pracy. Zresztą umówiłem się z dyżurną pielęgniarką - gdyby coś się działo, mają mnie zawiadomić.

- Ja zostaję - powiedziała Olga stanowczo.

Zdziwił się i trochę zaniepokoił, ale żadne racjonalne argumenty do niej nie docierały. Postanowiła zostać w szpitalu. Adam rozejrzał się bezradnie.

- Chcesz tu spędzić noc? - zapytał niepewnie, ale szybko zrozumiał, że sam nic nie wskóra. - Dobrze. Posłuchaj, ja muszę jechać do domu. Gosia nie najlepiej się czuje. Jest w drugim miesiącu ciąży - dodał i na chwilę jego głos zmienił barwę, a w oczach mignęły ciepłe iskierki.

Olga spojrzała na niego uważniej i uśmiechnęła się blado.

- Cieszę się. Naprawdę. To dobra wiadomość. Łyżka miodu w beczce dziegciu... Idź już. Powinieneś być z nią. A ja powinnam być tutaj. Widzisz, życie samo ustala nasze miejsce w szeregu. Nie sposób się wyrwać... - dodała bardzo cicho. - Idź już, proszę.

Adam zrozumiał, że chce zostać sama. Pożegnał ją ciepło, obiecał, że wpadnie rano, i ruszył do wyjścia. Nie zamierzał jednak zostawić jej samej. Nie w takiej chwili.

Tymczasem gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Olga wyruszyła na poszukiwania. Każda wiedza lepsza jest niż niepewność, pomyślała. Znalazła dyżurkę lekarzy, zapukała i na głośne „proszę” weszła, starając się zachować pewność siebie i opanowanie. Doktor Szostak okazał się miłym starszym panem z czupryną siwych włosów a Ja Paderewski i maleńką hiszpańską bródką. Potraktował ją życzliwie, niemal po ojcowsku, omawiając szczegółowo i przystępnie wszystkie aspekty choroby Marka. Nie ukrywał prawdy, ale starał się podać ją oględnie i delikatnie.

- Dziękuję - powiedziała Olga.

Wstała i podeszła wolno do drzwi. Lekarz patrzył na nią ze smutkiem. Ileż takich kobiet, starszych i młodszych, widział w swoim gabinecie w ciągu trzydziestu lat pracy? Ilu z nich musiał powiedzieć najgorszą prawdę, która burzyła ich świat, wywoływała jęk bólu, omdlenia i łzy? Niektóre z nich, tak jak Olga, miały w sobie wolę walki. Mimo strachu. To także widział. I wiedział, że czasem nie wystarcza.

Stojąc w progu, Olga odwróciła się w jego stronę.

- Doktorze... Co ja mam robić? Czy mogę coś zrobić? - spytała cichym, lecz mocnym głosem.

- Wierzy pani w Boga? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Proszę się modlić. Ja swoje zrobiłem. Reszta należy do niego.

- Dziękuję - powtórzyła.

Po chwili znów siedziała na szpitalnym korytarzu z kolejnym kubkiem kawy w zdrętwiałych dłoniach. To nie strach jest najgorszy. Nawet nie ból. Najgorsza jest bezsilność, pomyślała. Czekać. Czekanie może zabić. Jeśli nie ciało, to na pewno ducha - wewnętrzną siłę, wolę walki i nadzieję. Chociaż ona podobno umiera ostatnia...

Olga wstała gwałtownie, zgmiotła w dłoń plastikowy kubek i z impetem wrzuciła do kosza. Zaczęła przemierzać długi szpitalny korytarz niczym dziki kot krążący po klatce. Ściany miały kolor zielonego groszku. Przypomniła sobie ostatni pobyt w szpitalu, gdy zachorowała ciotka Luiza, a ona spędzała przy jej łóżku długie godziny - wtedy wszystko wokół było takie nieskazitelnie białe, takie sterylne. Dzisiaj placówki medyczne miały być bardziej przyjazne pacjentom. Przyjazne! Co za bzdura, pomyślała ze złością. Dotarła do przeszklonych drzwi wychodzących na klatkę schodową i zawróciła. Po kilku zaledwie krokach zatrzymało ją wołanie. W drzwiach stała Weronika.

- Witaj, skarbie. - Podeszła szybko i uściskała Olę. - Jak się czujesz? Pewnie nic nie jadłaś - dodała, nie czekając na odpowiedź. Wzięła przyjaciółkę pod ramię i zdecydowanie pociągnęła w stronę drzwi. - Widziałam na dole całkiem przyjemny barek, mają zapiekanki, hamburgery i ciastka. Musisz coś zjeść. I napić się kawy.

- Piłam już kawę - zaprotestowała Olga bezbarwnym głosem, lecz poddała się tym wszystkim zabiegom z jakimś dziwnym rodzajem ulgi.



Wreszcie coś się działo. Lepsza była ta bezsensowna krzątanina niż beczynne siedzenie na korytarzu i wpatrywanie się w zieloną ścianę. Pozwoliła wmusić w siebie zapiekanekę z serem i herbatę. Jadła, piła i rozmawiała z Weroniką, chwytając się tych pozorów normalności jak deski ratunkowej.

- Wczoraj dopiero wróciłam. Konferencja była bardzo udana, a poza tym Genewa jest naprawdę pięknym miastem - przestronnie, czysto, zielono... - opowiadała żywo Weronika.

- Skąd wiedziałaś? - przerwała jej Olga. - Skąd wiedziałaś, gdzie jestem i co się stało?

Przyjaciółka spojrzała na nią uważnie i uznała, że nadaje się już do normalnej rozmowy.

- Adam zadzwonił do Maksa. Pamiętasz naszą wspólną imprezę, gdzieś chyba na początku wakacji? No więc Adam i Maks bardzo przypadli sobie do gustu. Chodzą razem na basen i potrafią godzinami rozmawiać o motocyklach, z czego ja rozumiem tylko co piąte słowo - wyjaśniła i zapytała wprost: - Co z Markiem?

Olga westchnęła ciężko i patrząc uparcie w swoją szklanekę, krótko opisała sytuację. Kończyła już, gdy w drzwiach pojawił się Cyryl. Podszedł do nich szybko i usiadł przy stoliku.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział zdyszany. - Jak się masz, jaskółeczko?

- Spóźnienie? To jakaś zmowa?

- Nie, skąd. Adam powiedział, że zamierzasz zostać w szpitalu, więc przyjechaliśmy, żeby dotrzymać ci towarzystwa - odparł Cyryl niefrasobliwie. - W samochodzie mam koce, śpiwory i prowiant. Przynieść od razu? - spytał z niewinną miną.

Weronika rzuciła mu miążdzące spojrzenie, lecz Olga popatrzyła na przyjaciela i uśmiechnęła się słabo.

- Wariat - powiedziała tylko, ale wszyscy odetchnęli z ulgą. Napięcie znikło. Weronika w kilku słowach streściła sytuację Cyrylowi. Kiwał głową i wpatrywał się w Olgę.

- No dobrze - powiedział - i co chcesz zrobić?

- A co ja mogę? Zostanę przy nim, dopóki się nie obudzi. A potem... zobaczymy. To przecież mój mężczyzna. Nie ma żadnej bliskiej rodziny, ma tylko mnie - odparła spokojnie.

Pozostała dwójka spojrzała na siebie porozumiewawczo. Weronika otworzyła już usta, żeby przypomnieć, że niedawno się przecież rozstali, lecz w porę zauważyła przeczący ruch głowy Cyryla i jego wyraźne ostrzeżenie.

- No tak, oczywiście... - bąknęła tylko.

Żadne z nich nie odważyło się zadać pytania, co będzie, jeśli Marek pozostanie w śpiączce.

- Byłaś u niego? - spytał Cyryl rzeczowo.

- Nie. Nie wpuścili mnie...

- Więc po co chcesz tu siedzieć? Pomyśl rozsądnie... - starannie ważył słowa. - Marek wybudzi się w ciągu doby, ale najwcześniej jutro rano. Nie pomożesz mu, koczując na szpitalnym korytarzu, jeśli wcześniej nie wyrzuci cię ochrona. Za to później możesz mu być potrzebna, wypoczęta i w pełni sił.

Widać było, że ta argumentacja odniosła skutek. Olga nie broniła się już zbyt mocno.

- Cyryl ma rację - przyłączyła się Weronika. - Musisz się trochę przespać. Albo chociaż wyciągnąć na kilka godzin we własnym łóżku.

Gdy wychodzili ze stołówki, Cyryl szepnął do Weroniki: '? - Wezwij posiłki. Masz numer Rafała?

- Chyba mam...

W kilka minut dojechali na ulicę Lea. Był już wieczór i ruch uliczny zmalął. Olga właściwie nie zdziwiła się, widząc pod domem samochód brata. Bez trudu zauważyła tę całą konspirację, ale przyjęła nadopiekuńczość swoich przyjaciół z wdzięcznością. Świadomość, że może liczyć na wsparcie tylu ludzi, dodawała jej sił. Tego wieczoru nadzieja była jeszcze silniejsza niż strach.

Cyryl zostawił Olgę pod opieką brata i wrócił do samochodu. Spojrzał pytająco na Weronikę.

- Do Karolka?

- Do Karolka - powtórzyła.

Nie minął kwadrans, gdy siedzieli już w przytulnym znajomym wnętrzu, stosunkowo pustym w ten czwartkowy wieczór. W weekendy było tutaj gwarniej. Ale dzisiaj nie mieli ochoty na wesołe rozmowy.

Weronika wypija zdecydowanie zbyt szybko swoje martini i zamówiła kolejne. Cyryl rzucił jej uważne spojrzenie. Pił tylko sok pomidorowy.

- To nie fair... - powiedziała. - Olga nie jest mu nic winna. Nie może czuć się za Marka odpowiedzialna. Są dorośli. Spędzili ze sobą parę lat, zgoda, ale to się skończyło. Rozstali się, zaczęli nowe życie.

- Tydzień temu - wtrącił Cyryl nieubłaganie.

- To co? - oburzyła się. - To znaczy, że takie rozstanie nie ma mocy prawnej, chociaż weszło już w życie? To znaczy, że Olga ma być teraz siostrą miłosierdzia, pielęgniarką i opiekunką mężczyzny, którego już nie kocha, który nawet nie jest jej mężem? Dlaczego?

- Może uważa, że tak trzeba? Że jej miejsce jest teraz przy Marku? Wolałabyś, żeby się od niego odwróciła w takiej chwili? - zapytał spokojnie, a gdy milczała, dodał z dziwnym wyrazem twarzy: - Nie robi tego. Nie ona. Zresztą o czym my rozmawiamy? Marek pomyślnie przeszedł operację, obudzi się być może rano, zdrowy i sprawny, a po paru dniach wróci do domu. Olga przy nim trochę posiedzi, poczyta gazety, przyniesie ciasto i owoce, a potem każde z nich pójdzie swoją drogą. I wszystko będzie jak dawniej, jak było jeszcze wczoraj.

- Od kiedy to jesteś takim optymistą? - spytała Weronika ironicznie. - Bardzo bym chciała wierzyć, że to możliwe...

- Oczywiście, że możliwe. Musimy myśleć pozytywnie. Weronika nie pozwoliła się jednak zbyć. Pochyliła się nad szklanym blatem, zacisnęła dłonie na jego krawędzi i patrząc Cyrylowi prosto w oczy, spytała:

- No dobrze, a pomyślałeś, co będzie, jeśli on się nie wybudzi? Jeśli pozostanie rośliną? Przecież to się zdarza przy urazach mózgu. A jeśli obudzi się sparaliżowany albo niewidomy? Co wtedy? Czy Olga uzna za swój obowiązek zajmować się nim, pielęgnować go, pozostać z nim na resztę życia? Jeśli zostanie na całe lata przykuta do inwalidy, z którym na swoje nieszczęście rozstała się zbyt późno, to też uznasz, że to w porządku, że tak trzeba? - wyrzucała z siebie słowa coraz szybciej i gwałtowniej.

Cyryl patrzył na nią ze zdziwieniem.

- Nie wiem, Nika. Skąd mogę wiedzieć, co zrobi Olga? Mam nadzieję, że wszystko się ułoży i nie będzie musiała dokonywać takich wyborów. Nic nam nie da zamartwianie się na zapas.

- Masz rację... - Weronika ucichła szybko po tym nieoczekiwanym wybuchu.

- Powiesz mi, o co chodzi? - zapytał Cyryl. - Rozumiem, że się przejęłaś, ale przecież to nie współczucie dla przyjaciółki tak cię wytrąciło z równowagi.

Milczała, wpatrując się w szklankę i wolniutko wodząc palcem wskazującym po jej krawędzi.

- To proste - powiedziała cicho. - Ja wiem, jakie to głupie brać odpowiedzialność za faceta, zrezygnować dla niego z własnych potrzeb, ulec manipulacjom do tego stopnia, by dobrowolnie oddać się na służbę. Wiem, bo sama to przeżyłam. - Pociągnęła łyk martini i spojrzała na Cyryla. - Znasz historię mojego małżeństwa? Rozvodu? - spytała już zupełnie spokojnie.

- Tak pobieżnie... - odparł ostrożnie.

- Więc znasz. Wszyscy znają - mruknęła gorzko. - Mój mąż nie należał do dyskretnych, a nasz rozwód był prawdziwym spektaklem dla gawiedzi. Ale zapewniam cię, że to, co stało się publiczną własnością, i tak stanowiło tylko wierzchołek góry lodowej. - Znów przerwała i napiła się. Nie umiała jednak i chyba nie chciała się już zatrzymać. Wspomnienia napłynęły falą, a Cyryl potrafił słuchać. - Kochałam go - powiedziała. - Naprawdę. Tak bardzo, że wszystko mu wybaczałam. - Uśmiechnęła się gorzko. - Nie masz pojęcia, jakie rzeczy może wybaczyć zakochana kobieta, z miłości i ze strachu. Zdrady, przesadny pociąg do alkoholu i hazardu, do nocnych zabaw w rozrywkowym towarzystwie. Nawet to, że ukochane dłonie podnoszą się przeciwko tobie, by zadać cios. Nawet to...

Cyryl patrzył na nią oniemiały. Nie potrafił sobie wyobrazić, że jakiś mężczyzna mógłby tak potraktować Weronikę. Zresztą w ogóle nie rozumiał, jak można traktować tak kobiety.

- Za każdym razem przepraszał. Mówił, że jestem jego miłością, jedynym oparciem, ratunkiem. Że nie potrafi beze mnie żyć. Obiecywał poprawę. A ja wierzyłam i czekałam. Ale było tylko gorzej. Gdy już nie miałam siły i wspominałam o rozstaniu, znów przepraszał, błagał, uciekał w alkohol, chorobę, groził samobójstwem. W przemyślany sposób wyrabiał we mnie poczucie winy i odpowiedzialności. Dopiero gdy odważyłam się wnieść sprawę o rozwód, zmienił taktykę. Przestał udawać niewinną ofiarę oziębłej, despotycznej żony i zaatakował z całą premedytacją i brutalnością, do jakiej był zdolny. Nie przebierał w środkach, by mnie pognać i upokorzyć. Ale na przekór wszystkiemu właśnie to dodało mi sił. Gdy przestał udawać, znikło całe moje poczucie winy i obowiązku. Gdy nie musiałam już martwić się o niego, mogłam pomyśleć o sobie. - Spojrzała na Cyryla. - Cóż, było minęło. Co nas nie zabije, to nas wzmocni. Teraz jestem szczęśliwa, spokojna i nie wracam do przeszłości. Ale zawsze irytuje mnie, gdy jakiś mężczyzna manipuluje kobietą, wzbudzając w niej fałszywe poczucie odpowiedzialności. I szczerze współczuję tym, które nie mają dość siły, by się temu przeciwstawić.

- To dlatego traktujesz mężczyzn tak... - chwilę szukał właściwego określenia - tak tymczasowo i funkcjonalnie?

Weronika uśmiechnęła się.

- To zawsze jest transakcja wiązana, z korzyścią dla obu stron. Bilans wychodzi na plus.

- A Maks? - zapytał Cyryl. Przy pierwszym kieliszku martini nie pozwoliłby sobie na takie pytanie, ale przy czwartym mógł zaryzykować.

- Maks... - głos Weroniki złagodniał. - Jest w porządku. Nie chciałabym mu zrobić krzywdy, ale też nie zamierzam pozwolić sobie na utratę kontroli nad własnym życiem - zakończyła zdecydowanie.

- A nie myślałaś nigdy, że warto byłoby spróbować jeszcze raz, z odpowiednim człowiekiem? Sama mówisz, że Maks jest w porządku, a chyba każdy potrzebuje bliskości, poczucia bezpieczeństwa i oparcia w trudnych chwilach....

Weronika uśmiechnęła się kpiąco.

- Teoretycznie tak. Ale widzisz, nie wyniosłam z domu przekonania, że na mężczyznach można polegać. Mój ojciec był egoistą i hipochondrykiem. Nie wiem, czy zauważyłby, że matka jest ciężko chora i prawie nieprzytomna, gdyby nie brak wyprasowanej koszuli i śniadania na stole. Lekarze zatrzymali ją wtedy w szpitalu prawie na miesiąc i choć nigdy tego nie powiedziała, wiem, że były to jej pierwsze wakacje w dorosłym życiu. A ojciec czuł się pokrzywdzony i prawie się na nią obraził. Miałam wtedy czternaście lat i przyrzekłam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż. Złamałam przyrzeczenie, bo zakochałam się jak idiotka. Ale życie ukarało mnie za to odstępstwo. Ciężko pracowałam na to, co mam dzisiaj, i chociaż lubię mężczyzn, nie pozwolę sobie tego odebrać. Już nigdy nie dam się skrzywdzić...

Dochodziła północ, gdy pożegnali Karolka i wyszli z baru prosto w ramiona chłodnej jesiennej nocy. Weroniką wstrząsnął dreszcz zimna. Cyryl zawiózł lekko już senną przyjaciółkę pod same drzwi jej mieszkania.

- Będziesz jutro w szpitalu? - spytała.

- Oczywiście. Olga nie powinna być sama.

- Wiesz, Cyryl... - zaczęła i uśmiechnęła się - jesteś jednym z najlepszych facetów, jakich kiedykolwiek spotkałam. Daj znać, gdybyś zmienił orientację... - zażartowała.

- Jasne. Wpiszę cię na listę oczekujących... - roześmiał się.

- Dobrej nocy.

Olę obudził znajomy zapach kawy. Rafał stał przy jej łóżku z kubkiem w dłoniach. Rozmawiali do późna, więc zamiast wracać do domu, przespał się na kanapie w pracowni. Olga sądziła, że wcale nie zaśnie, ale położyła się, by trochę odpocząć. Chwilę później Rafał otulał ją kocem jak niemowlę.

- Wybacz, muszę już jechać - powiedział. - Dasz sobie radę?

- Oczywiście. Dziękuję - odparła ciepło. Upiła łyk gorącego, ciemnego płynu i westchnęła z lubością. - Wyszłabym za ciebie choćby jutro, gdybyś nie był moim bratem - mruknęła.

- Nie znam faceta, który parzyłby taką kawę.

- Tak? A ja myślałem, że nie mogę się równać z Igorem... Uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy, a Rafał pożałował swoich słów. Uściskał ją na pożegnanie i obiecał wpaść do szpitala po południu.

Kilkugodzinny sen i mocna kawa postawiły Olę na nogi. Wrócił jej wrodzony optymizm i wiara w szczęśliwą gwiazdę. Znow była gotowa do zmagania z losem i postanowiła śmiało spojrzeć mu w oczy. Przyjechała do szpitala kwadrans po ósmej. Pielęgniarki poinformowały ją, że właśnie trwa poranny obchód, więc usiadła na znajomej zielonej ławce i niecierpliwie czekała.

Doktor Szostak kończył dyżur. Przyjął ją bardzo uprzejmie, powiedział, że stan Marka jest stabilny, ale pacjent jeszcze się nie obudził. Pozwolił jej na chwilę wejść na salę pooperacyjną. Ubrana w specjalny strój ochronny stanęła nieśmiało przy łóżku, patrząc ze zdumieniem na tę znajomą twarz, która teraz wyglądała jak woskowa maska - surowa i obca.

- Nie rób mi tego, Marku... wracaj... - szepnęła bezgłośnie.

Z lękiem dotknęła leżącej bezwładnie na pościeli ręki. Była ciepła i wciąż pełna życia. Odetchnęła głęboko i szybko wyszła na korytarz.

- Najbliższe godziny będą decydujące - powiedział lekarz. - Oczywiście zdarza się, że po takich operacjach pacjenci pozostają nieprzytomni dłużej, czasem budzą się po kilku, nawet kilkunastu dniach, ale to rzadkość. Z każdym dniem szanse maleją.

Olga pokiwała w milczeniu głową i wróciła na swój posterunek. Wszystko będzie dobrze, obudzi się, powtarzała sobie w myślach jak zaklęcie. Tuż przed południem przyjechała Weronika i zmusiła ją do zjedzenia późnego śniadania, a chwilę po jej odejściu pojawili się Cyryl z Hanką. Była im wdzięczna za pomoc, za troskę, ale chciała wreszcie zostać sama, spokojnie pomyśleć, gruntownie przeanalizować sytuację. Około trzeciej zeszła do szpitalnej kaplicy, lecz modlitwa nie przyniosła ukojenia. Wróciła na swoje miejsce na korytarzu.

Przez wiele godzin czekała na dobre wieści. Ale nie nadeszły. Ani tego dnia, ani następnego. W poniedziałek przeniesiono Marka do innej sali i podłączono do całej baterii najróżniejszych urządzeń. Teraz Olga mogła go odwiedzać i zostawać przy nim dłużej.

W pokoju były trzy łóżka. Jedno stało puste, a na drugim leżał bardzo młody i wychudzony chłopak, również nieprzytomny. Codziennie odwiedzała go elegancka, pięćdziesięcioletnia kobieta o bardzo łagodnych rysach i niezwykle kunsztownej fryzurze. Pewnie za każdym razem w drodze do szpitala odwiedza salon fryzjerski, pomyślała Olga i

wzruszyło ją to. Łatwo można się było domyślić, że jest matką chłopca. Zawsze była zajęta - przycinała mu paznokcie, rozczesywała jasne, lekko kręcone włosy, przecierała twarz, poprawiała pościel. I niemal bez przerwy do niego mówiła. Milkła, gdy do pokoju wchodziła Olga. Siadała wtedy blisko niego, brała w swoje dłonie jego rękę i powolnym ruchem gładziła.

Mijał właśnie tydzień od operacji. Olga przyszła do szpitala po pracy, późnym popołudniem, i usiadła przy łóżku. Sąsiadka czytała na głos książkę, ale przerwała na jej widok. Po kilku minutach ciszy Olga odezwała się niespodziewanie:

- Co pani czyta?

- Och, powieść Karola Maya. Paweł uwielbiał czytać o przygodach Indian. - Uśmiechnęła się. - Jest bardzo zdolny, dużo czyta, dobrze się uczy. W tym roku miał zdawać maturę... - przerwała na moment. - Ale co tam... jeszcze wszystko przed nim... Właściwie powinnam mu czytać lektury, ale przecież należy mu się trochę przyjemności, a Winnetou był zawsze jego ulubionym bohaterem.

- Myśli pani, że on to słyszy? - spytała Olga z powątpiewaniem.

- Nie wiem - wyznała szczerze kobieta. - Mam nadzieję, że tak...

Pierwsze lody zostały przełamane.

- To pani mąż? - spytała teraz Olgi.

- Nie. Narzeczony.

- Ach, rozumiem. I co mu się stało?

Olga bez oporów opowiedziała całą historię.

- No tak... - kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem. - A mój Pawełek miał wypadek. Jechał z kolegą na motocyklu. Zderzyli się z busem. Może za szybko jechali, było ślisko, oblodzona jezdnia...

- Słucham? - przerwała jej Olga. - Oblodzona jezdnia?

- No tak, bo to był styczeń.

- To znaczy, że pani syn...? - zająknęła się Olga.

- ...jest w śpiączce od ponad ośmiu miesięcy - padła wyraźna odpowiedź.

Olga westchnęła głęboko.

- Przepraszam - powiedziała i wybiegła na korytarz.

Pochyliła głowę i oparła czoło o zimną szybę. Osiem miesięcy! Stała chwilę nieruchomo, a potem bez pożegnania i wyjaśnień, bez rytualnej już wizyty u lekarza wybiegła ze szpitala.

Chodziła ulicami miasta przez kilka godzin, nie czując głodu ani zimna. Nie podejmowała żadnych decyzji. Wiedziała, że życie zrobiło to za nią, ale potrzebowała czasu i samotności, by się z tym pogodzić. Było już dość późno, gdy dotarła do baru U Karolka. Nie miała jeszcze ochoty wracać do domu. I nie chciała nikogo widzieć. Wszyscy jej współczuli, ale przecież to jej życie się waliło i sama musiała się z tym uporać.

Było już po jedenastej, a Olga wciąż siedziała samotnie w kącie zadymionej sali i wpatrywała się pustym wzrokiem w szklanekę wypełnioną złotym płynem. Lód dawno się rozpuścił. Normalnie nigdy nie piła whisky ani innych ciężkich trunków, preferowała białe wino czy choćby piwo. Ale dzisiaj nie było normalnie. Zaciśnęła dłonie. Nagle uniosła szklanekę i dwoma haustami, po męsku, wypila całą zawartość. Skrzywiła się lekko i poszukała wzrokiem Karolka. Zbierał pełne popielniczki przy górnym stole, obserwując ją kątem oka.

- Jeszcze raz to samo, Karolku. I proszę cię, nic nie mów. Spojrzał na nią przeciągle i tylko pokręcił głową. Po chwili

wrócił z zaplecza, niosąc w jednej ręce butelkę Johnny Walkera, a w drugiej szklanekę. Odsunął nogą krzesło i usiadł naprzeciw Olgi.

- Nie prosiłam o towarzystwo - zaprotestowała słabo.

- Co ty wiesz, dziecko? Dość w życiu widziałem i przeżyłem... I coś ci powiem - niedobrze jest pić samotnie. Nawet gdy człowiek bardzo chce być sam. Zwłaszcza wtedy.

Wprawnym ruchem odkręcił butelkę, nalał jej, potem sobie. Wypili w milczeniu. Olga znów podsunęła mu szklanke, lecz tym razem nalał jej znacznie mniej.

- Boisz się, że się zupełnie rozkleję? - Rozejrzała się po sali, było prawie pusto, tylko jedna para szeptała sobie coś przytulona. - Przynajmniej przedstawienie odbędzie się bez wielkiej publiczności. Nalej jeszcze... - wyciągnęła rękę.

- To złudne lekarstwo, Oluś... Zresztą masz dość - powiedział i demonstracyjnie zakręcił butelkę.

Zaśmiała się.

- Jak na barmana to dość dziwne zachowanie. Chyba nie zrobisz majątku w tej branży - podsumowała kpiąco, ale zaraz spoważniała. - Dlaczego życie jest takie niesprawiedliwe? - zapytała nagle. - Powiedz, dlaczego? Czy nigdy nie można być pewnym, spokojnym, bezpiecznym? Zawsze trzeba być w pogotowiu? Bo nie wiadomo, z której strony nadejdzie cios... ani kiedy. Dlaczego tak jest?

- To prawda - powiedział wolno, dobierając słowa. - Nie jest bezpieczne, nie jest miłosierne, nawet nie jest sprawiedliwe. Ale bywa dobre.

Wsluchiwała się chciwie w jego słowa. Tak bardzo potrzebowała pociechy. Jakiegokolwiek. Czekala na ciąg dalszy, ale nie nastąpił. Westchnęła głęboko. Miał rację. Wiedziała o tym, tylko że wszystko, co dobre w jej życiu, należało już do przeszłości. Teraz stała na brzegu przepaści, a przed sobą widziała jedynie pustkę i ciemność.

Wybiła północ. Spóźniona para oderwała się wreszcie od siebie i zaczęła zbierać do wyjścia. Karolek wstał, poczłapał za nimi i zamknął drzwi od środka. Po chwili wrócił do stolika.

- Co teraz zrobisz? - zapytał.

Spojrzała na niego. W jej wielkich smutnych oczach dostrzegł rezygnację i zabolalo go to.

- A mam jakiś wybór? - odpowiedziała pytaniem.

- Zawsze jest wybór, Oluś. Pamiętaj o tym, cokolwiek się stanie. Zawsze jest wybór... Tylko odwagi czasem brak.

Rozmowa z matką nieprzytomnego chłopca miała skutek podwójny - nie tylko wywołała szok i uświadomiła grozę sytuacji, ale również wskazała sposób postępowania. Najbardziej męczyła Olę bezczynność, przekonanie, że nic nie może zrobić. Teraz pomyślała, że jednak może. Gdy następnego dnia pojawiła się w gabinecie doktora Szostaka, miała gotowy plan. Wysłuchał jej, kiwając głową ze zrozumieniem i współczuciem, a potem w bardzo łagodnych słowach wyraził swój sceptycyzm. Wyszła z gabinetu trochę zniechęcona, ale nie zamierzała tak łatwo się poddać. Znała już wszystkich lekarzy na oddziale. Postanowiła szukać rady i zrozumienia u innych. Szybko jednak okazało się, że sceptycyzm jest ich cechą wspólną. Słuchali jej obojętnie, wzruszali ramionami, powtarzali konwencjonalne słowa pociechy, ale żaden nie zachęcał jej do działania. Żaden z wyjątkiem doktora Komornickiego, którego surowy wygląd i nieuprzejmy sposób bycia sprawiały, że pacjenci najchętniej omijali go szerokim łukiem. Cieszył się jednak również sławą najlepszego chirurga w szpitalu, a Olga w swoich poszukiwaniach nie zamierzała niczego zaniedbać. Wysłuchał jej w milczeniu.

- Dobrze - powiedział na koniec, a jej nadzieja natychmiast odżyła. - Dobrze, niech pani próbuje. Dopóki jego mózg żyje, może odbierać bodźce, nie wiemy jakie. Głos bliskiej osoby może stanowić silną stymulację, jeśli oczywiście do niego dotrze. Proszę próbować.

- Och, dziękuję! - zawołała Olga z radością. Lekarz spojrzał na nią surowo.

- Niech pani nie robi sobie zbyt wielkich nadziei - dodał oschle. - Nie twierdzą, że to może pomóc. Ale nie zaszkodzi - zakończył łagodnie.

Każdy dzień Olgi wyglądał teraz tak samo. Wstawała o szóstej. Zjadała maślaną bułkę, popijając czarną neską, bo szkoda jej było czasu na parzenie pachnących specjałów, i biegła do szpitala. Tak jak jej starsza koleżanka wykonywała wszystkie zabiegi pielęgnacyjne, poprawiała pościel, a potem zasiadała do lektury. Czytała sensacyjne powieści Forsytha, McLeane'a, Folletta - ulubionych pisarzy Marka. Kiedy zmęczyło ją to, robiła krótką przerwę i zaczynała opowiadać o tym, co się ostatnio wydarzyło, o swojej pracy, o pogodzie, powtarzała zasłyszane plotki o wspólnych znajomych i bieżące informacje z firmy, dostarczane regularnie przez Adama.

W południe opuszczała szpital, jechała do wydawnictwa i spędzała kilka godzin na intensywnej pracy, smakując ją jak namiastkę wolności. O siedemnastej jadła na mieście późny obiad, a potem wracała do szpitala i powtarzała cały poranny rytuał. W domu łądowała późnym wieczorem, zwykle zbyt zmęczona, by zrobić sobie kolację, więc kładła się i w pięć minut zasypiała twardo, bez snów i marzeń. Po sześciu godzinach wszystko zaczynało się od początku. Czasami, gdy dyżur miał życzliwy i wyrozumiały doktor Szostak, zostawała w szpitalu na noc.

Październik wypędził z Krakowa resztki lata, ukryte w kolorowych klombach i na okiennych parapetach. W parku, do którego Olga czasem zaglądała, nakładając drogi na swej zwykłej trasie dom - szpital - wydawnictwo, było żółto i czerwono od spadających liści. Ziemia pachniała gorzko i przyjaźnie, a promienie słońca złociły bukowe alejki. Uwieczona w mieście, jak nigdy wcześniej tęskniła do Kalinowej Góry, do przestrzeni pól osnutych babim latem i mgłą, do szumu i świergotu lasów, do leniwych wieczorów wśród bliskich. Do życia, które powoli, lecz nieuchronnie zamieniało się we wspomnienie.

Stan Marka był stabilny, co w tym przypadku było najgorszą wiadomością z możliwych. Każda zmiana, skok ciśnienia czy przyspieszone tętno budziły początkowo wielkie nadzieje. Później Olga oswoiła się ze wszystkimi reakcjami organizmu, popadła w rutynę, nie reagowała entuzjastycznie na nieświadomy ruch palców czy drżenie powiek. Cokolwiek się działo, nie przynosiło istotnej zmiany. Mijały dni podobne do siebie, długie i pracowite, wypełnione powtarzaniem automatycznie czynnościami i oczekiwaniem, w którym nadzieja wciąż walczyła o lepsze ze strachem i rezygnacją.

Pewnego październikowego wieczoru Weronika zwołała przyjaciół na naradę do Karolka. Angażowała się w sprawę Olgi bardziej, niż można się było spodziewać. Odwiedzała ją często w szpitalu, opowiadała bieżące plotki, przynosiła coś dobrego do zjedzenia, książki, gazety. Tego wieczoru postanowiła pozyskać sprzymierzeńców dla swojego planu. Gdy tylko usiedli na antresoli, rozpoczęła atak:

- Słuchajcie, tak dalej być nie może. Musimy coś zrobić. Przecież Olga nie może tak bezsensownie marnować sobie życia. Widzieliście, jak ona wygląda? Niknie w oczach.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki Karolka.

- Debatujecie na temat Olgi? Mogę się przyłączyć? - spytał niepewnie. - Może się na coś przydam...

- Jasne - odparł Cyryl w imieniu wszystkich. Weronika kiwnęła tylko głową, ale w jej oczach zamigotały na chwilę ciepłe iskierki.

- Właśnie mówiłam, że musimy coś zrobić, aby Olga przestała rujnować sobie życie - powtórzyła. - Zanedbuje pracę, nie ma czasu ani dla siebie, ani dla rodziny czy przyjaciół...

- To zrozumiałe - odezwał się Karolek. - Wyruszyła na wojnę. Nic dziwnego, że nie ma czasu.

- Jaką wojnę? - zdziwiła się Weronika. - Przesiaduje w szpitalu całymi dniami, a bywa, że i nocami. Przecież to bez sensu. Nie może poświęcić Markowi reszty swojego życia. Jak długo to wytrzyma?

Karolek już miał się odezwać, ale uprzedziła go Hanka.

- Słuchajcie, a jeśli wszyscy się mylimy? Może Oldze wciąż na nim zależy? Rozstali się, bo przeżywali kryzys, ale może choroba Marka uświadomiła jej, że nadal go kocha? Sami widzicie, jak o niego walczy...

Patrzyli na nią pełni wątpliwości. Nikt się nie odezwał, więc tym razem Karolek mógł powiedzieć swoje:

- Nie o niego - stwierdził stanowczo. - Walczy, to prawda, ale nie z powodu miłości.

Wszyscy spojrzeli na spokojną, poorly zmarszczkami twarz starego barmana, który w tym gronie „pięknych trzydziestoletnich” stanowił jawny dysonans.

- Walczy o siebie. O swoją wolność. O prawo do szczęścia - stwierdził z przekonaniem.

- Powiedziałem, że poszła na wojnę, i to jest prawda, i ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Jest taka bezwzględna i nie ma dla siebie litości, bo wie, że to jest walka o jej przyszłość, o całe jej życie. Wydaje wam się, że postępuje nierozsądnie, że kieruje się emocjami, ale jest wręcz odwrotnie. Przygotowała sobie precyzyjny plan i realizuje go konsekwentnie, zmobilizowała wszystkie swoje siły i walczy. Inna rzecz, że mimo wszystko może tej walki nie wygrać... To proste - życie i zdrowie Marka są przepustką do jej wolności.

- Masz rację - odezwał się Cyryl z namysłem. - Tak, sądzę, że właśnie o to chodzi. Najgorsze, że nie wiem tylko, jak moglibyśmy jej pomóc.

- Ale zaraz... - mruknęła Weronika. - To by znaczyło, że ona ciągle ma nadzieję...

- Oczywiście.

- Nie bądź taką pesymistką, Nika - odezwała się Hanka. - Minęły dopiero trzy tygodnie. Jeszcze wszystko się może zdarzyć. Czasami człowiekowi się wydaje, że wokół tylko mrok i znikąd ratunku, a potem otwierają się nagle jakieś drzwi i wszystko staje się proste. I można zacząć od nowa...

Spotkanie nie przyniosło żadnych konkretnych rozstrzygnięć, postanowili tylko jeszcze mocniej czuwać nad Olgą i wspierać ją, choćby tylko duchowo.

Któregoś wieczoru Rafał przyszedł do szpitala przed siódmą. Olga jak zawsze siedziała z książką na kolanach, ale nie czytała. Była blejsza niż zwykle, a na twarzy widoczne były ślady łez. Przestraszył się. Nie widział jej płaczącej od początku choroby Marka.

- Co się stało, siostrzyczko? - zapytał, siadając obok.

- Paweł... - zaczęła i głos jej się załamał, a oczy znów zwilgotniały. Po chwili opanowała się jednak. - Kiedy przyszedłem rano, wszystko było normalnie. Rozmawiałam z jego matką. Była taka pogodna jak zawsze. Przycięła mu dzisiaj włosy...

Rafał zorientował się już, o co chodzi. Odwiedzał siostrę w szpitalu dostatecznie często, by poznać historię Pawła i jego matki.

- Gdy przyszedłem kilka godzin później, już go tu nie było. Zmarł, nie odzyskując przytomności, po dziewięciu miesiącach... Tak po prostu. Masz pojęcie, jak ona się teraz czuje? - dokończyła bardzo cicho.

Rafał nie znalazł żadnych słów pociechy, wiedział aż za dobrze, o czym jego siostra teraz myśli. Przytulił ją tylko i tak siedzieli długą chwilę w milczeniu. Wokół nich mrugały kolorowe lampki i wskaźniki aparatury medycznej, a w środku tego kordonu urządzeń, będących dowodem ludzkiego geniuszu, toczyła się odwieczna i najzupełniej pierwotna walka o życie.

W końcu jakoś udało mu się namówić Olgę na wcześniejszy powrót do domu i odpoczynek. Odwiózł ją na ulicę Lea i pojechał do siebie. Gdy zadzwonił telefon, a na wyświetlaczu pojawił się zakopiański numer, szybko podjął decyzję. Do tej pory zbywał Igora, gdy ten pytał go o siostrę. Dzisiaj postanowił powiedzieć mu prawdę.

- Powiedz mi, co się dzieje - w głosie Igora dało się słyszeć lekki niepokój. - Próbowałem kilka razy dodzwonić się do Olgi, ale ma wyłączony telefon albo nie odbiera. O co chodzi?



Rafał w kilku zdaniach opisał sytuację, niczego nie ukrywając. Gdy skończył, po drugiej stronie zapadła długa cisza.

- Halo, Igor, jesteś tam?

- Tak. Mam do ciebie prośbę... Udzielisz mi krótkiej gościny?

- Jasne.

- Zatem do jutra.

Odkładając słuchawkę, Rafał zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Może niepotrzebnie wtrąca się w cudze życie? Ale przecież Igor jest jego przyjacielem i najwyraźniej zależy mu na Oldze. A ona? Rafał nie był pewien, lecz wydawało mu się, że dla niej także nie była to zwyczajna znajomość. Kiedy jednak następnego dnia wspomniał siostrze o tej rozmowie, zareagowała bardzo gwałtownie.

- Nie chcę z nim rozmawiać. Nie chcę go widzieć - powiedziała stanowczo.

Rafał był trochę zaskoczony. Czy coś niedobrego między nimi zaszło? Może coś przegapił? Albo po prostu zwyczajnie pomylił. Olga rozwiąła te wątpliwości. Spojrzała na niego z ogromnym smutkiem w oczach.

- Nie mogę się spotkać z Igorem, Rafciu, nie dam rady. Wybacz, to ponad moje siły...

- Rozumiem - powiedział tylko. Teraz miał już pewność.

Październik miał się ku końcowi. Złota jesień powoli ustępowała swojej brzydszej siostrze - drzewa stały nagie, bezbronne wobec wiatru szarpiącego konary i chłozującego deszczu. Znikły kolory, posmutniały ulice, nieliczni przechodnie przemykali chodnikami pod osłoną czarnych parasoli.

Nie zważając na pogodę, Olga postanowiła pójść pieszo na Wrocławską - lubiła jesień w każdym jej wcieleniu, nie tylko radosnym lub tęsknym, smutnym i rozgniewanym również. Była sobota, więc nie musiała iść do wydawnictwa. Po raz pierwszy od miesiąca zrobiła sobie wagary i nie poszła do szpitala wcześniej rano. Spała długo, kamiennym snem, lecz po przebudzeniu wcale nie czuła się wypoczęta. Trudno w jedną noc nadrobić wielotygodniowe zaległości. Szła zalanymi deszczem ulicami, witając je spojrzeniem jak starych znajomych. Nie spieszyła się. Powoli zaczynała godzić się z tym, że ani pośpiech, ani usilność starań, ani intensywność i długość szpitalnych dyżurów nie mają tak naprawdę żadnego znaczenia.

Jeśli nawet żyła w niej jeszcze nadzieja, to była słabsza z każdym dniem, wycofała się głęboko i rzadko dawała o sobie znać.

Szpital od miesiąca był niemal jej drugim domem. Wszyscy ją znali. Podeszła najpierw do dyżurki pielęgniarek. Polubiła te dziewczyny, które z takim poświęceniem wykonywały swoją ciężką pracę, wiele im zawdzięczała. Tym razem przyniosła im kawę i ciastka karmelowe. Wymieniła kilka grzecznościowych uwag, wysłuchała narzekań na pogodę i jakiegoś niesfornego pacjenta, który skutecznie zaktywizował połowę personelu, a potem poszła do pokoju Marka.

Przywitała się z nim, przemyła mu twarz i dłonie rumiankowym tonikiem, usiadła i wyjęła z torebki kolejną powieść McLeane'a. Zanim jednak przystąpiła do lektury, jej uwagę przykuło nagłe drżenie jego lewej dłoni. Kiedyś reagowała gwałtownie na takie przejawy budzącego się życia, ale szybko zrozumiała, że to automatyczne odruchy, i przestała przywiązywać do nich wagę. Patrzyła teraz spokojnie, jak wychudłe palce chwytają powietrze, a potem zaciskają się na pościeli. Tym razem trwało to dłużej niż zwykle, więc wzięła rękę Marka w obie dłonie i zaczęła uspokajająco gładzić. Nagły uścisk jego ręki był tak silny i taki prawdziwy, normalny, że aż wstrzymała oddech. Ale po kilku sekundach palce się rozluźniły i ręka osunęła się bezwładnie na łóżko. Patrzyła przez chwilę wyczekująco to na dłonie, to na twarz Marka, a potem otworzyła książkę i zaczęła czytać.

Nie chcąc tracić czasu - tym bardziej że deszcz nie ustawał - Olga zeszła późnym popołudniem do szpitalnej stołówki na obiad. Gdy wróciła na górę, już w progu poczuła, że coś jest nie tak. Ciszę przerywał co chwila jakiś dziwny, obcy dźwięk. Szybko podeszła do

łóżka i pochyliła się nad Markiem. To nie było złudzenie. Z jego ust wydobywały się jakieś dźwięki, pomruki, krótkie, niezrozumiałe wyrazy, jakby zmagał się z nieposłusznym narządem mowy. Spojrzała na dłonie - poruszały się rytmicznie, inaczej niż zwykle, płynnym, łagodnym ruchem. Gwałtownie wcisnęła czerwony przycisk wzywający pielęgniarkę i uklękła przy łóżku.

- Marek! Słyszysz mnie? To ja, Olga, jestem przy tobie, Marek!

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

- Siostrze, coś się z nim dzieje! Proszę wezwać lekarza! !

- Doktor Szostak operuje... - zaczęła dziewczyna.

- To proszę znaleźć kogoś innego! - zawołała Olga ostro. - Coś trzeba zrobić. Chyba są tu inni lekarze!

Pielęgniarka znikła, a ona znów zaczęła mówić - głośno, wyraźnie, z pasją, z całą siłą obudzonej na nowo nadziei.

- Marku, jestem tutaj. Proszę, usłysz mnie, wracaj! Wracaj do mnie, obudź się, proszę, Marku... Wracaj...

Minęły dwie, może trzy minuty, które dla Olgi były wiecznością, gdy do pokoju zamasztywnym krokiem wszedł doktor Komornicki w asyście pielęgniarki. Rzucił okiem na pacjenta, potem na monitor i odezwał się rozkazująco:

- Proszę stąd wyjść.

Nie wiedząc nawet jak, Olga znalazła się na korytarzu. Usiadła na wprost zamkniętych drzwi i zacisnęła dłonie na poręczy ławki. Jak przez mgłę widziała wchodzące i wychodzące osoby. Czas płynął powoli, a każda sekunda spadała w serce z głuchym uderzeniem, zapowiadając zbliżające się ogłoszenie wyroku. Nie wiedziała, czy minęło pięć minut, czy pół godziny. W końcu zauważyła znikającego za drzwiami doktora Szostaka. Nie mogąc dłużej usiedzieć bezczynnie, podeszła do okna i jak często w ostatnim miesiącu przycisnęła czoło do chłodnej, splukanej deszczem szyby. To zawsze pomagało.

- Pani Olgo...

Zasłuchana w szum spadających na parapet kropel deszczu nie zauważyła, jak drzwi szpitalnego pokoju otworzyły się szeroko i stanął w nich doktor Szostak. Odwróciła się gwałtownie, słysząc jego głos.

- Tak? - odważnie spojrzała lekarzowi prosto w oczy. Patrzył na nią życzliwie i uśmiechał się.

- Już po wszystkim... - zaczął, a ona wstrzymała oddech. - Pani narzeczony się obudził. Przyznam, że sam nie bardzo już w to wierzyłem. Doktor Komornicki był większym optymistą - dodał.

- Czy on...? - zaczęła z wahaniem.

- Wszystko w porządku - odpowiedział na pytanie widoczne w jej przestraszonych wciąż oczach. - Pacjent jest w dobrej formie: widzi, słyszy, reaguje na bodźce i jest w pełni świadomy. Oczywiście zrobimy jeszcze wszystkie badania i konieczna będzie rehabilitacja, ale wygląda na to, że wróci do zdrowia. A przy jego młodym wieku i świetnej kondycji może to nastąpić bardzo szybko.

- O Boże... - szepnęła i usiadła, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Doktor Szostak pochylił się i położył jej dłoń na ramieniu.

- Może pani do niego iść...

Olga zebrała wszystkie siły i podniosła się z ławki. Gdy weszła, pielęgniarka zakładająca właśnie nową kroplówkę odsunęła się od łóżka. Spojrzała na Marka i napotkała jego zamglony, obojętny wzrok.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć - odparł i dostrzegła w jego wzroku rozpoznanie. Próbował się uśmiechnąć.

- Jak się czujesz?

- Dziwnie. To znaczy... no, po prostu dziwnie - mówił cicho i trochę niewyraźnie.  
- To normalne - zawyrokował stojący po drugiej stronie łóżka doktor Komornicki. - Wróciłeś, chłopcze, z daleka. Z pani pomocą - dodał, patrząc na Olgę.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Doktor skinął jej lekko głową i wyszedł, zmykając za sobą drzwi.

- Chyba powinienem ci podziękować - odezwał się Marek.

- Nie ma o czym mówić - przerwała mu. - Cieszę się, że czujesz się już lepiej. Na co masz ochotę? Może coś ci przynieść?

- Wiesz, zostawiłem u ciebie parę moich książek, Folletta i coś tam jeszcze. Ty i tak tego nie czytasz, a ja pewnie spędzę tu trochę czasu. Gdybyś mogła...

- Oczywiście. Przyniosę jeszcze dzisiaj.

- Nie dzisiaj, nie dzisiaj - odezwał się doktor Szostak, stając w otwartych drzwiach. - Pacjent musi teraz odpocząć. Najlepszym lekarstwem dla niego będzie długi, zdrowy sen.

- Sen? Wydaje mi się, że spałem całą wieczność... - powiedział Marek.

- Zapewniam pana, że to nie to samo - odparł lekarz i zwrócił się do Olgi: - Proszę ze mną, chciałbym jeszcze z panią porozmawiać.

W sobotni wieczór Karolek polerował szklanki gestem podpatrzonym w starych westernach i smętnie przyglądał się niemal pustej sali. Jesień zawsze nastrajała go melancholijnie. Obserwował nielicznych gości, starając się z ich wyglądu i zachowania dociec, z jakiego rodzaju życiowymi połamaniem ma do czynienia. Cóż, jaki pan, taki kram, pomyślał ironicznie.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i do środka jak huragan wpadła Olga. Karolek spojrzał na nią ze zdumieniem. Miała potargane włosy i oddychała ciężko jak po długim biegu. Uśmiechała się radośnie.

- Oluś... - zaczął, lecz zanim minęło pierwsze zaskoczenie, Olga błyskawicznie znalazła się za barem i rzuciła mu się na szyję, tak że prawie upuścił trzymaną w rękę szklankę.

- Dziewczyno, opanuj się - sapnął trochę przyduszony. - Zawsze wiedziałem, że robię wrażenie na kobietach, ale żeby aż takie... - Odsunął ją na długość ramion, przytrzymał i spojrzał z niepokojem w jej podejrzenie błyszczące, pełne śmiechu oczy. - Olga, mów, co się stało.

Uśmiechnęła się niewinnie.

- Jak to co? Przyszłam na spotkanie klubu. Przecież dzisiaj ostatnia sobota października. Gdzie są wszyscy? - rozejrzała się po pustej sali.

- Mała, ty mnie nie denerwuj! - zirytował się Karolek i nie zwalniając uścisku, powtórzył: - Co się stało?

Spojrzała wprost na niego i po raz pierwszy, odkąd się znali, zauważył, jak błękitne i jak głębokie są jej oczy.

- Marek się obudził - powiedziała spokojnie i wyraźnie. - I?

- I wszystko z nim w porządku. Spędzi kilka, może kilkanaście dni w szpitalu, w zależności od tego, jak będzie postępować rehabilitacja. A potem... potem może zacząć zupełnie nowe życie. I ja też - dodała cicho.

Karolek uśmiechnął się serdecznie i po ojcowsku pocałował ją w czoło.

- Siadaj - rzucił, wskazując najbliższą huśtawkę, i zniknął na zapleczu. Po chwili wrócił z butelką oryginalnego francuskiego szampana i dwoma wysokimi kieliszkami. - Czekal na jakąś specjalną okazję. Myślę, że ta jest w sam raz.

Olga mruknęła tylko z aprobatą. Po chwili rozległ się leciutki brzęk uderzanych o siebie kieliszków.

- Za nowe życie - powiedział Karol.

- Za nowe życie - powtórzyła Olga i upiła mały łyk. - I za przyjaciół, którzy umieją słuchać, są gotowi do pomocy i bardzo się przydają w trudnych chwilach. - Spojrzała ciepło na starego barmana. - Chcę ci podziękować. Za wsparcie. Za to, że cierpliwie słuchałeś mojego uzalania się nad sobą i nie pozwoliłeś mi popaść w alkoholizm. Potrafisz słuchać. Lepiej niż Hanka, nawet lepiej chyba niż Rafał.

Zbył jej podziękowania machnięciem ręki.

- Przestań, słonko, nie ma o czym mówić. A jeśli chodzi o Rafała... Cóż, daj mu jakieś trzydzieści lat i na pewno się wyrobi. Ma zadatki.

Zawodowym ruchem uzupełnił pusty kieliszek Olgi. Wypiła łyk i spojrzała na niego uważnie.

- A właściwie to jak poznałeś mojego brata? Zawsze mnie to intrygowało, ale jakoś nie miałam okazji zapytać.

Karolek uśmiechnął się dziwnie.

- Początek naszej znajomości miał charakter, by tak rzec, zawodowy. Mam na myśli zawód Rafała, nie mój - dodał.

- O, czyli że coś przeskrobałeś, a on cię przymknął - ucieszyła się.

- No, niezupełnie. Pewnego wieczoru, gdy już zamykałem bar, podeszło do mnie trzech niezbyt sympatycznych małych. Źle wyglądali, a jeszcze gorsze mieli słownictwo. Z całej wypowiedzi ledwie zrozumiałem, że jestem kulawym dziadem i mam natychmiast wyskoczyć z kasy. Najwyraźniej obejrzeni mnie sobie wcześniej i uznali, że będę łatwym przeciwnikiem. Zwłaszcza dla trzech. Cóż... - Karolek uśmiechnął się na wspomnienie incydentu sprzed lat. - Musiałem ich rozczarować.

- Czyli obroniłeś się?

- Można tak to ująć. - Znów się uśmiechnął. - Ale przecież nie jestem bandytą. Jak było po wszystkim, wezwałem pogotowie. Kto wezwał policję, tego nie wiem. Pewnie lekarz, jak ich zobaczył...

Olga się roześmiała.

- I co? Przyjechał Rafał i cię aresztował?

- No nie. Złożyłem zeznania i pewnie na tym by się skończyło, ale... te trzy przyjemniaczki oskarżyły mnie o pobicie. Wyobrażasz to sobie? Napadli na mnie, a potem wnieśli skargę.

- Pięknie. I co było dalej?

- Wtedy pojawił się twój brat. Od razu pomyślałem, że wygląda na rozsądnego, choć zachowywał się bardzo służbowo. Wysłuchał mojej relacji i powiedział, że zbada sprawę. Zanim rzecz trafiła do sądu, młodzieńcy wycofali skargę. Nie wiem dokładnie, jaki miał w tym udział Rafał, lecz wydaje mi się, że chłopcy byli mu dobrze znani. Więc w dowód wdzięczności zaprosiłem pana inspektora na piwo. Oczywiście po godzinach pracy. I tak się to zaczęło.

Olga wracała do domu pieszo. Chciała się nacieszyć jesienną nocą, zapachem przemokniętych ulic i tą nowo odkrytą radością, która pulsowała w niej jak źródło. Skręcając z parku w ulicę Lea, przystanęła i zaczerpnęła głęboko chłodnego powietrza - zakręciło jej w głowie jak szampan Karolka. Prawie już zapomniiała, jak smakowite może być zwyczajne życie. Zasypiała, marząc o tych wszystkich rzeczach, które teraz będzie mogła robić, o miejscach, które odwiedzi, obrazach, które namaluje, o ludziach, których pozna...

Wczesnym rankiem rozdzwoniły się telefony. Olga nie zdążyła dośnić pięknego snu. O wybudzeniu Marka poinformowała na razie tylko Adama, wyglądało więc na to, że on - albo Karolek - jest świetnym przekaźnikiem informacji. Pierwsza była jak zwykle Weronika.

- Wiem już o Marku - powiedziała dziwnie łagodnym, jak na nią niemal serdecznym tonem. - Cieszę się.

Potem kolejno dzwonił Cyryl, Rafał i Hanka. Po raz kolejny w tym miesiącu Olga odczuła, jak wiele znaczą dla niej przyjaciele.

Przez następne dni żyła w jakimś przyjemnym otępieniu, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje. Wciąż biegała do szpitala, ale wizyty te były zdecydowanie krótsze, rzadsze i miały zupełnie inny charakter. Marek szybko odzyskiwał siły. Doktor Szostak patrzył na niego z zadowoleniem i nie szczędził Oldze optymistycznych zapewnień. Pod koniec tygodnia już na tyle ogarnęła bałagan, jaki panował w jej życiu skutkiem różnych zaniedbań, że mogła zająć się bieżącymi sprawami.

Pomimo Wszystkich Świętych, który to dzień zazwyczaj spędzała w Kalinowej Górze, weekend postanowiła spędzić w Krakowie. Uwielbiała palić znicze, spacerować cmentarnymi alejkami, wdychając ciężki, gorzki aromat dymu. Atmosfera tego dnia budziła w niej nie tylko wspomnienia o bliskich zmarłych, ale także poczucie przynależności do miejsca i czasu, poczucie związku z rodziną, mieszkającą tu od pokoleń. Chcąc uniknąć tłumów, wybrała się wieczorem do klasztoru Na Skałce. W końcu tam też mieszkały duchy przeszłości i to duchy niezwykle. Zapaliła znicze i pogrążyła się w zadumie, ogarniając modlitwą wszystkich swoich bliskich, bardziej tych żywych niż zmarłych.

W niedzielne popołudnie postanowiła odwiedzić Eryka - brakowało jej celnych, dowcipnych i cynicznych uwag na temat świata i ludzi, w których pan Szwajcowski był mistrzem. Przeszła chłodnym korytarzem do pokoju, gdzie zwykle dyżurował któryś z opiekunów, lecz nikogo tam nie zastała. Poszła więc prosto do pokoju Eryka, uśmiechając się na myśl, jaką zrobi mu niespodziankę - kupiła cały zestaw farb i przyniosła domowe konfitury z dzikiej róży. Otworzyła drzwi i zatrzymała się w progu zdziwiona. Czyżby pomyliła sale? Nie. Po chwili zaskoczenie zmieniło się w lęk. Pokój był pusty. To znaczy niezupełnie pusty, ale umeblowany zwyczajnie, odświeżony, w rogach stały dwa tapczany przykryte kolorowymi narzutami. Ani śladu obrazów, sztalug, stołu zawsze pełnego pędzli, farb, szkiców... Zamknęła bezszelestnie drzwi i biegiem wróciła do dyżurki. Przed drzwiami natknęła się na jedną z opiekunek, pulchną i wesołą panią Krysię, której Eryk serdecznie nie znosił, gdyż nie potrafił jej wyprowadzić z równowagi.

- O, dzień dobry. Dawno pani u nas nie było - pani Krysia odezwała się pierwsza.

- Gdzie jest pan Szwajcowski? Co się stało z jego pokojem? Z jego pracownią? - spytała Olga gorączkowo, nie odpowiadając na powitanie.

Starsza pani posmutniała.

- Och, pan Szwajcowski... Taki zdolny, taki aktywny, chociaż oczywiście czasami trudny, jak oni wszyscy. Nigdy mnie nie słuchał, nawet lekarstw nie chciał przyjmować, jak kazał lekarz... A jak okropnie się wyrażał, gdy był zły. Tłumaczyłam mu, że...

- Co się stało?! - zawołała Olga, chwytając ją za ramię.

- Zmarł kilka dni temu. Będzie już z tydzień albo dłużej... Nie doczekał swoich siedemdziesiątych urodzin, a szykowaliśmy mu przyjęcie... No ale przecież od dawna chorował na raka. Wiadomo, czym to się kończy - rozgadała się na dobre, znalazłszy słuchacza, bo Olga stała bez ruchu, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Ostatnia wiadomość ją zmobilizowała.

- Jak to na raka? Dlaczego nikt mi nie powiedział? - oburzyła się.

- Pan Eryk sobie nie życzył, żeby o tym mówić. Jego syn też nie wiedział. Bardzo się złościł z tego powodu, powiedział kierownicze, że złoży skargę. Bo ten syn przyjechał zaraz, na drugi dzień. Nie wiedziałam, że ma syna. Taki przystojny, elegancki mężczyzna. Wcale niepodobny do starszego pana. Podobno zrobił mu pogrzeb na cmentarzu Rakowickim. Kto by to pomyślał...

Olga odwróciła się i ruszyła wolno w stronę wyjścia.

- Proszę pani! - zawołała za nią opiekunka. - Ten cały syn pytał o panią, ale kierowniczką nie miała adresu ani telefonu, więc prosiła, żeby jej powiedzieć, jak pani przyjdzie.

- Dziękuję - odparła automatycznie i skierowała się do gabinetu na piętrze.

Jesienną Przystanią zarządzała sprawnie pięćdziesięcioletnia, wysoka kobieta o wyglądzie i temperamencie żandarma. Bali jej się zarówno podopieczni, jak i pracownicy. Przywitała Olgę uprzejmie, choć dość oficjalnie. Nie umiała podać żadnych konkretnych informacji, tylko że syn pana Szwajcowskiego bardzo chciał z nią porozmawiać. Zostawił swoją wizytówkę i prosił o kontakt. Podziękowała i włożyła mały kartonik do torebki, nawet nie rzuciwszy na niego okiem.

Opuściła ponury budynek ze świadomością, że nigdy tu nie wróci, i skierowała się na przystanek autobusowy. Podjechała blisko centrum, a potem szła ulicami starego Krakowa, rozglądając się wokół. Ze zdumieniem stwierdziła, że już nie są takie ładne jak pół godziny temu. Cała jej radość zbladła, jakby słońce, które mocno grzało, znikło nagle za chmurami. Nic nie jest doskonałe, zawsze musi być jakaś rysa, jakiś fałszywy dźwięk w radosnej symfonii istnienia, łyżka dziegciu w beczce miodu... Gdy jeden ważny dla niej człowiek budził się do życia, drugi odchodził na zawsze. Tylu rzeczy nie zdążyła mu powiedzieć, o tyle innych zapytać. Mogła go przecież odwiedzić wcześniej, gdyby nie myślała tylko o sobie. A tak... spóźniła się. I teraz pozostał jej jedynie żal do siebie.

Dopiero gdy znalazła się w domu, wyjęła z torebki wizytówkę. „Piotr Radwański. Architekt”. Warszawski adres, numer telefonu. Radwański...? Gdzieś już słyszała to nazwisko, ale nie umiała skojarzyć z nim żadnej osoby. Usiadła wygodnie w fotelu i wykręciła numer komórki. W telefonie odezwał się szorstki głos, lecz gdy tylko się przedstawiła, złagodniał.

- Bardzo chciałbym się spotkać z panią osobiście - usłyszała. - Będę jeszcze kilka dni w Krakowie. Czy zechciałaby pani zjeść ze mną kolację?

- Oczywiście - odparła. - Nawet dzisiaj.

- Och, doskonale. Proszę tylko wybrać miejsce.

Umówili się w Matadorze o ósmej. Olga miała jeszcze sporo czasu do wyjścia, lecz kompletnie nie wiedziała, co z nim zrobić. Błąkała się po domu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Wreszcie przebrała się w ulubioną czarną sukienkę i wyszła z domu na tyle wcześnie, by przynajmniej część drogi odbyć pieszo. Dopiero w drzwiach restauracji zdała sobie sprawę, że przecież nie ma pojęcia, jak syn Eryka wygląda.

Zostawiła płaszcz w szatni i weszła do głównej sali. Przystanąła na chwilę i rozejrzała się niepewnie. Niemal w tym samym momencie przy jednym ze stolików stojących w głębi podniósł się mężczyzna w ciemnym garniturze i podszedł do niej spieszenie.

- Pani Olga Jaskólska? - zapytał i wyciągnął do niej rękę.

- Nazywam się Piotr Radwański. Zapraszam - wskazał ręką stolik.

- Jak mnie pan poznał? - spytała zaintrygowana, gdy już usiedli.

Uśmiechnął się dziwnie. Pomyślała, że pani Kryśka nie myliła się - przystojny i elegancki mężczyzna. Młody, pewnie niewiele starszy od niej.

- Och, to było zupełnie proste. Już panią widziałem... To znaczy nie panią osobiście - poprawił się. - Widziałem pani portret.

- Mój portret? - zdziwiła się, lecz w tym momencie przy stoliku stanął kelner.

Złożyli zamówienie, a potem Radwański poprosił, by opowiedziała mu o znajomości z ojcem, więc nie miała okazji wrócić do swego pytania. Mówiła trochę chaotycznie, starając się unikać spraw osobistych i drażliwych tematów. Od początku spotkania panowało między nimi jakieś nieokreślone napięcie. Olga przyglądała się swemu rozmówcy trochę podejrzliwie

- rzeczywiście nie był podobny do ojca, choć był równie wysoki. Rysy miał łagodniejsze i ciemne krótkie włosy. Tylko oczy

- jak u Eryka - głęboko osadzone, bystre i przenikliwe. Stopniowo jednak napięcie zaczęło znikać. A kiedy okazało się, że Radwański urodził się i wychował w Krakowie, zna to miasto doskonale i zamierza tu wrócić, a ze stolicą łączy go tylko chwilowo praca - ostatnie lody zostały przełamane. Pod koniec kolacji ciekawość Olgi została wreszcie zaspokojona.

- Cieszę się, że opowiedziała mi pani o ojcu. Bardzo słabo go znałem... - przyznał. - Ale chciałem się z panią zobaczyć z innego powodu, bardziej konkretnego. Ojciec pozostawił mi cały swój niewielki dobytek, włącznie z obrazami, które namalował w ostatnich latach. Zostawił także list, w którym wyjaśnił, kim pani jest. Prosił, bym panią odszukał i przekazał pewien depozyt.

- Depozyt? - zdziwiła się.

- To mały prezent od ojca. Sądzę, że w ten sposób chciał wyrazić swoją sympatię dla pani. I wdzięczność. Zresztą sama pani zobaczy. To dość duża paczka, więc nie przyniosłem jej ze sobą. Jeśli poda mi pani adres, przyślę ją jutro kurierem.

Zgodziła się. Miała wiele pytań dotyczących Eryka, jego życia, przeszłości, jego choroby i ostatnich dni, ale nie odważyła się zadać ich temu obcemu, poważnemu mężczyźnie. Przy pożegnaniu Radwański wyciągnął rękę i powiedział z wahaniem:

- Proszę się nie obrazić, ale... sądzą, że wiele pani znaczyła dla mojego ojca. I dziękuję za to.

Cały poniedziałek Olga podświadomie czekała na przesyłkę, która nadeszła w końcu późnym popołudniem. Zaniósła paczkę do pracowni i niecierpliwie rozplątała sznurki. W środku były trzy starannie złożone płótna.

Uśmiechnęła się na widok zimowego pejzażu, który swego czasu tak ją zachwyił. Ostrożnie odłożyła go na bok. Drugi obraz też obudził wspomnienia: samotne drzewo, walczące z żywiołami - symboliczny autoportret Eryka.

- Dobry wybór, mistrzu... - powiedziała głośno, jakby stał obok i mógł ją usłyszeć.

Oparła obraz o ścianę i spojrzawszy na ostatnie płótno, zamarła. Widziała je po raz pierwszy. Przedstawiało młodą, ciemnowłosą kobietę, o głębokich niebieskich oczach, w niezwykle wielobarwnej scenerii. To był jej portret. Nie miała pojęcia, jak i kiedy go namalował. Nigdy mu nie pozowała, nie widziała też, by robił jakieś szkice. Musiał go stworzyć z pamięci. Nagle coś ścisnęło ją za gardło i oczy mocno zapiekły. Spojrzała na podpis na odwrocie - obok nazwiska była data: X 2003. Przypomniała sobie niejasną wzmiankę Radwańskiego na temat jej portretu, więc o to chodziło... Gdy podniosła obraz do światła, na podłogę sfrunęła biała koperta. Jak w dziewiętnastowiecznym romansie, pomyślała. Wzięła ją do ręki, zaintrygowana, rozumiejąc, że to pożegnalny list.

„Drogie Dziecko” - pisał Eryk - „wniosłaś wiele radości w moje dni przedostatnie i chcę Ci za to podziękować. Nigdy tego nie robiłem, więc robię teraz. Choć przyniosłaś z sobą także smutek. Przy Tobie zrozumiałem, co straciłem, nie znając własnych dzieci. Obudziłaś upiory przeszłości... Jeśli błogosławieństwo takiego starego bezbożnika, stojącego nad grobem, jest coś warte, to je masz. I przyjmij moją radę - jest na świecie wiele rzeczy, które nie zawodzą, ale miłość do nich nie należy... I sztuka również. Spróbuj zachować swoją wolność, reszta przyjdzie sama.

PS Żałuję, że nie zobaczę Twojej Piety...

Eryk”.

Teraz już Olga nie starała się powstrzymywać łez, lecz według klasyfikacji Luizy był to dobry oczyszczający płacz, jak letnia ulewa, po której słońce świeci mocniej.

Listopad przepędził deszczowe chmury, wypogodził niebo i tylko porywiste poddmuchy zimnego wiatru, zrywającego ostatnie liście z półnagich drzew, przypominały o jesieni, jakby ten najsmutniejszy ze wszystkich miesięcy chciał w pełni zasłużyć na swoją nazwę. Gdzieś w

połowie miesiąca Olga postanowiła uporządkować i przemałować mieszkanie. Minęły prawie cztery lata od remontu, jaki zrobili wspólnie z Markiem przed jego wprowadzeniem się. W tym czasie dokonywała tylko niewielkich zmian, teraz chciała je przemeblować gruntownie - jak swoje życie.

Po dokonaniu wstępnego przeglądu doszła do wniosku, że parę rzeczy może spokojnie wywieźć do Kalinowej Góry - obrazy mogące sprawić radość matce i Luizie, książki, do których nie zamierzała już wracać, ubrania nie używane w Krakowie, które jednak mogły się przydać na wsi. Trochę się tego uzbierało...

- Mogę cię zawieźć razem z całym dobytkiem - zaproponował Rafał, gdy mu się zwierzyła ze swoich planów. - I tak wybierałem się do rodziców na najbliższy weekend.

- Świetnie. Kochany jesteś - ucieszyła się.

W ten sposób problem transportu został rozwiązany. W piątek późnym popołudniem zapakowali wszystko do samochodu - skoda octavia okazała się nad wyraz pojemna - i wyruszyli w drogę.

- Cieszę się, że znalazłeś trochę czasu - odezwała się Olga.

- Dawno nie byliśmy razem u rodziców.

- Fakt - przyznał. - Ale trzeba im dawkować wrażenia. Mama i Luiza nie będą wiedziały, kim się bardziej zajmować. - Uśmiechnął się. - No, chyba że podzielią się nami.

- Musiałyby rzucić monetą - mruknęła Olga. - Zawsze byłeś ich pupilkiem.

- No wiesz, w końcu jestem pierworodnym synem. Coś mi się z tego tytułu należy...

- A ja jestem jedyną córką i w dodatku najmłodszym dzieckiem.

- Ale tylko dziewczyną - przerwał jej, zachowując powagę, choć oczy mu się śmiały.

Olga wymierzyła mu potężnego kuksańca.

- Nadęty szowinista - rzuciła z udanym oburzeniem. - Nic dziwnego, że żadna inteligentna, nowoczesna kobieta cię nie chce.

- I tu się mylisz. Chętnych nie brakuje, tyle że, jak wiesz, twój brat ma spore wymagania. Chociaż, kto wie, może jeszcze wywinę ci numer i pójde do ołtarza przed tobą.

- Mama zemdłaby z wrażenia na takie dictum, ale ja się nie dam nabrać - uśmieknęła się, lecz spojrzała na brata uważniej. Było coś intrygującego w jego głosie, choć droczyli się w ten sposób często.

W jednej chwili uświadomiła sobie mimowolne obserwacje z kilku ostatnich tygodni: podejrzenie dobrego humor Rafała, jego zajęte wieczory, a zwłaszcza weekendy. W grę musi wchodzić jakaś kobieta, pomyślała. Doszła do wniosku, że jest bardziej wyciszony, pogodny, częściej niż zwykle uśmiecha się bez powodu.

- To co? Powiesz mi? - spytała.

- O czym? - zdziwił się.

- O tej dziewczynie, z którą się spotykasz - odparła. - I nie kombinuj. Przecież widzę, że coś ci tam znowu zawirowało w życiu. No więc? Jaka ona jest? Czym się zajmuje? Spodoba mi się?

Zawsze rozmawiali w ten sposób, swobodnie i bez skrępowania, dlatego zaskoczyła ją reakcja Rafała - zmieształ się wyraźnie i zarumienił jak dziewczyna.

- No powiedz coś - zniecierpliwiła się. - To takie poważne? - spytała spokojniej.

- Nie. To znaczy... mam nadzieję, że tak. Jeszcze nie teraz, ale może kiedyś... Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Zresztą chyba lepiej, żebyś się dowiedziała ode mnie... - przerwał na chwilę, ale Olga widziała, że już się zdecydował. - Pytałaś, czy ci się spodoba. Myślę, że tak. Znasz ją. I lubisz - powiedział, wpatrując się w drogę przed nimi.

- O rany, chyba nie poderwałeś Weroniki?! - zawołała ze śmiechem, lecz zaraz spoważniała, bo Rafał rzucił jej szybkie, spłoszone spojrzenie i powiedział spokojnie:

- Spotykam się z Hanką, siostrzyczko.



- Z Hanką? - zdumienie Olgi było zupełnie szczere i na chwilę odebrało jej mowę. - Przecież ty... Przecież chodziliśmy razem do podstawówki, do liceum... - zaczęła wyliczać. - Znasz ją od... no od zawsze.

- Właśnie. I od zawsze mi się podobała. To znaczy, odkąd w ogóle zaczęły mi się podobać dziewczyny. Tylko tak jakoś... mijaliśmy się. Może teraz będzie inaczej. Zobaczymy.

Spojrzał na nią z uśmiechem i zobaczyła w jego oczach to magiczne światło, którego nie widziała dawno, bardzo dawno, a które zawsze mają w oczach zakochani. Dlaczego nigdy o tym nie pomyślała? Przecież to takie logiczne. Znała wiele dziewcząt, które wychodziły za mąż za starszych braci swoich przyjaciółek. A przecież Hanka jest wspaniałą, mądrą, piękną kobietą.

- Ale przecież ona... - zająknęła się - ma teraz Amelkę, no i w ogóle...

- Wiem - odparł z tym samym łagodnym uśmiechem. Olga patrzyła na brata długą chwilę, a potem odwróciła się i mocniej zagłębiła w fotelu.

- Cholera - mruknęła. - Żebyś ty wiedział, jak się cieszę... Dopiero gdy zbliżali się do Kalinowskich Lasów, Rafał zapytał:

- A ty, Oluś? Jakie masz plany? Jak się czuje Marek?

- Od tygodnia jest już w domu. Bardzo szybko odzyskuje siły. Mogę teraz trochę odetchnąć, bo przyjechała z Francji jego siostra i wszystkim się zajęła.

- Czy ty...? - zawahał się. - Chyba nie zamierzasz do niego wrócić?

- Och, nie. - Uśmiechnęła się, słysząc w jego głosie niepokój. - To już zamknięta sprawa. Zresztą nie sądzę, by Marek tego chciał. Wydawał się dość zażenowany i wystraszony, gdy Adam opowiedział mu o mojej... o moim zaangażowaniu w czasie jego choroby. Wiesz... - zastanowiła się - zadziwiająco łatwo nasze relacje zmieniły się w koleżeństwo, jakby cały ten sześćioletni związek był zamierzchną przeszłością.

- Myślę, że wypalił się już dawno. To dlatego.

- Może.

- I co dalej? - spytał.

- Marek przeżył pomyślnie rehabilitację, ale jest jeszcze osłabiony. Lekarze zalecili mu dłuższy wypoczynek. Zamierza wziąć cały zaległy urlop - a jest tego trochę - i wyjechać. Siostra zabiera go do siebie. No wiesz, południowa Francja, zmiana otoczenia, piękne krajobrazy, ciepło, woda, słońce... Idealne miejsce na powrót do zdrowia.

- Tak, to dobry plan. Ale ja pytałem, co ty zamierzasz. Uśmiechnęła się szeroko i przeciągnęła jak kot. Zamierzam używać wolności...

- I to dopiero jest dobry plan - podsumował wesoło.

W leśniczówce przy kuchennym stole czekała na nich rodzina, a na nim - smakowita kolacja. To była pierwsza wizyta Olgi od wspólnego weekendu z Cyrylem. Wypełniała ją radość, że oto wraca do świata, który tak bardzo bała się utracić, choć bywała w nim niezbyt często. Liczyło się to, że istniał i zawsze na nią czekał. Rodzice wiedzieli o chorobie Marka i jej przeżyciach z lekko ocenzonej relacji Rafała. Sabina chciała nawet jechać do córki, lecz mąż i syn wspólnymi siłami wybili jej ten pomysł z głowy. Teraz o nic nie pytali, nie poruszali smutnych tematów, od razu otoczyli ją ciepłem i miłością. Najpierw utonęła na długą chwilę w niedźwiedzim uścisku ojca, a potem matka na zmianę z Luizą próbowały namówić ją na skonsumowanie wszystkich przygotowanych smakołyków w porcjach właściwych dla oddziału wojska. Gdy wreszcie późną nocą Olga przytuliła twarz do poduszki pachnącej lawendą i usłyszała granie świerszczy, pomyślała, że teraz nic jej do szczęścia już nie brakuje.

Nazajutrz, po wczesnej kawie wypitej w towarzystwie ojca i krótkim spacerze dla rozruszania ciała i ducha, Olga zabrała się do upychania swojego dobytku w różnych

zakamarkach domu. Szafa w jej pokoju była dość przestronna, by pomieścić jeszcze trochę ubrań, a potem przyszła kolej na obrazy i książki.

W całym domu panowała cisza. Ojciec był już w lesie, matka zapewne w szklarni, a Rafał spał w najlepsze. Olga przemknęła cicho do gabinetu ojca i włożyła do jego podręcznej biblioteczki dwa albumy przyrodnicze. Potem zawiesiła w salonie jeden ze swoich starych obrazów - widok na Wawel od strony Wisły. Wyjęła z pudła następne płótno i uśmiechając się do siebie, zbiegła po schodach. Zapukała do pokoju ciotki Luizy. Wiedziała, że i ona jest rannym ptaszkiem, ale wczesne godziny spędza u siebie.

- Witaj, ciociu - zawołała wesoło od progu.

- Już od rana cię nosi? - prychnęła Luiza, lecz uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Chcę ci coś pokazać. To niespodzianka dla rodziców - powiedziała Olga konspiracyjnie. - Żeby nie mówili, że mnie za rzadko widzą. Będą mieli w salonie wersję lepszą niż oryginał. Czyż nie jest piękny? - Odwróciła w stronę okna nieoprawione płótno - swój portret namalowany przez Eryka.

Luiza spojrzała na obraz i natychmiast jej ciekawość zmieniła się w zaskoczenie.

- Ciociu, co się stało? Nie podoba ci się? - spytała zdezorientowana Olga.

Oczy Luizy mocno błyszczały, gdy zwróciła je ku siostrzenicy.

- Ależ podoba. Czyż mógłby mi się nie podobać? - rzuciła okiem na obraz. - Jest doskonały - dodała cicho. - Po prostu doskonały.

Nie tak wyobrażała sobie Olga reakcję ciotki, choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że portret jest naprawdę dobry.

- Skąd go masz, kochanie? - spytała Luiza z tym samym dziwnym wyrazem twarzy.

- Namalował go mój znajomy, ten malarz z krakowskiego domu starców, o którym kiedyś ci wspominałam. Pamiętasz? Opowiadałam ci, jak niewiarygodnie potrafi uchwycić różne rodzaje światła.

- Pamiętam. Nie wspomniałaś wówczas, jak on się nazywa... - stwierdziła ciotka.

- Nie, chyba nie. Czy to ważne? Nazywał się Eryk Szwajcowski.

- Eryk... mój Boże, Eryk... - Luiza odwróciła głowę, spojrzała w okno i zamilkła.

W pokoju panowała zupełna cisza, bo Olga jakoś bała się odezwać. Zrozumiała w końcu, że dzieje się coś niezwykłego. Czyżby ciotka go знаła? W końcu mieszkała w Krakowie długie lata, sama była artystką... Tak, mogli się spotkać. Nagłe podejrzenie ścisnęło jej serce. A może to on? Spojrzała wyczekująco na Luizę, która najwyraźniej krążyła myślami daleko stąd.

- Ciociu...?

Starsza pani otrząsnęła się ze wspomnień i spojrzała zamglonym wzrokiem na portret, a potem na Olę.

- A więc poznałaś Eryka? - powiedziała, przeciągając lekko sylaby. - Cóż za ironia losu. Ładnie sobie ten Reżyser na górze poczyna... - uśmiechnęła się gorzko.

- Ciociu, czy on jest...?

- Zrobisz coś dla mnie, słonko? - przerwała jej i nie czekając na odpowiedź, zadysponowała: - Otwórz tę najniższą szufladę w komodzie. Tak, tę - przytaknęła, widząc, jak siostrzenica klęka przed ciężkim, staroświeckim meblem i kładzie dłonie na szerokich uchwytach. - Wyjmij obrusy. Tak, pod spodem jest obraz. Przynieś mi go, proszę.

Po chwili Olga położyła na stole przed Luizą niewielki prostokąt owinięty w białe cienkie sukno. Ciotka pewnym ruchem odwinęła materiał, uniosła obraz i odwróciła w stronę światła.

- Popatrz, kochanie...

Olga zrobiła kilka kroków, wyciągnęła rękę i głośno westchnęła.

- Mój Boże... To niemożliwe - szepnęła, wpatrując się z niedowierzaniem w portret kobiety o ciemnych włosach i błękitnych jak niebo oczach.

Tło było nieco mniej barwne, mniej abstrakcyjne, jaśniejsze, lecz poza tym nie miała wątpliwości - z obrazu spoglądała tęsknie jej własna twarz, zmieniona trochę przez fryzurę, trochę bledsza, jakby młodsza, trochę inna... Ale to była ona. Portret był bliźniaczo podobny do tego, który подарował jej Eryk. To niemożliwe, niemożliwe, powtarzała uparcie wbrew faktom. W głowie kłębiły się tysiące pytań, których nawet nie próbowała głośno wypowiedzieć. Luiza patrzyła na nią łagodnie, czekając, aż ochłonie i choć trochę poukłada splątane myśli.

- Usiądź, słonko. - Wskazała jej krzesło przy stole. - Czy teraz już rozumiesz, kim był twój intrygujący znajomy? To mężczyzna, którego czterdzieści lat temu kochała twoja matka. I którego ja również kochałam... - przyznała po raz pierwszy.

- Ale dlaczego, dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Przecież opowiadałam ci o nim...

- Nie wymieniłaś nazwiska, a ja nie mogłam w żadnym razie skojarzyć człowieka, którego kiedyś znałam jako świetnie zapowiadającego się artystę, z pensjonariuszem domu starców. Wygląda na to, że Sabina w swojej opowieści też nie wspomniała nazwiska czy choćby imienia, bo pewnie sama byś się domyśliła, z kim masz do czynienia.

- Więc to... - Olga wskazała obraz leżący na stole. - To jest...

- To jest mój portret, namalowany przez Eryka Szwajcowskiego prawie czterdzieści pięć lat temu - dokończyła Luiza. - Zawsze wiedziałam, że jesteś do mnie trochę podobna. Nie sądziłam, że aż tak...

- Mój Boże, czy to znaczy, że on wiedział, kim jestem? - zaniepokoiła się Olga. - Nigdy nie rozmawiałam z nim o mojej rodzinie. Nigdy nie pytał.

- Nie mam pojęcia - odparła ciotka i zastanawiała się przez chwilę. - Mógł się domyślić... Chociaż to było tak dawno. Nie sądzę, by pamiętał mnie, nas obie, zbyt dobrze... Może to przypadek, że te obrazy są właśnie takie...

Zamilkły obie.

- Opowiedz mi o nim - poprosiła w końcu Luiza.

Olga bez oporów zaczęła snuć wspomnienia. Opowiadała o przypadkowych spotkaniach na ulicach Krakowa, o swoich obserwacjach, o tym, jak malował. Potem opisała pierwszą rozmowę, wizytę w Jesiennej Przystani, ich kolejne spotkania. Mówiła o swej fascynacji jego malarstwem, przytaczała rozmowy i spory, jakie toczyli na temat konkretnych zagadnień artystycznych. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że choć używa czasu przeszłego, to przecież nie powiedziała ciotce o śmierci Eryka. Opowieść zaczęła się rwać, wreszcie ustała. Luiza nie odzywała się długo.

- Więc jednak wrócił do Krakowa... Kto by pomyślał, że się odważy... - odezwała się wreszcie i po chwili spytała: - Co teraz zrobisz? Powiesz mu?

- Nie - odparła Olga bezradnie. - Nic już nie mogę mu powiedzieć. Eryk zmarł trzy tygodnie temu, ciociu.

- Ach tak... - szepnęła Luiza i w jej oczach nieoczekiwanie błysnęły łzy.

- Wiesz, poznałam jego syna - powiedziała, żeby przerwać przytłaczającą ciszę, i spojrzała serdecznie na ciotkę, nagle jakby starszą, bardziej przygarbioną, bardziej kruchą. - Przyjechał z Warszawy. Zajął się pogrzebem, no i spadkiem - to znaczy obrazami. To on dał mi ten portret... Rozmawialiśmy. Bardzo sympatyczny, przystojny, trochę starszy ode mnie. Jest architektem. Nazywa się Piotr Radwański.

- Radwański...? - Ciotka wyraźnie się ożywiła. - Syn Anieli... Olga uderzyła się w czoło.

- To dlatego to nazwisko wydało mi się znajome. Nie mogłam tylko skojarzyć...

- Z tego, co wiem, mieli dwoje dzieci. Była jeszcze młodsza dziewczynka. Eryk porzucił rodzinę niedługo po jej narodzinach. Nie wiem, co się z nim później działo...

- Ależ to wszystko trudne i skomplikowane...

- Jak to zwykle bywa w życiu, moje dziecko - podsumowała ciotka. - Jak to w życiu...

Cała rodzina zgromadziła się w kuchni przy spóźnionym śniadaniu. Pojawił się nawet ojciec, który po porannym objeździe wrócił do domu, uznając, że i jemu należy się wolna sobota. Było jak kiedyś - przy stole panował nieustanny gwar przerywany wybuchami śmiechu. Olga z radością zanurzyła się w tej pełnej ciepła atmosferze.

Do obiadu uporządkowała swoje bagaże i przy okazji pokój. Popołudnie natomiast spędziła na samotnej wędrówce po lesie. Nie mogła się zdecydować, czy powiedzieć o wszystkim matce. Luiza bardzo sprytnie pozostawiła jej tę decyzję.

Cisza i chłód lasu przynosiły ukojenie rozbieganym myślom, wyciszały umysł, łagodziły wewnętrzne napięcie. Ale gdy w gęstniejącym mroku Olga wracała do leśniczówki, wciąż nie wiedziała, jak postąpić.

Zdziwiła się, widząc ciemne okna kuchni. Całe towarzystwo odnalazła w salonie. Okazało się, że ojciec naniósł wieczorem drewna i po raz pierwszy tej jesieni napalił w kamiennym staroświeckim kominku. W pokoju pachniało dymem i lasem. Ogień buzował wesoło, oświetlając ciepłym blaskiem uśmiechnięte twarze najbliższych ludzi. Brakowało tylko Michała. Widząc pytające spojrzenie ciotki, Olga pokręciła głową. Potem usiadła blisko ognia, by rozgrzać zziębnięte dłonie, i przyłączyła się do wesołej rozmowy, w której rej wodził ojciec, opowiadający właśnie o komicznych perypetiach związanych z nowym szefem nadleśnictwa, który, ku rozpaczy pracowników, okazał się nawiedzonym teoretykiem, bez krzty wiedzy o prawdziwym leśnym życiu. Sabina siedziała blisko męża, z dłonią wspartą na jego kolanie. Chwilami spoglądała w jego stronę z pobłażliwą czułością. I tak jest dobrze, pomyślała Olga, i nic tego nie zmieni. Żadna przeszłość. I żadna nieistotna prawda.

Gdy w niedzielne popołudnie pakowali się z Rafałem do samochodu, wiedziała już, że nigdy nie powie matce o Bryku. Być może ta wiedza jej się należała, ale niczego nie mogła zmienić, niczego dobrego nie wniosłaby w życie rodziny. Kiedyś ojciec powiedział jej, że prawda nie jest wartością bezwzględną - bywa niebezpieczna, okrutna, może krzywdzić i niszczyć. Choć czasem daje wolność i wewnętrzny spokój. Trzeba umieć wybierać. Teraz pomyślała, że miał rację. Olga wiedziała, czym ryzykuje. Być może kiedyś matka dowie się o wszystkim, co przed nią zataiła, i będzie miała do niej o to pretensje. Ale podjęła już decyzję i wierzyła w jej słuszność. Postanowiła zachować dla siebie całą tę nikomu niepotrzebną prawdę. I obraz Eryka, który był jej świadectwem.

W ostatnią sobotę listopada spadł śnieg. Pierwszy tej zimy, drobny, nieskazitelnie biały, delikatny jak puch. Pewnie padało całą noc, bo rankiem świat wyglądał niczym panna młoda szykująca się do ślubu. Mimo że dzień był pogodny, słońce nie zdołało pokonać tego pierwszego posłańca nadchodzącej zimy - wieczorem wciąż trwał na posterunku, chociaż w lekko odchudzonej i przygaszonej postaci.

Zmierzch zapadał szybko, niosąc z sobą przenikliwy chłód. Karolek zamknął okno na antresoli, zszedł powoli na parter, włączył wszystkie lampy, wrócił za bar i zaczął polerować szklanki i kieliszki, choć bynajmniej tego nie wymagały. Pogwizdywał przy tym wesoło, co było raczej niezwykłym zjawiskiem.

- Wytrzesz dziurę w tym kuflu - odezwał się ze śmiechem Cyryl, stając przy barze.

- Spoko, jego nie ubędzie, a grunt to porządek. Macie rezerwację na antresoli. Jesteś pierwszy - oznajmił barman, ciągle się uśmiechając. - Możesz zaszaleć. Dzisiaj ja stawiam.

- O, coś się stało?

- Drobiazg. Zamierzam się zapisać do waszego klubu. Są dziewczyny... - ruchem głowy wskazał drzwi.

Po chwili całe towarzystwo usadowiło się przy stoliku, na którym pojawiły się drinki. Ze względu na pogodę dominował grzany miód.

- Kto zaczyna? - spytała jak zwykle Weronika.

- Karolek - odezwał się niespodziewanie Cyryl. - Skoro płaci takie solidne wpisowe, to czas także na dobrą wiadomość. Pójdę po niego.

Przywołany w ten sposób do raportu właściciel pubu opowiedział, trochę nieskładnie i chaotycznie, o odwiedzinach dawno niewidzianej córki.

- O, nie wiedziałam, że masz córkę... - zdziwiła się Olga.

- Nie rozmawiałem z nią od... od wielu lat - przyznał. - Próbujemy nadrobić zaległości. Mam nadzieję, że wkrótce ją poznam. - W jego głosie zabrzmiała zwyczajna rodzicielska duma.

- To dopiero jest wiadomość! - zawołał Cyryl z dziwnym uśmiechem. - Twoje zdrowie, szefie.

Gdy Karolek zszedł do baru, Cyryl przerwał bezceremonialnie domysły zaintrygowanych dziewczyn.

- No, słuchajcie, jak mawiał niezrównany mistrz ekranu, na początku ma być trzęsienie ziemi, a potem napięcie rośnie. Zaczęło się nieźle. Kto następny?

- Raczej nie pobiję mojego poprzednika - odezwała się Olga. - Moja dobra wiadomość jest bardzo zwyczajna i raczej mało konkretna: zaczynam nowe życie. I zamierzam cieszyć się nim bez umiaru. Pozamykałam stare sprawy, zburzyłam w mieszkaniu jedną ścianę i zaczęłam budować inną, a przedwczoraj pożegnałam się definitywnie z Markiem, wyjeżdżającym za granicę. Jestem wolna, szczęśliwa i gotowa na wszystko, co przyniesie mi los...

- Pięknie powiedziane - uśmiechnęła się Hanka. - Chyba warto za to wypić.

- A ty? Jakiego masz asa w rękawie?

- Też zaczynam nowe życie... - zerknęła niepewnie na Olgę. - Ale żeby się nie powtarzać, mam też konkretną wiadomość. Sama nie przypuszczałam, że to pójdzie tak szybko... ale udało się. Przyznano mi status rodziny zastępczej dla Amelki - dokończyła z rozjaśnioną twarzą.

- Kiedy? Jak? To wspaniale! - z trzech stron posypały się pytania i gratulacje.

Hanka odpowiadała, tłumaczyła, wreszcie zwróciła się do przyjaciółki:

- Dużo w tej sprawie zawdzięczam twemu bratu. Bardzo mi pomagał. Podziękuj mu ode mnie.

- Myślę, że sama zrobisz to znacznie lepiej - Olga uśmiechnęła się do niej serdecznie i z satysfakcją zauważyła, jak na blade policzki Hanki wypływa delikatny rumieniec.

- No, moje drogie, podnosicie poprzeczkę - mruknął Cyryl.

- Ale ja się nie dam trzem babom.

Zachowywał się swobodnie i nonszalancko, lecz Olga zauważyła w jego głosie lekkie wahanie. Spojrzała na niego uważniej i kiwnęła głową, dodając mu otuchy. Zacerpnął głęboko powietrza i powiedział:

- Jadę na Boże Narodzenie do domu. To znaczy do rodziców.

Wszystkie wiedziały, że jego kontakty z rodziną nie są najlepsze, ale tylko Olga знаła szczegóły. Cyryl przyznał, że to on pierwszy się odezwał. Zadzwoił do matki, lecz nie robił sobie wielkich nadziei. Jej reakcja całkowicie go zaskoczyła - była uradowana i wzruszona. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie i ukoronowane zostały zaproszeniem na święta.

Po chwili rozmowa nieco przycichła, a wszystkie spojrzenia spoczęły na Weronice. Nikt nie zwrócił wcześniej uwagi, że jest dziwnie milcząca, jakby nieobecna, pozbawiona swej zwykłej energii i ekspansywności.

- Nie przejmuj się - powiedział Cyryl. - Żartowałem z tym stopniowaniem. To nie jest licytacja. Możesz powiedzieć, że miałaś w pracy dobry dzień albo że dostałaś premię.

Rzuciła mu zagadkowe spojrzenie.

- Chyba mnie nie doceniasz... - mruknęła.

Temperatura podniosła się leciutko, bo Weronika znów zamilkła, wpatrując się w swoje wypielegnowane dłonie i jak mała dziewczynka kręcąc na palcu pierścionek.

- No więc? Mów wreszcie - zniecierpliwiła się Olga.

- Maks mi się oświadczył... - oznajmiła ponuro.

- O, to nie jest dobra wiadomość! Nie wolno cieszyć się z cudzego nieszczęścia! - zawołał Cyryl. - Biedak dostał kosza i teraz pewnie upija się gdzieś na smutno, przeklinając kobiecy ród.

- Bądźże cicho - wtrąciła się Hanka i spojrzała badawczo na Weronikę. - Nika, czy ja dobrze rozumiem? Zamierzasz wyjść za niego? Przyjęłaś oświadczyzny?

Zapadła pełna napięcia cisza. Weronika podniosła wreszcie wzrok i uśmiechnęła się na widok zdumionych twarzy trójki przyjaciół.

- A co tam... Raz się żyje. Mnie też się należy trochę szczęścia. Zaryzykuję. Zawsze mogę się rozwieść. Mam wprawę.

- O rany... - wykrztusił tylko Cyryl, a dziewczyny rzuciły się do uścisków, drobiazgowego przepytywania i oczywiście podziwiania pierścionka z brylantem.

Jedyny mężczyzna w tym gronie udawał całkowitą obojętność wobec tych babskich pogaduszek. Po chwili odezwał się z namysłem:

- No i zobaczcie, co to się porobiło. Pół roku temu wszyscy mówiliśmy o pacy, o nowych projektach, wyjazdach, awansach. Tematy osobiste wydawały się niestosowne i drażliwe. A dzisiaj...

- A cóż to za wesołe dyskusje toczycie? - odezwał się na schodach znajomy głos.

- Rafał! - wykrzyknęła Olga z radością. - Miło, że znalazłeś czas. Chodź, siadaj.

- Nie jestem sam, przyprowadziłem gościa...

Zza jego pleców wyłonił się Igor.

Rafał nie był pewien, kto się bardziej zmieształ na widok jego przyjaciela - Olga czy Cyryl. Ale nie zamierzał zaprzętać sobie tym głowy. Teraz niech już sami radzą, pomyślał. Podeszedł do stolika i dokonał pełnej prezentacji, bo nie wszyscy znali Igora. Potem usiadł obok Hanki i uśmiechnął się do niej ciepło.

- Co to za wesołą rozmowę przerwałem wam przed chwilą?

- Och, podsumowaliśmy właśnie nasze dobre wiadomości. I doszliśmy do wniosku, że w kołowrocie istnienia nadszedł dla nas czas śmiechu, zbiorów i budowania - odparła, a w jej spojrzeniu dostrzegł spokój i ufność, które także były odpowiedzią.

## Epilog

Mroźna noc przytuliła do serca górskie szczyty majaczące w mroku. Leżące w dolinie miasto odgrodziło się od niej tysiącem rozświetlonych okien i ciepłem zamkniętym w domach. Ale tutaj, w Dolinie Białego, noc panowała niepodzielnie, świadoma swej mocy, dumna i potężna. Ze zdumieniem patrzyła na pięć ciemnych postaci, barbarzyńsko depreczających nieskazitelny, śnieżny dywan pokrywający dno doliny. Ich postacie mieniły się w ciepłym blasku pulsujących pochodni. Szli gęsiego, po własnych śladach, w ciszy i należywym skupieniu, delektując się magią tego niezwykłego miejsca i czasu.

Czasem ktoś rzucił jakieś słowo czy zdanie, ktoś inny odpowiedział, rozbrzmiał czyjś przyciszony śmiech na dowód, że nie są to duchy odbywające pokutną pielgrzymkę lub obudzeni nie w porę rycerze, którzy opuścili swe łoża w czeluściach Giewontu i wędrują przez świat. Miliony gwiazd migotały nad ich głowami, a oni pięli się niestrudzenie wciąż wyżej i wyżej, uważnie obserwowani przez czuwające nad doliną potężne, smukłe świerki.

- Czy wy jesteście pewni, że to się da zrobić? - odezwał się przyciszony głos, zwyczajny, lekko zaniepokojony i, w przeciwieństwie do scenerii, jak najbardziej z tego świata.

Szlak, którym podążali, właśnie zaczął się niebezpiecznie wznosić, biegnąc zakosami przez las.

- Nie marudź, Cyryl - rzuciła pobłaźliwie Olga. - Skoro wlałeś na Czerwone Wierchy, wejdiesz i na Sarnią Skalę.

- Wtedy był dopiero początek jesieni - mruknął do siebie. Mężczyzna idący na czele zatrzymał się i wyciągnął rękę.

- Spójrz tam, w górę, na lewo. Widzisz?

- O rany, światło. Co to jest?

- Tacy jak my wariaci. Tyle że idą na Giewont.

- Żartujesz?! - głos Cyryla zabrzmiał uciechą i entuzjazmem. - Jak to szaleństwo pleni się na świecie... Pojąłem aluzję - odwrócił się do idących za nim dziewczyn i powiedział pouczającym tonem: - Powinniśmy być wdzięczni Igorowi, że nie pognął nas na Rysy...

Roześmiały się cicho, wiedząc doskonale, że mimo utyskiwań jest zachwycony tą wyprawą.

Ruszyli w dalszą drogę. Teraz posuwali się wolniej, pomagając sobie wzajemnie na trudniejszych odcinkach. Cyryl cieszył się niezmiernie, gdy udało mu się wypatrzeć niewyraźne światełko przemierzające się w stronę masywu Giewontu. Rafał też je obserwował.

- Nie zdążą na szczyt przed północą - rzucił. - Ale i tak mają swoją wielką przygodę.

Dotarli na Sarnią Skalę pół godziny przed czasem. Znaleźli osłonięte przez kosodrzewinę miejsce i wydeptali niewielki placyk pod ognisko. Panowie zrzucili z ramion plecaki wypakowane drewnem i po harcersku zabrali się do rozniecania ognia. Hanka nalewała z termosu do kubków gorącą kawę z odrobiną koniaku. Po chwili niski, delikatny płomień rozjaśnił ciemność i rzucił nikłą poświatę na stojące w kręgu postacie. Byli trochę zmęczeni, lecz podekscytowani i rozbawieni jak dzieci. Olga wyjęła z plecaka dwie butelki szampana.

- Pierwszy raz spędzam sylwestra w tak niewiarygodnym miejscu - powiedział Cyryl. - Nikt mi nie uwierzy...

Wszystkie przygotowania zostały zakończone. Zaczęło się odliczanie. Gdy wybiła północ, strzeliły korki i Rafał zręcznie rozlał musujący płyn do prawdziwych kieliszków, które Hanka uparta się zabrać. Jej zdaniem nie można było profanować szampana i takiej nocy plastikowymi kubkami. Po toastach i życzeniach zasiedli w pierwszym rzędzie do obejrzenia wspaniałego spektaklu, jaki właśnie rozgrywał się nad Zakopanem.

Cały północny horyzont, od Kościeliska po Murzasichle, skrzył się feerią barw, kolorowe pióropusze rozkwiły na ciemnym niebie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Olga zawsze uwielbiała pokazy sztucznych ogni, ale czegoś takiego nie widziała nigdy w życiu. Wydawało się, że świat cały tonie w powodzi różnokolorowych, rozbłyskujących jak gwiazdy światła. I to u jej stóp.

Po chwili przedstawienie zaczęło przycichać. A oni siedzieli wciąż w milczeniu, zapatrzeni, zasluchani, zamyśleni. Cyryl wstał i dorzucił dREW do ogniska. Olga poczuła, że siedzący obok Igor obejmuje ją ramieniem i lekko przyciąga do siebie.

- Opowiesz mi? - spytał, próbując w nikłym świetle ognia spojrzeć jej w oczy.

Wiedziała, o co pyta. Nie rozmawiali dotąd o tym, co przeżyła, o chorobie Marka, długiej, wyczerpującej walce i życiowych decyzjach. Gdy było już po wszystkim, Rafał powiedział jej o wizycie Igora w Krakowie. O tym, że przez wiele dni czekał, mając nadzieję, że zechce się z nim spotkać. Strach i bezsilność tamtych długich październikowych tygodni wróciły teraz bolesnym skurczem serca. A potem przyszedł spokój. Otulona ramieniem Igora czuła się silna i bezpieczna.

- Tak - odparła. - Wszystko ci opowiem. Ale nie teraz. Kiedyś. Mamy czas, prawda? - spojrzała pytająco.

- Mamy mnóstwo czasu... - uśmiechnął się.

W dole przed nimi miasto pogrążyło się w szaleństwie sylwestrowej nocy, a oni siedzieli w ciszy, zapatrzeni w mrok i przyszłość, która w tej pierwszej godzinie Nowego Roku wydawała im się równie barwna i świetlista jak niebo przed chwilą.